

JÓZEF WIESŁAW DYSKANT

synowie marnotrawni

WYDAWNICTWO

MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował MARIAN JANKOWSKI

Redaktor

IRENEUSZ ŁAPIŃSKI

Redaktor techniczny MARIAN NAPIERZYŃSKI

Korektor

LEONARDA KRÓLIKOWSKA

...Na świata stron cztery, Po setki-set lat... My polskie bandery Wzniesiemy nad świat...

MARIUSZ ZARUSKI

1. Dotknięcie Ziemi Ojczystej

Właściwie to wszystko odbyło się nie tak jak trzeba, nie, tak, jak sobie wymarzył.

Po pierwsze, mimo solennych obietnic zaspał i dobrze się stało, że zbudził go Mikołajczak.

— Ej, „Kangur”, wstawaj! Szybko, już widać Hel! — jego niedźwiedziowate łapska o krótkich paluchach uparcie tarosiły ramię Aleksandra.

Szybko wciągał spodnie, starając się precyzyjnie wkładać stopy w nogawki, bo trochę kołysało. Na pokładzie stała już grupa takich jak on, na wpół ubranych ni to żołnierzy, ni łapserdaków.

— O rany! — rozmarzył się któryś. — Toż to żółte piaski helskiej kosy...

Istotnie, w porannej mgiełce rysował się coraz wyraźniej kontur lądu.

— No co, brachu? — klepnął go ciężko po ramieniu Mikołajczak. — Przespałbyś i Gdynię, żebym cię nie wyciągnął z koi...

Hel rósł w oczach i ogromniał. Widok jego latarni niemęsko jakoś wzruszył Aleksandrowe oczy, gardło drapało znajome już wzruszenie. Doczekał tej chwili. Dożył. Z dalekiego Pacyfiku trafił... Jednak chcieć to móc, ale trzeba chcieć twardo, po męsku. Ogarnęło go zadowolenie z samego siebie, że taki dzielny, że sprawdził się w najcięższej próbie...

— No, jeszcze z godzinkę i nasz kalosz będzie na miejscu — stwierdził Mikołajczak i nagle się zafrasował, bo... chyba trzeba by mieć naprawdę zasrane szczęście, żeby teraz, u samych drzwi, wleźć na minę...

Po drugie, nie poszedł na śniadanie. Wdrapał się na pokład szalupowy i tu kucnąwszy w prześwicie między dwoma łodziami, wpatrywał się w gdyńskie falochrony, rosnące w oczach. Jeszcze z pół godziny i zacumują, a potem... potem powlecze się na Kamienną Górę. Powlecze, bo nie wiadomo, czy ich dom jeszcze tam stoi i czy ktoś z żywych pozostał — brat, siostra i Ona, najważniejsza, za którą tęsknił jak za Gdynią, jak za całą tą umęczoną ziemią. Matka! Od lat nie otrzymał od niej żadnej wiadomości... Co też zastanie w tej Gdyni? Czy może los tak zrządził, że znów będzie jak dawniej samotny, wśród obcych mu ludzi? Chociaż... to nie będą obcy, lecz swoi, Polacy. Stary Konkiel, Łapiccy, babcia Miłoszowa (ba, ale czy ona jeszcze żyje?)...

Albo Marek, przyjaciel od serca... A jeśli i ich nie stało?

Z głową ciężką od nadmiaru myśli nawet nie zauważył, jak zastopowali. Dopiero ruch przy sztormtrapie zbudził go z odrętwienia. Wzięli na pokład pilota. No, to już blisko, ucieszył się.

Między główkami wejściowymi wyrosła wyraźnie już widoczna, szarostalowa przeszkoda — na wpół zatopiony potężny wrak okrętu.

10

— Ależ kolos, co najmniej pancernik — dziwił się Aleksander.

— To chyba szkop — domyślał się głośno Mikołajczak, który po śniadaniu odnalazł przyjaciela. — Skurwysyny zatopili go w samym wejściu. Co teraz będzie? Wepchną nas południowym do Basenu Prezydenta? Przecież tam nasza krypa nie wejdzie...

— Nie! Patrz tam, w prawo, zrobili nowe — Aleksander dojrzał je pierwszy.

— Rzeczywiście, nowe wejście — Mikołajczak ucieszył się. — Fajnie! Suniemy prosto pod Dworzec Morski...

Na falochronach stało kilku rybaków. Na widok „Empire Arquebusa”, którego burty niemal gięły się od naporu ciekawskich, zaczęli machać rękami. Ktoś krzyknął „hura” i teraz to „hura” przelatywało po statku z dziobu na rufę i z rufy na dziób, to głoś-niejąc, to przycichając. Ktoś zerwał z głowy furazerkę i cisnął w górę, a zaraz potem czapki zaczęły wznosić się w błękit majowego nieba niczym stada mew, że aż przestraszyły się te prawdziwe, pilotujące ich dotychczas. W basenach Oksywia manewrowały, szykując się do wyjścia w morze, małe, szare okręciki z biało-czerwonymi banderami.

— Patrz, znów nasze okręty — radował się „Pyra”, nazywany tak z uwagi na swe poznańskie pochodzenie.

Na molo przed dworcem tłum ludzi, a wśród niego połyskująca miedzią instrumentów orkiestra dęta. Buława tambor-majora wyskoczyła w górę i zaraz włączyły się syreny „Empire Arquebusa”, tak że nie wiadomo było, co grali. Tylko w chwilach, kiedy „Empire Arquebus” zachłystywał się parą i na moment

przerwywał ryk syren, słychać było miarowy łoskot bębna i stuk czyneli. A dokoła morze biało-czerwonych flag. Aleksander czuł, jak łzy spływają mu po policzkach. Chciał je szybko obetrzeć, aby Mikołajczak się z niego nie naśmiewał, ale rozmyślił się. Nie wstyd mu było tych łez, wydały mu się nieodzowne w takiej chwili.

— Jak Boga kocham — wystękał Mikołajczak, siąkając nosem — kiedy zejdem na molo, uklękne i będę całować jego bruk.

— Ja też — poprzysiął Aleksander. Objęli się obaj ramionami, wyczuwając przyspieszone bicie serc. I obaj płakali.

Po trzecie, na molo nie ujrzał matki. Nabrzeże było coraz bliżej i bliżej, i coraz wyraźniejsze stawały się twarze stojących tam ludzi. Aleksander spośród masy głów starał się wyłowić tę jedną, najdroższą. Czy przyszła tu dziś, czy czeka? A może dawno go opłakała, wymazała z pamięci na co dzień i myśli o nim tylko od święta, na przykład w Dzień Zaduszny? Jeśli to w ogóle możliwe, żeby matka o straconym synu myślała tak właśnie, od święta... Do licha! Dlaczego przestała do niego pisać? Czyżby się coś stało? Może ona już... nie żyje? Przychodziła witać każdy transport, łudzac się nadzieją, że oto wraca jej chłopiec. I odchodziła, za każdym razem rozczarowana i rozgoryczona, z coraz okropnie jszymi przypuszczeniami, od których jej biedne serce nieomal pękało z bólu. Czuła się pewnie coraz gorzej, aż przyszedł dzień, kiedy dłużej nie mogła znieść już tej rozłąki i wtedy... Boże! Dość tych rozmyślań, bo oszaleję. Dlaczego tak właśnie miałoby być? Może jest całkiem inaczej, może właśnie stoi wśród in-

nych i serce jej, pełne radości, omal nie wyskoczy z piersi na myśl, że wśród wracających żołnierzy-tułaczy jest jej Olek.

Jeszcze parę minut przepychania przez trap i obaj z Mikołajczakiem stają na molo. To dziwne, jak łatwo człowiek w podniosłych chwilach czyni wzniosłe ślubowania, a kiedy nadejdzie czas ich spełnienia, szuka furtki, aby się przez nią wycofać, z honorem czy bez honoru. Mikołajczak ani myślał całować gdyńskiego bruku. Na nalegania Aleksandra mruczy:

— Coś ty! Przecież tu nie ma ani cala wolnego miejsca, zresztą... po co mam całować kamienie, lepiej wezmę się za dziewczuchy! — I dalejze rozglądać się za co ładniejszymi. Właśnie wpadła mu jedna w oko, więc zaczął przepychać się do niej. Ale tak parszywa zdrada własnego ślubowania musiała zostać przykładnie ukarana. Do dziewczyny nie dotarł, za to wpadł w objęcia starszawej, przysadzistej jejmości, która pochwycawszy go jak harpia, zaczęła namiętnie obcałowywać.

— A dobrze ci tak — ubawiony tym Aleksander cofnął się przezornie. Zdawało mu się nawet, jakby biedny poznaniak wołał go na pomoc. Jakoż po dobrej chwili, spieszenie rej-terując, dotarł do niego nieszczęsny amator ładnych dziewcząt.

— A to ci ognista baba — sapał gniewnie. — Gotowa mnie cnoty pozbawić na oczach tłumu, gdybym się nie wywinął.

W tym momencie orkiestra ryknęła „Jeszcze Polska nie zginęła”, wyprężyli się obaj jak struny.

— O Boże — sapał, roniąc łzy, Aleksander — to już dwanaście lat, jak ostatnio sły-

13

szalem, w tym właśnie miejscu, ten hymn... Wtedy płynąłem w świat, teraz wracam z niego... Może na zawsze?

Potem przemawiał ktoś z przedstawicieli władz. Mówił prosto, od serca, i Aleksandrowi wraziły się w pamięć ostatnie zdania: „Teraz, kiedy umilkły działa, cała Polska oczekuje od was, że wyszkoleni w twardej dyscyplinie żołnierskiej nie załamięcie się pod ciężarem trudów... Wspólnym wysiłkiem musimy odbudować Polskę. Bo o Polskę walczyć można było wszędzie, ale budować ją można tylko na miejscu, tu, w kraju! Nowa Polska czeka na was!”

Po czwarte, musiał wrócić na pokład, by zjeść obiad. Chętnie by z niego zrezygnował, ale żarłok Mikołajczak nigdy by na coś takiego nie przystał.

— Co, na głodniaka będziesz szorował do matki? — perswadował „Pyra”. — U niej na pewno się nie przelewa. Słyszałeś, co mówił ten z PUR-u? Wszystko na kartki, i to niedużo.

Choć obiad dłużył się piekielnie, w końcu jednak wstali od stołu. Pożegnali się z kolegami, odmeldowali u komendanta transportu, zabrali swoje walizki, wory i wio na Gdynię. Nawet nie spojrzeli za siebie, na pokraczne pudło „empajera”. Jeszcze chwila i znaleźli się na Świętojańskiej. Pośród domostw, zapamiętanych przez Aleksandra sprzed wojny, niektóre — zburzone i na nowo odbudowane — jaśniały czerwienią świeżej cegły i bielą tynków, inne na swych fasadach zachowały odpryski po pociskach i odłamkach. Gdyńska ulica zaleczała rany. Po chodnikach przewalał się pstry tłumek, knajpki i kafejki wabiły przechodzących. A oto i Kamienna Góra.

14

Dawno tu nie był. Rozrosła się podczas jego nieobecności ta „górką”, przybyło jej budynków i chyba nawet ulic. Czuł ogarniające go podniecenie — już za kilkanaście minut zobaczy rodzinny dom, pędraków, sąsiadów. Jak dawniej spojrzy z wysoka w siną dal morza, obejmie wzrokiem miasto i port. Niespodziewanie nawet ciężar wora i walizki jakby zmałał, i Mikołajczak z trudem nadązał za przyjacielem.

— Wolniej — sapał — zdążysz jeszcze wszystkich wyściskać, nie musisz tak gazować pod górę.

Po piąte, nie było rodzinnego domu. Kiedy skręcili w Kasprowicza — małą, błotnistą uliczkę — nic nie znaleźli. W miejscu, gdzie powinien stać jego dom — poczciwa, piętrowa buda — rozkopana ziemia. Wokół krzątają się robotnicy. Murują, czerwieni się cegła nowych fundamentów. Dochodzi druga, zaraz fajrant, więc tempo pracy nienadzwyczajne. Aleksander omal nie zmienia się w polską odmianę Niobe.

— To niemożliwe... Niemożliwe! — szepcze zbielełymi wargami. — Za tyle trudu... poświęcenia... wyrzeczeń... Boże, jak mogłeś!

Mikołajczak postanowił pomóc jakoś kumplowi, widząc, że ten nie może się pozbierać po otrzymanym ciosie. Właśnie obok przechodził koźlarz, zgarbiony pod ciężarem nosiłek z cegłą.

— Ej, ty — zaczepił go — co tu robicie? Tamten odburknął niechętnie, chciał ruszyć dalej. Nie znał Mikołajczaka. Po chwili na jego utrudzone ramię spadła ciężka łapa i obróciła nim jak worem mąki, aż posypały się cegły.

15

•! — Odpowiadać, kiedy pytają marynarze!

— Panoczku, co wy? — przestraszył się koźlarz, starszy już, sterany życiem człowiek. Postawił nosiłka i zaczął układać na nowo cegłę. — Ja tam nic nie wiem...

— Pytam, co tu robicie?

— A dyc budujemy — wymamrotał, mrugając powiekami.

Nadszedł zaferowany majster. Aleksander przemógł się i spytał:

— Co się stało z domem, który tu stał poprzednio?

— Tu nie było żadnego domu. Dlatego budujemy...

— Co? Co?! — wrzasnął Aleksander, następując nań groźnie. — Tu nie było żadnego domu? Przecież ja tu mieszkałem przez dobre piętnaście lat, a pan mi tu takie bajki...

— No, przed wojną to znaczy się może i był — zgodził się majster, odstępując przezornie do tyłu — ale w czasie działań szast-prast i bomba go rozwaliła... Właśnie, znaczy się, budujemy nowy. Trzypiętrowy...

Aleksander czuł, jak nogi uginają się pod nim. W oczach mu pociemniało.

— A co z mieszkańcami? — wyszeptał zdruzgotany.

— Nie wiem, panie. Znaczy się... bardzo mi przykro, że nie wiem. Ale może ci z sąsiednich domów będą się orientować? — wskazał ręką i dodał współczująco: — Może wody? — Przejęty nieszczęściem bliźniego, chciał okazać jakąś pomoc. — To przejdzie — pocieszył.

— No, to co teraz? — spytał „Pyra”. — Dokąd pójdziemy?

— Do sąsiednich domów — wykrztusił. — Majster ma rację, tam muszą coś wiedzieć-
ie

Informacji udzieliła im jakaś staruszka. Stała w drzwiach niskiego domku, przyglądając im się nieufnie.

— Proszę pani — w pytanie to włożył Aleksander całą swoją pokorę i spojrzął tak błagalnie, że niewątpliwie stopił ostatnie lody nieufności — co stało się z tym domem spod czwórki? Dlaczego budują go od nowa? O tam — wskazał palcem.

Jej twarz drgała w jakimś nerwowym tiku, który na próżno starała się opanować. Wielkie bure kocisko ocierało się, prychając, o jej zniekształcone reumatyzmem stopy w znoszonych sandałach.

— A... pan może stamtąd?

— Tak, tak — potwierdził gorączkowo Aleksander, nie wiedząc jeszcze, czy chodzi jej o to, że mieszkał pod czwórką, czy o to, że wraca z Zachodu.

— Nie wiem... nie wiem... — Twarz starej drgała obwisłymi policzkami, co pogrążyło Aleksandra w coraz czarniejszej rozpacz. W końcu powiedziała:

— Zburzyli go... no, bombami... Angliki przylecieli. Nadlecieli na port — przypominała sobie stara. — Tak, to było jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Przed wyzwoleniem. Bo Ruscy przyszli na wiosnę. Jasno tu było wtedy, panie, jak w dzień, świecili i latali jak te antychrysty. A Niemce strzelali i strzelali. Wszyscy poszli do schronu, a ja, stara, zostałam. Gdzie sążone człowiekowi umrzeć, tam i umrze. Od śmierci nie uciekniesz — filozofowała.

— I właśnie wtedy trafili w czwórkę? — przerwał Aleksander.

— Tak, wtedy, panie — zgodziła się skwap-

2 — Synowie marnotrawni

17

„A.”mi

liwie. — Huk był taki! Myślałam, że to koniec świata, wszystko się trzęsło, a dom nawet się nie zapalił, rozleciał się w kawałeczki...

— A ludzie, którzy tam mieszkali?

— No jakże... do schronu poszli... pewnie — dodała cicho.

— Słyszysz! — szturchnął go w plecy „Pyra”. — Oni żyją!

Nawet nie pamiętał, czy podziękował jej za tę wiadomość, zawierającą bądź co bądź nieco nadziei.

Z kolei poszli do łapickiego, kolegi matki ze szkoły. Otworzyła drzwi kobieta, w której Aleksander z trudem rozpoznał żonę tamtego, tak była zmizerowana.

— To ty, Olek? — uradowała się. — Więc jednak wróciłeś do swoich... A myśmy cię już pochowali. No tak, to będziesz teraz długo żył — paplała. Wyglądało na to, że pod tym jednym względem nic się nie zmieniła, gadatliwa i pogodna jak zawsze. — A mój — zasmuciła się nagle — nie wrócił... Gestapo go

zabrało, akurat dwa lata będzie w lipcu. Siedział w Sztutowie, potem wywieźli go do Bu-chenwaldu... — rozpląkała się nagle.

— Strasznie mi przykro — bąknął Aleksander. — Niech pani nie płacze, pani Jolu, pewno jeszcze wróci. Ludzie wracają po latach, tak jak ja — pocieszał, jak umiał. Kobieta otarła łzy.

— Wiesz, ja sama wierzę, że on wróci. Jakoś nie wydaje mi się, by mógł nie żyć. Często mi się śni, ale zawsze dobrze — uśmiechnęła się do swych nadziei. — Ale ja tu zagaduję, a wy stoicie... Siadajcie, zaraz zrobię herbaty. A może coś zjecie? — ruszyła żwawo do kuchni. Od poczęstunku wymówili się,

18

ale przy herbacie musieli wysłuchać długiej opowieści o niewesołych losach Gdyni pod hitlerowskim butem. Łapicka opowiadała dużo i tak szybko, że Aleksander po prostu nie miał kiedy zapytać o losy najbliższych. Ani się spostrzegli, jak minęła godzina, potem druga... Dzieci Łapickich, Karolek i Halinka, wróciły ze szkoły, co dało pretekst do nowej opowieści o ich postępach w nauce.

— Ty, „Kangur” — szepnął Mikołajczak, kiedy pani Jola poszła swoim pociechom podgrzać obiad — dajemy dyla, bo inaczej zagada nas baba na śmierć.

— Poczekaj, zostawimy tu swoje rzeczy i... muszę spytać, czy ona coś wie o matce...

Łapicka nie tylko zgodziła się przechować im rzeczy, ale zaproponowała nocleg. No i powiedziała coś, za co Aleksander ucałował ją siarczyście w oba policzki. Widziała przelotnie jego matkę tuż po wyzwoleniu Gdyni, na początku kwietnia zeszłego roku. Gdzie mieszkała teraz, nie miała pojęcia. Mocno pokrzepiony tą wieścią Aleksander w podskokach zbiegł ze schodów. Za nim skocznie tupotał „Pyra”.

— Dokąd teraz?

— Chodźmy nad morze, na łądzie jeszcze jakoś nie bardzo się czuję. Wprawdzie Bałtyk to nie Atlantyk...

— Ale to polskie morze!

— Tak, to jest nasza Ojczyzna-Bałtyk!

Po szóste — i to było chyba najważniejsze — spotkali Konkiela.

W nadbrzeżnych chaszczach, porastających skraj plaży, buszowały gromady rozwrzeszczanych dzieciaków, zaś kilku łobuziaków starało się trafić kamieniami w siedzące na poziele-

19

niałych głazach mewy. Mikołajczak pogonił ich, a najbardziej pyskatego sprzął po tyłku, przełożywszy go sobie przez kolano.

— Ty szkrabie zatracony, szanuj mewy, bo to dusze potopionych marynarzy — objaśniał go, trzępiąc tęgo.

— Racja, panie — wtrącił się jakiś starzec, którego dopiero teraz dostrzegli. — Mówiłem im, ale czy takie łobuziska usłuchają starego...

— Kijem trzeba ich było, dziadku — uśmiechnął się „Pyra”.

— A panowie kto? — mruknął nieufnie stary, przesuwając się wzrokiem po granacie ich mundurów.

— Polscy marynarze, dziadku, repatrianci z Zachodu, ci od konwojów, co to tłukli Niemców jak się patrzy...

Aleksandrowi głos starego wydał się znajomy. Wpatrzyli się w siebie uważnie.

— Tyś... to chyba... nie może być... tyś Aleksander! — poznał go stary i zatrzęsł się z przejęcia.

— Rany gorzkie... Pan Konkiel! — rozpromienił się Aleksander. — Witaj, szyprze, jak tam ryba? — zażartował.

— Matko Boska Swarzewska, co za spotkanie! — pokraśniał z zadowolenia stary rybak i niewiele myśląc, pochwycił Aleksandra w ramiona. — Tyla lat, tyła lat — marniał — i doczekał nareszcie, coś wrócił...

— Panie szyper — Aleksander, przezwyciężając radość, półżwycy z niepokoju wypowiedział dręczące go pytanie — a może wiecie, co z matką?

— Aaa wiem, wiem. Ja sam pierwszy winien ci to gadać, nieboraku. Nie turbuj się, synku, wszystko klar, alles gut...

20

Aleksander odetchnął. — A gdzież oni są? Mówcie! — zaczął trząść starym.

— Wyjechały, synku, z Gdyni wyjechały...

— Dokąd? Kiedy? Mówcie, do licha!

— Nie spamiętałem. Poczekaj, poczekaj, do jakiegosi tam... Tarnowa, a może Rzeszowa, nie spamiętałem — wydukał wreszcie. — Już z pół miesiąca będzie, jak pojechały. Do Jurka, znaczy twego brata...

— A cóż on tam robi w tym Tarnowie czy Rzeszowie, do licha ciężkiego?

— On? — Konkiel ożywił się. — A doch ty nic nie wiesz! Przeca on oficer, prawdziwy oficer.

— Coście, ojciec, zwariowali? — zdumiał się Aleksander, któremu Juras kojarzył się zawsze z małym chłopaczkiem. — On oficerem?

— Tak, synku, tak... Przeca to chłop, już białki trza mu niedługo. Jak nasi wygnali Niemca, to on poszedł z nimi. Płakała twoja matka bidula, że już drugiego synka utraci, ale na nic strach. W miesiąc wojna skończona, a że knop obrotny, to pokończył szkoły i oficer całą gębą...

— Cie diabli... Co tu się u nas narobiło w tej Gdyni pod moją nieobecność? Trudno się w tym wszystkim połapać — zdeorientowany obrócił się do Mikołajczaka, który skorzystał z okazji i spytał: — Co to za dziadzio?

— O choroba, zapomniałem. To jest właśnie pan Konkiel, jakby ci tu powiedzieć... mój były armator, a w ogóle to przyjaciel naszej rodziny, chyba ci coś o nim mówiłem? Nie? A to, panie Konkiel, mój kolega z wojska, służyliśmy na jednym okręcie, na „Krakowiaku”. Mikołajczak się nazywa, a rodem z Poznania...

21

— Tośmy z tymi diachłami Prusakami mieli społem do czynienia.

— Warto by to oblać, dziadku — „Pyra” nie bawił się w ceregiele. — Stary znajomy, dobre nowiny o rodzicielce, jest okazja. A przy wódce lepiej się gada.

— A tak, tak — zgodził się skwapliwie stary. — Chętnie trączę się z wami...

— A co tam robi Juras w tym Rzeszowie? — Aleksander, ignorując propozycję kolegi, dalej indagował szypra.

— Wojuje, synku, wojuje... A żeby tak prawdę powiedzieć, to już się dowojował. Leży tam ranny w lazarecie.

— Ranny? — przeraził się Aleksander. — Wojuje? Co tu się dzieje u was? Wojna przecież dawno skończona, a wy wojujecie? Z kim? Z bandami? — przypomniały mu się słowa kierownika PUR-u.

— Oj, synku — westchnął stary rybak — wojna to może się i skończyła, ale spokoju nie ma... Nie ma! Wy wiecie lepiej, no — dodał na ich zdziwione spojrzenia — że Anders ma wrócić, a z nim wojsko, nowe władze i porządki. Teraźniejszy rząd pójdzie precz, no i te partyzanty, te bandy niby — ściszył głos — czekają i coby to czekanie było krótsze, a powrót Andersa bliższy, to tu napadną na ubowców, tam znów na milicję, tu spalą jaki amt, tam pocztę zrabują... Niespokojnie w kraju. U nas w becyrku też taki rajzuje. — Rozejrzył się bacznie dokoła. — „Łupaszka” się nazywa — niemal wyszeptał.

— I Jurka też tacy poranili? — spytał Aleksander nie wiadomo dlaczego równie cichym głosem.

— A nie! Bóg go uchronił od bratniej kuli.

Bo to jeszcze nie koniec. Tam, na oście, w tym Tarnowie czy Rzeszowie, to całkiem inne siedzą. Bandy UPA grasują, okropność, co się tam dzieje. Takich trza tępić ogniem i bajo-netem, ot co...

— I właśnie Jurek?

— Ano. On w tamtych stronach wojował i tam go postrzelili, w nogę. Tyla wiem, bo twoja matka dostała list od niego i pojechały z Kaśką. Nawet nie wiem dobrze gdzie. Miały pisać do mnie i dać adres. Stale czekała, co wrócisz, chociaż już cię opłakała...

— Cholera! Co za pieskie szczęście! I gdzie ich teraz szukać?

— Czekaj na list — odpowiedział, mu „Pyra”.

— Czekaj, czekaj... Ciągłe mam czekać i co z tego? Pojadę tam! — zdecydował się.

— To będzie trudno ale — pokręcił głową stary.

— Pociągi przecież chodzą.

— A chodzą, chodzą, czemu nie... Tylko co tam napadają na bany jak w przedwojennych filmach o kowbojach. Nieprzebiecznie tam jeszcze. A i bana nie wszędzie dojdzie.

— No proszę. I matka z Kasią wyruszyły w taką drogę!

— Białkom zawdy łatwiej — pocieszył go szyper. — Teraz taki czas, że lepiej być białką niż chłopem.

Tak gawędząc, szli brzegiem morza. Nic się nie zmieniło. Szumiało jak dawniej, za szczeniackich, szczęśliwych lat. Tylko w życiu ludzi zaszły takie zmiany, że trudno wprost uwierzyć.

— Teraz już rozumiem Rzymian — westchnął Aleksander. — Oni wiedzieli, że życie

23

ludzkie to nic, a morze i żegluga to wszystko. I tak już będzie po wsze czasy...

— Słuchaj! A co z naszymi kłopotami? — przerwał cicho Mikołajczak.

— Co się martwisz? Przeniesiemy je do starego. On mieszka w Redłowie...

Jakoż istotnie po drodze zabrali swój dobytek od Łapickiej. Gadatliwa jejmość zapytywała o matkę Aleksandra, próbowała znowu wciągnąć ich w rozmowę, zatrzymać na noc, ale zbyli ją obietnicą, że wpadną za kilka dni, gdy dowiedzą się czegoś więcej.

Domek szypra stał na wysokiej skarpie, w dole żółciła się plaża z kilkunastu golasami. Skorzystali z okazji, że stary szykował kolację, a właściwie zagrychę do kupionej po drodze flaszki, i wykąpali się. Potem poleżeli trochę na wygrzonym piasku.

— Jednym słowem warunki jak na froncie — podsumował opowiadanie rybaka Mikołajczak. — Ciekawe, jak tam u nas, w Poznańskim...

— Co tu robić? Co robić? — biadolił Aleksander, obserwując mimochodem rozłożone nie opodal pełne kształty jakiejś starszawej damy.

— Nie przejmuj się — pocieszał go „Pyra” — najgorsze za nami. Polska wolna, wróciliśmy, to najważniejsze. Z resztą też sobie poradzimy. Przecież do Rzeszowa stąd bliżej niż z Londynu do Gdyni czy z Australii do Londynu.

— No tak — powiedział — tylko, u diabła, co z tymi bandami?

— Ano, co do tego, to obaj wiemy tyle samo, to znaczy nic. Ale skoro twój brat pędzi już tam tych bandziorów...

24

Poleżeli trochę w promieniach słońca, które spływało już po nieboskłonie ku linii horyzontu. Po półgodzinie wracali, nie podjąwszy żadnej decyzji co do dalszych kroków.

Konkiel powitał ich serdecznie i wytwornie.

— Schowajcie tę krajową brymucę — powiedział z przechwałką w głosie. — Może przyda się później. Teraz szlachetny trunek! — Dumnie potrząsał wielką butlą. — Prawdziwa „Gdańska” z przedwojennego szmuglu do Finlandii — pochwalił się. — Czekala na lepsze czasy...

Po paru kolejkach zaczęły się wspominki wojenne. Oni dwaj mówili w duecie, Konkiel solo. Woleli zresztą nadstawić ucha na szy-prową „gadkę”. Na pierwszy ogień poszedł nieszczęsny wrzesień.

„Żółtek” Konkielowy został zmobilizowany i miał zasilić naszą ubogą flotę. Ale szyper sromotnie się zawiódł — jego, właściciela i kapitana, odrzucono ze względu na podeszły wiek. Na nic się zdały podnoszone zasługi i praktyka morska w szeregach Kaiserliche Marine — w końcu zniecierpliwiony dowódca zespołu, kapitan Yougan, zezwolił staremu służyć na jego kuterku w charakterze doradcy nowego dowódcy, jakiegoś świeżo upieczonego podporucznika rezerwy, wziętego ponoć dziennikarza o nazwisku Giertych, za to o iście piastowskim imieniu — Jędrzej. Włodarzyli tedy we dwóch aż do jedenastego września, kiedy to po bohatersku samozatopiono dzielny okręcik wraz z kilku innymi w Kanale Depki, aby zagrozić Niemcom wejście do Pucka. Na nic jednak nie przydał się ów wyczyn, bo wojska Wilusiewego kaprała wdarty się do Pucka lądem.

25

I tak przepadł ze szczętem mój kurpik — westchnął stary. — Ano, za jego duszyczkę — ! wzniosł toast. Wypili, zakąsili...

Potem za tę mobilizację ciągnęli go Niemcy na Kamienną Górę, gdzie usadowiło się gestapo. Przesłuchiwali, grozili, trochę porachowali gnatów — już widział się w Sztutowie, ale ktoś tam w końcu, mądrzejszy i bardziej ludzki, dał spokój marynarzowi von Hippera.

— I jakoś nie zmożył mnie Niemce — westchnął z ulgą. — A biedny Marek, mój krewniak, a twój dreh, nie doczekał. Mścili się za spalenie tego kurpa „Deutschlanda” i knaba rozstrzelali. Ano, za jego duszyczkę! — znowu wzniosł toast.

Okupację jakoś przetrzymał. Łowił trochę węgorza i belony, nie za dużo, ale zawsze dostał te parę marek, oczywiście na łodzi, bo o kutrze nie było co marzyć — wszystkie, jakie jeszcze zostały, poszły do Kriegsmarine jako „hilfsminensuchbooty”. A teraz... teraz stara się o rentę, ale chciałby trochę jeszcze popływać, przecież ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat. Może dadzą jakiego nowego „żółtka”. Bo ci młodszy popłyną na Północne. A tak! Ponoć od czerwca „Dalmor” zacznie tam łowić...

Dopytywali o życie w zniszczonym kraju. Nie krył przed nimi powojennej biedy — wszystko na kartki, od mąki i cukru po śledzie, mydło i naftę. Owszem, można dostać i bez kartek, ale za jaką cenę? Litry spirytusu siedemset złotych, kilo masła — czterysta pięćdziesiąt, kilo świniny — trzysta, a cukru — sto osiemdziesiąt pięć... Najtańsze jeszcze zapałki i kartofle. Ale ludzie i tak zadowoleni — „! !” gadał stary. — Wierzą, że gdy odbudują fa-

26

bryki, a ze wsi dotrze więcej jada, wszystko powoli wróci do równowagi. — Aby tera — mówił Konkiel — przetrzymać te parę najchudszych roków. No to za tę nową Polskę, naszą, ludową, co jej twój braciszek tak broni — wznosił nowy toast. Pili jeszcze za swój szczęśliwy powrót, za Jurka, żeby wyzdrowiał, za Konkielowy kuter, za lepszą przyszłość, aż po którymś z rzędu toaście stracili rachubę i pamięć...

Rankiem „Pyra” miał skwaszoną minę i nietęgi humor. Aleksander sądził, że spowodowało to wczorajsze pijaństwo, ale omylił się. Stary właśnie począł do kuchenki, aby nastawić wodę na prawdziwą kawę, wydobytą przez Aleksandra z przywiezionych angielskich zapasów, kiedy Mikołajczak otworzył przed nim usta i serce:

— Wiesz, Aleks, miałem sen... Śnili mi się...

— Bujasz — nie dał mu skończyć. — Pamiętasz, co mówił nasz lekarz okrętowy? Ludzie znajdujący się w stanie zamroczenia alkoholowego nie mają żadnych marzeń sennych.

— A ja miałem — upierał się „Pyra”. — Śnili mi się moi starzy, a ja jakbym tam z nimi siedział i było tak cholernie dobrze, kiedy w końcu dotarło mi do rozumu, że przecie to nie Poznań, ale ten wszywy domek naszego Kaszuba...

— Mógłbyś się grzeczniej wyrażać o domu, pod którego dachem udzielono ci gościny...

— Dobra! Ale... nie gniewaj się na mnie... bo widzisz... ja muszę... ja chcę wracać do siebie, do domu!

— Nie trzymam cię, ale obiecywałeś...

— Obiecywałem, ale sam rozumiesz... Tyle lat... Nie mogę.

27

Jedli w milczeniu. Na próżno stary usiłował naciągnąć ich na wspomnienia.

— Wyjeżdżam dziś, dziadku — poinformował go „Pyra” — Ciągnie mnie do fatrów i do dziewczyny...

- Patrzaj! — zdziwił się Aleksander. — Nigdy nie gadałeś o dziewczynie...
- Ano jest taka jedna. Swatali mnie z nią pół żartem, pół serio... Nie wiem, co teraz robi, może już zamężna?
- Ano, brachu, twoja wola. Czuję, że wsiąkniesz w buraczany czarnoziem i o morzu ani pomyślisz. Chyba że na urlop przyjedziesz na plażę poleżeć — dodał.
- Jeszcze się zastanowię. Widzisz, ja mam zawód, byłem tokarzem u Cegielskiego...
- Ech, ty zejmanie z bożej łaski — sarknął Konkiel. — Ucieka toto od morza, a przeca morze to chleb!
- Chleb to u nas w Wielkopolsce — zachnął się „Pyra” — a u was tylko pomuchel i sledze...
- Zapomniałeś, że u was są jeszcze pyry — sprostował złośliwie Aleksander — ważny produkt żywnościowy...

I tak, po siódme, rozstał się z Mikołajczakiem. Poszli na dworzec, wykupili bilet. Pociąg odchodził o drugiej z minutami, było więc sporo czasu, ale „Pyra” dostał ataku „reisefieber”. Nic nie mógł jeść, pakował się chaotycznie, ciągle czegoś zapominając, Konkielowi ledwie zdążył podać rękę, o wypiciu strzeziennego nie było nawet mowy, a potem pognął Aleksandra jak dorożkarską szkapę, tak się spieszył. Zziajani dobili do przystani zwanej dworcem kolejowym.

Stalowy rumak dyszał już pod parą, a do

28

wagonów szturmowano niczym do baśniowej groty Sezamu.

- Pilnuj bagaży, ja tu zrobię trochę po-rzundku — zdecydował „Pyra” i na serio zabrał się do niesfornych pasażerów. Granatowy marynarski mundur i nieco siły w stosunku do opornych zrobiło swoje. Wkrótce do wagonu, który upatrzył sobie Mikołajczak, wchodziły najpierw kobiety i dzieci, a potem dopiero „dzentelmeni”, co wprawiło w zdumienie nie tylko Aleksandra, ale i nieboraka konduktora.
- Niech ci Bóg da zdrowie, marynarzyku — błogosławiła go jakaś starowinka z wiklinowym koszem, która bez tej pomocy mogłaby tylko marzyć o podróży.
- A co? — promieniał „Pyra”. — Porzun-dek musi być!

Wyściskali się jak dwa niedźwiedzie, potem Mikołajczak ruszył na swoje miejsce w przedziale, zarezerwowane dla niego przez niczego sobie blondynę. Aleksander podał mu przez okno wór i walizkę.

- Napisz do mnie — Mikołajczak z galanterią podał mu adres domowych pieleszy, nagryzmołony na karteczce, wyrwanej z notesu życzliwej blondyny.

— Jak tylko zajedziesz, zaraz napisz na adres starego, co zastałeś — zatroszczył się a przyszłość przyjaciela. — Do rychłego zobaczenia! — wrzasnął w stronę ruszającego wagonu i pobiegł jeszcze za nim. Kolejno mijały go wyładowane ludźmi stalowo-drewniane pudła, aż skończył się ich sznur i Aleksander zrozumiał, że oto ubył mu jeszcze jeden z grona najbliższych.

I co teraz? Po ósme, dziewiąte i dzie-

29

siąte? Generalna klapa! I to miał być ów wymarzony powrót?

Zadumany ruszył do wyjścia. Teraz w Gdyni bliski był mu tylko jeden człowiek — stary Konkiel. Żeby już ta matka wróciła jak najprędzej... Albo chociaż napisła...

Szedł z głową nabitą myślami, nikogo i niczego nie widząc. Wpadli na siebie z jakimś spieszącym się podróżnym, Aleksander potknął się i runął jak długi na zieleń trawnika. Zły jak sto nieszczęść poderwał się, gdy nagle przyszło olśnienie. To nie żaden zły, ale dobry omen. I roześmiewszy się, powtórzył, parafrazując słowa Scypiona Afrykańskiego:

— Ziemię rodzinną, biorę cię oto w ramiona!

Ktoś życzliwy pomógł mu wstać, otrząpywał marynarkę i spodnie.

— Nic się panu nie stało?

— Widzi pan — sumitował się Aleksander — ślubowałem po powrocie do kraju ucałować gdyńskie bruki i byłbym zapomniał. W porę jednak przypomniałem sobie o tym i wypełniłem ślubowanie...

Nieznajomy przyglądał mu się uważnie.

— Proszę pana — zapytał powoli — czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy?

2. Znów „Dar Pomorza"

Co ma większy wpływ na losy człowieka — przypadek czy przeznaczenie? Jeszcze w gimnazjum, do którego uczęszczał Aleksander, nim za dalszą, cierniową drogę swego żywota obrał trudny szlak „ryczących czterdziestek",

30

brak było jednolitego poglądu na tę sprawę. Część klasy, zaczytująca się „Dzwonnikami z Notre Dame" i „Baśniami tysiąca i jednej nocy", twierdziła autorytatywnie, że przeznaczenie. Druga część, wrogo nastawiona do wszelkiej lektury, o ile nie były to książki Maxa Branda i Edgara Wallace'a, a w sposób iście przypadkowy zdobywająca promocje do następnych klas („przypadki chodzą po ludziach" — stwierdzał zawsze cierpko wychowawca, pan Marcjan, przystępując do wręczania świadectw), dałaby

sobie odciąć nie wiem co, że to właśnie przypadek, zaś trzeźwo myślący „racjoniści” (była i takich nieliczna grupka), podczytujący ukradkiem dzieła filozofów, uważali to wszystko za brednie, gdyż nikt inny, tylko- sam człowiek jest kowalem własnego losu. Nasz bohater, skłaniając się oficjalnie ku trzeciej grupie, w głębi serca był zabobonnie przekonany, że jeśli chodzi o niego samego, to przypadek niewątpliwie od czasu do czasu pokrzyżuje mu wykuwany zawzięcie własnymi uczynkami los. Z czego wynikało to przypuszczenie — nie wiedział do czasu, póki nie wyczytał kiedyś w artykule Strumpha Wojtkiewicza zdania: „...być może przypadki istotnie rządzą ludźmi, ale jakże często my sami te przypadki nieświadomie powodujemy”. Ucieszony tym znaleziskiem niczym formułą na kamień filozoficzny, gdyż było to niejako „wyjście z ciosem” z zawilego bardzo problemu, poprzysiągł sobie solennie unikać wszelkich nie przemyślanych posunięć, aby nie powodować lawiny przypadków. Ale nie było to możliwe, o czym przekonały go późniejsze wydarzenia wojenne. Przypadek, nieodłączny jak cień, towarzyszył mu krok w

31

krok. Nieraz zastanawiał się, czy to nie przeznaczenie zsyła mu owe przypadki, ale wtedy gubił się całkowicie w rozumowaniu, gdyż wszystko to zaczynało przypominać rozważania o jajku i kurze — które z nich było pierwsze, lub też naukę o syzygiach, tylko którą z pary wybrać — przeznaczenie czy przypadek? Wszystko wracało więc do punktu wyjściowego i przypadki nadal hulały w Aleksandrowym curriculum vitae. Z czasem jednak podzielił je na przypadki dobre i przypadki złe.

Teraz też, uważnie wpatrując się w twarz nieznanego i siłąc na rozpoznanie, drżał od wewnętrznego przeświadczenia, że oto znów jeden z przypadków stara się wpłynąć na jego dalsze losy. I znowu pytanie: dobry czy zły? Jak dotychczas, większość przypadków przynosiła mu raczej kłopoty, i to nawet tęgie, po namyśle więc, tym bardziej że twarz tamtego była raczej obca, postanowił uchylić się od nowego zrzędzenia losu.

— To pomyłka — mruknął, ruszając przed siebie. Ale tamten nie ustępował.

— Ja mam dobrą pamięć i oko — rozpoczął przechwałki.

Aleksander zatrzymał się. Durna pało — sfukał się — przecież ten człowiek ma granatowy mundur z czterema złotymi paskami na rękawach i białą czapkę. A więc marynarz, tylko skąd mnie zna — z Wielkiej Brytanii, Australii, z jakiejś wyspy na Pacyfiku czy może ze Szkoły Morskiej? — rozmyślał gorączkowo. — No jasne, tylko wtedy był trochę młodszy, miał gęściejszą czuprynę... Ależ tak, oczywiście, gdzie miałem oczy, przecież to sam, we własnej osobie, Kazio Jurkowski,

32

znaczy się „Goryl”, jak nazywali go najbliżsi przyjaciele.

— No co, przypomniał pan sobie? — spytał tamten.

— Tak, proszę... pana — potwierdził oschle Aleksander, którego ubodła forma „pan”. Zadziera nosa — pomyślał — kapitan żeglugi wielkiej, figura...

— A więc?

— Jurkowski... Kazik, jeśli się nie mylę — stwierdził bez entuzjazmu.

— No, oczywiście — rozradował się tamten. — A pan to przecież Olek Kendelewicz! — wykrzyknął. — Kopę lat...

Uścisnęli sobie dłonie. Aleksander, który spodziewał się raczej całusa z dubeltówki, jako że byli ongiś dobrymi kumplami, poczuł gwałtowną urazę do tego człowieka za jego oschłość i aby ulżyć rozżalonemu sercu, ścisnął prawicę „Goryla” z całej mocy, aż biedak syknął z bólu.

— Siłę to pan ma jak dawniej — powiedział z uznaniem i śmiesznie wykrzywiwszy twarz, masował obolałe palce.

Znowu pan — sapnął Aleksander. — Figura jak jasny gwint, dba o swój autorytet, nie ma co...

Padło sakramentalne „Co słychać?” i ani się Aleksander spostrzegł, jak znaleźli się przy stoliku w małej kawiarence „Magnolia” czy „Melodia” — nie zdążył odczytać nad wejściem.

Kelnerka — rośła, piersista, dobre sto kilo żywej wagi — postawiła przed nimi flaszkę wina i dwie maciupęńkie kawy. Pierwsze kielichy rozwiąły nieufność i Aleksander zaczął „puszczać farbę”.

3 — Synowie marnotrawni

33

Na pierwszy ogień poszły oczywiście wojenne wspomnienia z „Krakowiaka”, zilustrowane legitymacją „Medalu Morskiego”, potem Aleksander wyciągnął z portfela inne, opakowane w celofan dokumenty. Jurkowski, choć nie pałał ciekawością, z uznaniem obejrzał jego książeczkę żeglarską, upstrzoną kolorowymi pieczętkami o tajemnej treści.

— Do licha, prawie same obce. Nie można powiedzieć, żeby przepadał pan za białą-czerwona banderą...

— Cóż, trudno. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym ukończyliśmy budę, ale nie było dla mnie pracy w PMH, pozostały więc obce bandery — zaczął się usprawiedliwiać Aleksander. — Pan rozumie, ja chciałem pływać!

— Co za egzotyczne nazwy! — dziwował się Jurkowski. — M/s „Peccaboo”... — sylabizował z trudem.

— Pływałem na nim jako asystent pokładowy.

— Albo ta... s/s „Foochoow”.

— Tak. Byłem tam za czwartego oficera...

— Ta znowu strasznie śmieszna: s/y „Pu-kapuka”.

- Byłem tam sternikiem. Taki niewielki szkuner, zbieracz kopy z samotnych atolów Pacyfiku...
- Długo pan pływał po tym Oceanie, rzekomo Spokojnym?
- Siedem lat. Najpierw jako marynarz floty handlowej, a potem jako His Majesty's soldier w Royal Australian Navy...
- No, ale w końcu znalazł się pan na „Krakowiaku”...
- Tak, w tysiąc dziewięćset czterdziestym

34

czwartym. To skomplikowana historia... Ale tak chciałem wrócić do kraju, że rozumie pan, przewyciężyłem wszelkie przeszkody... — Umilkł. Ciężar wspomnień przerwał mu potok wymowy.

- Rozumiem, rozumiem — mruknął Jurkowski, a potem nagle spytał: — A co teraz zamierza pan robić?
- Jak to co? Pływać! — wypalił Aleksander. — Navigare necesse est.

„Goryl” wydawał się być zbudowany takim zapałem, lecz na wargach wykwitł mu kpiarski uśmiezek:

- A na czym, jeżeli wolno spytać?
- Jak to na czym? Na statkach, polskich statkach!
- Ach tak — roześmiał się tamten i naraz spoważniał:
- Ciężko jest — zaczął — na rynku pracy, jeśli chodzi o tabor pływający. Siły roboczej dużo, natomiast statków mało. Jak pan wie, te, które wróciły, można policzyć na palcach: „Wilno”, „Batory”, „Sobieski”, „Kraków” i ze trzy inne. Liczymy na reparacje wojenne, na tabor poniemiecki, ale to jeszcze potrwa, jeszcze długo potrwa... Władze starają się jakoś rozładować sytuację: port, trochę rybołówstwo, ale to są półśrodki. Niech mi pan wierzy, szczerze boleję nad tym, że tylu fachowców jest na bruku. O! Wie pan, czym na przykład zajmuje się obecnie jeden z kapitanów żeglugi wielkiej? Nie zgadnie pan nigdy... Prowadzi kiosk z lodami. Ale czeka. Chodzi o to, żeby przeczekać ten najgorszy okres. To jest przymusowe bezrobocie... Specyficzne, bo bezrobocia u nas nie ma, praca leży dosłownie na ulicy. A pan tak strasznie chce pływać, co? Ja to rozumiem.

35

Ale — znów się uśmiechnął — niech mi part powie: czy wierzy pan w cuda?

- W cuda? — zachnął się Aleksander. — Chyba nie, ale wierzę w przypadki!
- W przypadki, powiada pan... No, niech, będzie, że to szczęśliwy traf...

Aleksandrowi mocniej zabiło serce. Jednak wiedziałem, że coś się stanie — pomyślał i z podniecenia

zadrżała mu ręka trzymająca kieliszek. — A więc już drugi dobry przypadek. w ciągu tych dwu dni. Najpierw Konkiel, a teraz...

— Wypijmy za ten szczęśliwy traf — wznosił toast Jurkowski. Aleksander o mało się nie zakrztusił.

— Bo ja — zaczął celebrować powoli zdanie tamten — mam jedno miejsce, które mogłoby pana zainteresować. Sądzę, że ma pan wystarczający staż, aby móc się o nie ubiegać. Jest to stanowisko instruktora wachtowego na „Darze Pomorza”...

— Na „Darze Pomorza”? — • zdumiał się Aleksander.

— Właśnie na „Darze”. Niedawno Marynarka Wojenna zwróciła go Szkole Morskiej i teraz szykuje się w pierwszy powojenny rejs. Ładny rejs, proszę pana. Do Europy Zachodniej. Portsmouth, Gibraltar, Marsylia... Ale dla pana to nie taka znów atrakcja — powiedziała z przekąsem. — Pan widział nie takie rzeczy... „Dar” popłynie dodatkowo z kursem oficerów z wojska polskiego...

— Niemożliwe...

— Tak. Podobno to kandydaci na oficerów marwoju, ma to być ich pierwsza morska zaprawa. Ale wróćmy do pana. Praca będzie niewątpliwie ciekawa. Szkołuł w tym, że to żag-

36

łowiec, a pan wyszedł już chyba z wprawy i nie jest przygotowany do tego rodzaju służby!

— Coś ty — wyrwało się Aleksandrowi. — Przecież wiesz... wie pan, że znam „Dar”, pływaliśmy na nim do Ameryki Południowej, a nawet dokoła świata. Jako starszy kursant •dublowałem wtedy instruktora wachtowego...

— No proszę, byłbym zapomniał — zakpił „Goryl”. — A więc zdobył pan chyba wyśmienitą zaprawę żeglarską i zna swoje przyszłe obowiązki. Wierzę, że da pan sobie radę. Bo, prawdę mówiąc, to my tam wybrzydząmy, byle kogo nie bierzemy...

Fiu, fiu, fiu! My tam wybrzydząmy... Byle kogo nie bierzemy... Coś podobnego. Czyżby to nowe wcielenie „Macają”? — zdumiewał się Aleksander.

— To... pan teraz włada „Darem”? — wydusił z siebie i aż nie poznał własnego głosu.

Przez czoło tamtego przemknęła jakby niewielka chmurka.

— Jestem tam... starszym oficerem, a króluje nam komendant Gorazdowicz, zna go pan chyba?

— Oczywiście — przytaknął Aleksander, wpatrzony w złote galony na rękawach Jurkowskiego. — No proszę, jest już kapitanem, a ja? Właściwie niedaleko zaszedłem w karierze marynarskiej i teraz... Furda tam, nie jest źle. Najważniejsze, że będę pracował u swoich, na polskim statku, i do tego jeszcze na „białej fregacie”... Cholera! Toż to jakiś nomen omen z tym „Darem” — zmacał blizny na twarzy i karku — wszystko się na nim zaczęło i teraz się zakończy...

— Ale, ale — zreflektował się poniewczasie Jurkowski — przecież pan dopiero co wrócił

3?

do kraju, więc jakżeż tak zaraz na pływanie? Musi pan odpocząć, nabrać sił, może się nawet ożenić? A ja tak od razu... Przeholowałem więc ze swoją propozycją...

— Skądże! Panie kapitanie, nie wróciłem tu, aby się objąć, zresztą przyzwyczajony jestem do pracy. A pływać mogę choćby już. Dzień wcześniej, dzień później to dla mnie żadna różnica — bluffował Aleksander, ale brzmiało to dość przekonująco. Jednakże nie dla Jurkowskiego.

— Cała wstecz! Nie bądź pan taki w gorącej wodzie kąpany. Pomieszkać trochę na lądzie. Swoją drogą dziwak z pana. Ale... ad rem. Przyjmuje pan moją ofertę? Żeby potem nie było żadnych dąsów i kwasów, że zagnałem pana znów do kieratu...

— Oczywiście, kapitanie. Mówiąc szczerze, to w chwili obecnej moim jedynym domem jest morze...

— Fanfaronada — zachnął się, nie bardzo zrozumiałwszy to zdanie, Jurkowski. — Nie mnie opowiadaj pan takie banały. Lecz jeśli się tak uparteś, twoja sprawa. Mnie to nawet na rękę — zerknął na zegarek.

— No, na mnie już czas. Niech pan wpadnie jutro z rana na „Dar”, stoimy w Stoczni Gdyńskiej. Powiedzmy... o dziesiątej. Będzie komendant, wszystko dokładnie obgadamy. Jak mu się spodobaś — dodał poufale — to „pośred-niaka” biorę na siebie.

Długo w noc Aleksander nie mógł zasnąć. Zaciekawionego Konkiela zbył kilkoma zdaniem i wsłuchując się w starcze pochrapywanie szypra, śnił na jawie sen o białej fregacie.

Rankiem, na czczo, gdyż śniadanie jakoś nie

38

chciało mu przejść przez gardło, znalazł się na rozbłyszczonej słońcem gdyńskiej ulicy. Z portu niosło się porykiwanie syreny holownika. Odetchnął głęboko i obrawszy kurs na Stocznę, ruszył przed siebie kołyszącym się, marynarskim krokiem. Niecierpliwość uskrzydlała go. Wziął przepustkę i z niepokojem minął stoczniową bramę.

Nie potrzebował nikogo pytać o drogę — „darowskie” maszty i reje przerastały najtęższe budynki. Szedł ku nim na nogach drżących jak po wielkim wysiłku, coraz prędzej, żeby na samym nabrzeżu stanąć nagle jak wryty. Przed nim, lśnią bielą niby wielki ptak — mewa, albatros, a może orzeł — rozpościerała się strzeliście od bomstengi poprzez jabłka topów aż do bezanbomu ściągnięta szttagami, pa-dunami i wantami biała fregata.

Aleksander stęknął głucho i przymrużył oczy jak więzień, którego po wyjściu z lochu oślepiło światło dnia. Zmobilizował swoje nagle sflaczałe mięśnie do zwawszego ruchu. Coś ciągnęło go do tego statku, choć umysł trwożliwie sygnalizował, żeby nie dowierzać zbyt szczęściu, bo może stanąć na przeszkodzie tysięcy i jedna przyczyn.

Podchodząc do trapu, zaczął dostrzegać i słyszeć coraz więcej, jakby rozdzierała się przed nim wielka kurtyna tajemnicy. Tu na stołkach bosmańskich siedziało kilku chłopów w zapać-kanych drelichach i podśpiewując, żwawymi ruchami pędzli nadawali ostatni szlif burtom; tam na pertach inni, zdawać się mogło, pieścili dłońmi zrefowane płótniska żagli; ówdzie wrzała ożywiona krzątająca przy załadunku zapasów. „Dar Pomorza” szykował się gorączkowo do pierwszej powojennej podróży.

39

Przełamując skurcz szczęk, spytał niskiego, krępego wachtowego:

— Pan komendant Gorazdowicz już jest? Wachtowy, przyjrawszy mu się „od stępki do topu”, odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Czy ma pan jakiś interes do komendanta?

— Tak. A teraz odpowiadać — odparł szorstko Aleksander, któremu wachtowy z miejsca się nie spodobał. Ten zaś uśmiechnął się pod nosem:

— Nie ma się co złościć — powiedział pojednawczo. — Tu ciągle ktoś zawraca komendantowi głowę, więc kazał dopuszczać do siebie tylko w takich sprawach, gdzie konieczna jest jego i tylko jego decyzja — wyjaśnił nieco zawile.

— To się świetnie składa, bo ja właśnie w takiej sprawie...

Wachtowy ciekawie nadstawił uszu.

— No to prowadź pan do komendanta.

— Ale co mam powiedzieć?

— Że przyszedł marynarz w sprawie pracy — burknął Aleksander ze złym przecuciem w sercu. Jak też go przyjmie ten Gorazdowicz? Czy Szkoła Morska, żegluga pacyficzna i wojna na „Krakowiaku” będą dostatecznymi referencjami? Zaraz, zaraz, przecież Gorazdowicz był w swoim czasie dowódcą „Krakowiaka”, a wspólna służba zobowiązuje...

— Przychodzą tu tacy ciągle — monologował wachtowy — co to uważają się za marynarzy, ale u nas komplet i stary pędzi ich bez litości.

— Ja mam skierowanie z „pośredniaka” —

40

skłamał, aby zahamować choć na chwilę potok wymowy tamtego.

— Tamci też mieli. Ale nasz stary wyczuje prawdziwego zejmana na milę...

— No to prowadź, do cholery, bo go już pewnie kręci potężnie w nosie od chwili, gdy wszedłem na

pokład...

Wachtowy wyraźnie tracił kontenans.

— Człowieku! Toż ja jeszcze przed wojną opłynąłem na „Darze” świat, a „armat” się więcej naczyściłem, niż ty zdążyłeś nafajdać!

Oszołomiony wachtowy, całkiem skonsternowany, ruszył we właściwym kierunku. Przedtem zamyślił sobie zakpić z tego mądrali i powodzić go trochę po statku, a tu masz, okazuje się, że to weteran z „Daru”. Trudno. I do tego taki dryblas — kto wie, może jeszcze zostanie tu na stałe. Lepiej mieć go po swojej stronie...

Roześmiał się sztucznie: — Ja tylko tak dla humoru, kolego — zaczął tłumaczyć.

— Dobra jest — przerwał mu Aleksander. — Bierz kurs na komendanta i będziemy kwita...

Kilkunastu ludzi cegiełkowało pokład. Wyglądali zbyt wyrośnięci jak na kursantów. To chyba ci z marwoju — pomyślał.

— Mocniej, mocniej! Podsypać więcej piasku i równo wzdłuż klepki — doradził wachtowy jednemu z nich.

Człowiek ów uniósł zaczerwienioną z wysiłku twarz i słuchając, przeżuwał w ustach przekleństwa, których jednak jak wróbli nie wypuścił w świat. Zaczął znów trzeć deskę, automatycznie, bezdusznie, niczym mechanizm.

— Chluśnij mi trochę wody —• rozkazał

41

wachtowy innemu, a potem zadowolony wyjawiał Aleksandrowi, w czym rzecz: — To ci z gwiazdkami. Stare konie, a zachciało im się morza. Trzeba im dać w kość, żeby z zajęców zrobić prawdziwych wilków morskich... Trochę zobaczą świata, nim potem zostaną oraczami Bałtyku. To co, idziemy od razu do komendanta?

— Może najpierw wdepniemy do Jurkowskiego — bąknął Aleksander — a potem razem z nim...

Wachtowy uśmiechnął się pod nosem, ale nie powiedział już nic, tylko chrząknął znacząco, jakby dawał do zrozumienia, że widzi dokładnie tę Aleksandrowa bojaźń.

Niestety, w kabinie chiefa nie było nikogo.

— Pewnie siedzi u komendanta — domyślił się wachtowy.

Jeszcze kilka kroków i stanęli pod kabiną pierwszego po Bogu. Niegdyś stanowiła ona sanktuarium „Macaję”, teraz rządził tu wszechwładnie jeden z jego wychowanków. Aleksander westchnął. Przez uchylone drzwi dobiegł ich rozgniewany głos:

— ...ten Smoczek nie ma żadnego opamiętania. Tak nas urządzić... Milicja znajduje go na torach zalanego w sztok, obrobionego do czysta, w samych gatkach. Diabli wzięli dokumenty, nie mówiąc o reszcie. Straszili mnie, że chcą go zdjąć, mimo iż wychodzimy w rejs. Po co ma za granicą kompromitować polską banderę... Kiedy on, u diabła, zmądrzeje? No powiedz... Uważaj więc, Kaziu, bo zostaniesz bez drugiego!

— Stefan! Ty się nie daj zastraszyć. Z nimi trzeba twardo. Nie ma ludzi, nie płyniemy. Nie myślę harować za wszystkich. A Smoczek

42

pije tylko na lądzie, w morzu jest jak apostoł i zna swój fach...

— Nie martw się. Na razie to tylko strachy na lachy. A teraz działaj, bo o siódmej holują nas pod Dworzec Morski. Zdążysz ze wszystkim?

— Co nie mam zdążyć, już finiszuję. Pogadamy dokładniej o wszystkim przy obiedzie, a teraz przejdę się po statku.

Aleksandrowi zabiło mocniej serce. Zaraz zobaczy swego pracodawcę. Jak też wypadnie na pierwszy rzut oka? Jakoż skrzyknęły drzwi i znalazł się twarzą w twarz z Jurkowskim.

— To nowy marynarz, przysłany z pośredniaka... — zaczął mówić wachtowy, ale Jurkowski przerwał mu energicznie:

— A, to pan! Witam i proszę na razie do mojej kabiny. Komendanta zobaczy pan później. I co, nie rozmyślił się pan? To dobrze, to dobrze...

Usadowiwszy go w fotelu, Jurkowski teraz już oficjalnie poprosił o dokumenty i zaczął robić z nich wyciągi w wielkiej, rozłożonej na biurku księdze. Aleksander niemal w nabożnym milczeniu przyglądał się tym czynnościom. Przyjmie czy nie? — obawa na przemian z nadzieją przypuszczały kolejno szturm do wzburzonego umysłu. Dlaczego nie miałyby przyjąć, przecież sam mnie tu ściągnął — uspokajał się.

— To mi wystarczy, kolego — Jurkowski przerwał pisanie i uśmiechnął się przyjaźnie. Aleksandrowi wydało się, że pojaśniało w kabinie od tego uśmiechu. — Nie pamiętam już, czy byliśmy na ty, ale jeśli... W każdym razie jestem Kazik...

— Aleksander...

43

Uścisnęli sobie ręce.

— Oczywiście służba jest służbą i obowiązuje normalne tytułowanie, ale poza służbą jesteśmy kumplami.

— Oczywiście, panie kapitanie!

— Obejmie pan instruktora w pierwszej wachcie. Na razie nie ma nic lepszego... Oficerem jest porucznik Smoczek, pamiętasz go chyba? Dusza człowiek, ale po służbie straszny oliwa — tu Jurkowski wdał się w szczegóły techniczne, które zajęły mu nieco czasu. Aleksander słuchał nieuważnie, jeszcze nie mógł pojąć, że najtrudniejsze ma poza sobą,, że znów będzie pływał.

— Najgorsza przeprawa czeka cię z WOP-~em. Trzeba uaktualnić książeczkę żeglarską, zrobić sobie sześć zdjęć, napisać,.. Zaraz, zaraz... zajęłoby ci to zbyt dużo czasu, a mamy go jak na lekarstwo, tuż po piętnastym idziemy do Sztokholmu na demagnetyzację... Wiesz co, zostaw lepiej swoje papierki, postaramy się załatwić to z urzędu, przez ministerstwo. A teraz pójdziemy do komendanta, niech on się martwi...

Gorazdowicz nie wyglądał zbyt groźnie i Aleksander odetchnął z ulgą. Błądził wzrokiem po szczegółach komendanckiej kabiny, kiedy Jurkowski przedstawiał jego sprawę.

— Przyjmuję pana — oświadczył na zakończenie tych wywodów następca „Macają”.

— Dziękuję, panie komendancie.

— A wojnę gdzie pan spędził?

— Zakończyłem ją na ORP „Krakowiak”.

— Świetnie! Jesteśmy więc towarzyszami broni — uścisnął mu dłoń na pożegnanie.

Podeszli z Jurkowskim do trapu.

— No, to zwalniam cię na dziś. Załatwiał

44

sprawy osobiste. Przede wszystkim zrób zdjęcia, a jutro o ósmej melduj się na pokładzie. Tylko nie pomyśl się. Dziś wieczorem przechodzimy pod Dworzec Morski, tam się zgłosisz... Wachtowy uśmiechnął się przypocholebie.

— Do zobaczenia, kolego! — rzucił mu Aleksander na odchodnym, zbiegając lekko na nabrzeże. Czuł się, jakby mu przypięto skrzydła do stóp. Ani się spostrzegł, jak był już przy bramie. Kiedy zdawał przepustkę, strażnik — z wyglądu jakaś schorowana, zabiedzona chudzina, któremu za całą twarz musiał wystarczyć potężny zakrzywiony nochal z wiechciem rudawego po brzegach wąsa — widząc tę chodzącą radość, pragnął uszczknąć coś z niej dla siebie. Mrużąc pociesznie oko, zaczeplił go:

— Ej, kamrat — wymamlał posiniałymi wargami | — masz co zapalić? Może lukistri-ka? — Umilkł, czekając na odpowiedź, a siwe-oczka płonęły nadzieją.

Normalnie Aleksander odburknąłby: „Na posterunku nie wolno palić!”, ale dziś?

— Mam — rzekł pogodnie — ale nie lucky strike'i...

Nadzieja zgasła w strażniczych oczach. Z trudem przełykając ślinę, mruknął zrezygnowany: — Eee, krajowe...

— Masz tu coś lepszego od twoich amerykańców. To nasze morskie papierosy. Pal ile-wlezie — i wcisnął w sękatą, brudną rękę całą paczkę playersow. Niech tam, niech i ten tu się cieszy.

— Ooo... — radośnie zdumiał się mizerny cerber — angielskie... Fajny z ciebie chłop, od razu sobie pomyślałem... Schowam to na lepszy czas — zwierzył się.

Aleksander pruł w górę, w stronę wiaduk-

45

tu, szeroko rozstawiając nogi. Morski fason. W dole manewrowała lokomotywa, ciągnąc kilka wagonów w stronę basenu węglowego. Czarne złoto lśniło w promieniach zmierzającego ku zachodowi słońca. Parowóz ciężko sapał, spowijając wiadukt w mlecznoszary tuman mgły. Dym zakręcił go w nosie, zdławił krtań, ale nawet nie zaklął. Mruknął tylko: — Zjeżdżaj stąd, smoiuchu — i zdziwił się, że taki jest wesół. Jak to dobre wiadomości poprawiają humor człowiekowi — teraz widział już jakiś cel i był przez samo to szczęśliwy. Wrócił do kraju, dostał pracę i znów popłynię na morze. To dziwne, ale zaczęło mu się za nim cknąć, jakby za mało było tego, co przeszedł i użył. Niepokoił się tylko o matkę — dlaczego tak długo nie wraca i nie pisze nic do Kon-kiela? Co prawda nic przecież nie wie, że wróciłem. Gdyby wiedziała, gnałaby pewnie na skrzydłach do Gdyni — pocieszał się. — Poczekam jeszcze z tydzień — postanowił — a jak nie będzie listu, to machnę się do tego Rzeszowa czy Tarnowa i odszukam całą trójkę. Tylko... prawda... za dziesięć dni płyniemy do Sztokholmu...

Tak rozmyślając, maszerował Portową w stronę Świętojańskiej. Tu w „Foto Mimoza” zrobił sobie zdjęcia, a potem zadumał się, co robić dalej. Choć wabiły tu i ówdzie wielkemiejskie uciechy, postanowił wrócić do starego i pocieszyć go radosną wieścią.

Po dobrym obiedzie zjawił się w chatce na Redłowie z butelczyną silver topu dla oblania sukcesu.

— A to cię, knabie, przyparło — dziwował się stary szyper, kiedy przy kielichu pochwalił mu się nową pracą — co tak rychtyg na

46

wielką wodę chcesz popłynąć. To chęć przeca coś dopiero z Westu wrócił. Nikt cię nie goni —> w głosie jego zabrzmiał jakby wyrzut. — Posiedziałyś se u mnie, poleżał na słończku, odpoczął...

— Eee tam — zlekceważył te propozycje Aleksander.

— A choćby i na matkę poczekał, ot co — napomniał stary.

— Matki na razie nie ma, a kiedy wróci, to ja już będę. Teraz o pracę trudno i taka okazja może się nie powtórzyć. Zresztą „Dar” to moje przeznaczenie!

— Ty sam nie wiesz, co gadasz, a wszystko bez to, że ni masz białki i do głowy ci uderza...

— Co też gadacie, panie szyper — obruszyła się męska duma Aleksandra — jeszcze mnie stać na co nieco i bez białki.

Konkiel machnął ręką: — To nie o taką pręczkę chodzi. Ciebie trzeba obiańczyć, no... ożenić po waszemu... A mam coś dla ciebie upatrzonego, mam. — A kiedy Aleksander zwrócił ku niemu zaciekawiony wzrok, powiedział: — Pamiętasz tę moją Trudkę, wnusię znaczy, co? Tera już osiemnaście roków stara, ładna, a włosy ma jak jantary. Jak ją ujrzysz, to ci się gęba otworzy z podziwienia.

— Nie pamiętam. Ale, ale... przecież ona urodziła się, kiedy ja zacząłem pływać w Blue Funnel Linę... Za stary jestem dla takiej młodej • dziewczuchy.

— Iii — skrzywił się szyper — co ty tam wiesz... Zresztą innemu jej nie dam, jużem przykazał Erykowi, coby dziewczuchy pilnował.

Eryk, szyprowy syn, wcześniej ruszył w świat, nie mogąc znieść „tyrańskich” rządów ojca.

47

dlatego Aleksander, znający nieco sagę rodu Konkielów, wyraził swoje wątpliwości krótkim: — Już on was posłucha...

— Posłucha, posłucha — gorliwie przytaknął stary. — On tera całkiem klar. Tylko daleko stąd, aż pod Szczecin wywędrował. Mógłbyś tam pojechać i sam zobaczyć, a nie mnie starego ganiać — ofuknął. — A dziewczucha ładna i osłuchana. I robotna, nie to co te miastowe...

— Czemu nie, zobaczyć mogę — zgodził się Aleksander.

— Twój ojciec, jakby żył, nie broniłby się przed taką synową — reklamował stary. — Nie myśl, co wielka woda to dla zejmana wszystko. Musi mieć i białkę, coby mu tu na ładzie chaty pilnowała i dzieciaki chowała.

— Macie rację, panie szyper — zgodził się potulnie Aleksander, chcąc przerwać potok wymowy starego. — Tylko że ja już za poważny dla niej...

— Cichaj, co ty wiesz... Ja miałem czterdzieści roków, a moja Kundzia dwadzieścia i dobrze było. Tylko trza się żenić, a nie gzić kurpami po wodzie.

— Na razie popłynę na „Darze”, a potem się zobaczy...

— Coś ty z tym „Darem” tak się uparł, ciągle tylko „Dar” i „Dar”. Kurp to nielichy, ale przeca tylko kurp, ani chata, ani białka, ani matka...

— „Dar” to moje przeznaczenie — powtórzył znów Aleksander i zaraz ugryzł się w język. Przeznaczenie? A więc nie przypadek, tylko przeznaczenie? Co u licha! Więc jak to jest naprawdę? Co w końcu rządzi losem człowieka? Przeznaczenie, przypadek czy on sam? A

48

może spytać szypra, co on na to? Ale ten jakby uprzedził pytanie:

- Jeśli Trudka tobie przeznaczona, to nic nie pomogą tu roki, to ją będziesz miał — perorował.
- Przeznaczona przez kogo? Przez was czy przez los?
- Przeze mnie, ale jeśli ja tak chcę, to i taki los ją spotka.

Aleksander niemal zaśmiał się z takiego rozumowania.

- A ty czego znowu? Śmiech na gębie, ale przeca widzę, że nad czymś tego medytujesz. Co cię gryzie? Powiadaj.
- A, nic, tak się zastanawiam, jak to w naszym życiu jest, co rządzi naszym losem, waszym, moim, że życie układa się tak, a nie inaczej?
- Czekaj, czekaj... No jakże, jak co komu przeznaczone, tak i będzie. Moja Kundzia młodsza była i pomarła, a ja żyję, choć starszy...

Aleksander, mając jeszcze w pamięci wypowiedzi szypra na temat zamęścia Trudki, uśmiechnął się na tę szyprówą niekonsekwencję, ale przemilczawszy to, pytał dalej:

- Hm... A na cóż żona zmarła?
- Hiszpanka, synu. Zara po wielkiej wojnie przywlekli ją z frontu. Moc luda chorzało. Kundzia pojechała do Gdańska, tam miała rodzinę i tam się zaraziła.
- A widzicie! — wykrzyknął z triumfem Aleksander. — A gdyby nie pojechała, toby nie zachorowała. Czyli jej śmierć to przypadek, a nie przeznaczenie. A poza tym mogła i wyzdrowieć, co jeszcze bardziej przemawia za przypadkiem.

† — Synowie marnotrawni

49

- Figa tam, synu, śmierć jej była przeznaczona, ja też zech chorzał i żyję.
- O właśnie. Więc tym bardziej był to przypadek.
- Żaden tam przypadek, co komu pisane, tak i będzie.
- No dobrze. Więc uważacie, panie szyper, że moja praca na „Darze” to też przeznaczenie? — zaatakował Aleksander, chociaż sam poprzednio sądził, że tak jest. — Przecież jeśli bym nie chciał, to mogę tam nie iść? Ale że przypadkowo jest miejsce wolne, więc idę. Sam tego chcę! Ale dlaczego? — pomyślał.

Szyper zastanawiał się przez chwilę.

- Jesteś jak wilk, natura ciągnie cię na wielką wodę, jak jego w las. Widno tak trzeba i nic tu nie poradzisz. Tobie widno sądzone pływać...
- Ale dlaczego właśnie na „Darze”?
- Sam gadasz, co tam wolne miejsce było...
- A więc przypadek!
- Licho z tobą, synu. Do ładu nie dojdiesz.
- Sam już dobrze nie wiem. Przecież zacząłem swoją karierę marynarską właśnie na „Darze” i teraz po tak długiej tułaczce trafiam znów na „Dar”. To jak to zrozumieć?
- Widno tak ci pisane...
- Wy wciąż swoje. — Zafrasowany Aleksander mimochodem zmacał swoje blizny. —> Albo i one... Przecież cała ta historia zaczęła się na „Darze”, a skończyła tam, na dalekim atolu. I traf chce, że po powrocie do kraju spotyka Jurkowskiego i ten go ściąga właśnie na „Dar”, jakby dla zamknięcia owych wydarzeń sprzed lat. Przypadek? W każdym razie ten „Dar” ma jakiś wpływ na jego życie. Nie może się z nim rozstać. Przeznaczenie?

50

Konkiel napełnił kieliszki.

- Napij się, synku. Na frasunek najlepsze lekarstwo. I nie turbuj się, nie wszystko człowiek może zrozumieć. Są różne historie nie zbadane.

Aleksander, któremu blizny przypomniały pewien niemiły epizod z życia, wpadł naraz w tok wymowy szypra:

- O, właśnie mam coś dla was, jeśli chcecie oczywiście posłuchać. I powiedzcie, czy to było mi pisane, czy też zwykły przypadek sprawił, że tak się wszystko przydarzyło.
- Pij i opowiadaj — zgodził się stary.
- Ale to długa historia...
- Mamy cały wieczór przed sobą, a i od nocki czasu pożyczymy, jeśli nie starczy.
- No, to słuchajcie. Pamiętacie, jak na „Darze” wypływałem w podróż dokoła świata? Wtedy to się zaczęło, a było to we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, chyba szesnastego...

CZĘŚĆ DRUGA

SERCE Z BURSZTYNU

1. W rejs dookoła świata

Ranek powitał ich słońcem i błękitem nieba. Przed Dworcem Morskim było szumno i gwarno. O ósmej, kiedy wstępował na wachtę, zdumiał się tłumem ludzkim, niczym wzburzony ocean falującym wokół darowskiego trapu — to rodziny, znajomi albo po prostu ciekawscy przybyli pożegnać uczestników pierwszej polskiej wyprawy na „podbój świata”.

— Na statek wpuszczają tylko za zaproszeniami — przekazywał polecenia oficera wachtowego „Żorz” Kaczorowski. — Resztę pędzić, gdzie pieprz rośnie.

Obaj zdający wachtę przesadnie ziewali na znak, że znoje marynarskiego żywota zmusiły ich do wstania w tym uroczystym dniu już o pół do czwartej.

— Jest na co popatrzeć — kusił Kazio Jurkowski — dziewczuszki kręcą się tu takie, że żal odpływać.

Rozejrzeli się po porcie. Stojące obok statki podniosły galę banderową, po basenach kręciły się śmigłe jachciki — to one miały odprowadzać polskich argonautów do kosi helskiej. Jeszcze tylko uścisk dłoni i... już rozpoczęli swoją wachtę. Teraz oni dwaj automatycznie

55

zerkali na wyciągnięte w ich stronę karnety zaproszeń — szczęściarze płynęli wartką strugą między nimi, opędzali się blindom i natrętnym gadułom, którzy po raz setny chcieli się dowiedzieć o znanych sobie rzeczach, uśmiechali się służbowo do panów, a zalotnie i po męsku do pań — jednym słowem sprawiali wrażenie srogich służbistów, a jednocześnie dziarskich chwatów, co to gotowi są wpływ płynąć przez Atlantyk. Ale pod maską zuchowatości krył się niepokój.

Aleksander niecierpliwie wyglądał matki. Po śmierci ojca ona jedna była dla niego różą wiatrów, busolą, sterem i bezpieczną przystanią. Dziś odpłynie od niej na długie miesiące. Obok radości z wyczekiwanych niecierpliwie przygód odczuwał już teraz tęsknotę za nią, bał się, że jej zabraknie i nie zobaczy tych szykujących się dla jego oczu rozkoszy. Zostanie z pędrakami Kaśką i Jurkiem. Czy zwolnią ją ze szkoły? — myślał wzburzony. — Powinni. W takim dniu... O Jurka się nie martwił, ten urwis na pewno zwagaruje, Kaśkę też puszcza — podobno nauczycielka nie może się jej nachwalić.

— Aleks! — zawołał Staś Brzozowy, jego wachtowe „alter ego”. — Twój brat...

Faktycznie, pod trap przeciskał się Jurek — awangarda rodzinnej pielgrzymki. Oczywiście bez zaproszenia.

— Olek — zaczął pokornie — wejdę na pokład, co? Rodzonego brata nie wpuścisz? — I nie czekając na zezwolenie, ruszył za jakimś otyłym jegomościem w słomkowej panamie.

Aleksander rozejrzał się, czy nie widać gdzieś „Ojca”, i spytał groźnie, kiedy brat stanął przed nim: — Prysnałeś?

§6

— Coś ty! — zaprzeczył żywo „Kandelabr”, pod takim bowiem pseudo Jurek znany był obiecującym młodym ludziom ze swojej klasy. — Dyro zwolnił, jak się dowiedział, że płyniesz dokoła globusa. Zazdrościł mi, to znaczy tobie...

— A gdzie mama i Kaśka?

— Przyjdą. Mama ma dla ciebie nawet jakiś prezent... Choroba, wygadałem się — paplał „Kandelabr”.

— Nie kazała ci nic mówić. Udawaj, że o tym nie wiesz, dobra?

— O co chodzi, Stasiu? — Aleksander dojrzał jakoweś znaki, czynione przez Brzozowego.

— Cóż to za pogawędka? — zabrzmiał tuż za plecami głos „Ojca” Kosko, oficera wachtowego.

— To mój brat... — zaczął niepewnie Aleksander i zaraz umilkł pod groźnym spojrzeniem Koski. Na szczęście kapitan był dziś w nastroju „kochajmy się”. Mina jego przeszła więc z „silny sztorm” na „wiatry umiarkowane, ucichające”.

— Mój drogi, na wachcie zapomnij o bracie. I nie przegap dyra, bo wtedy... — I pogroziwszy palcem, dodał: — Za pół godziny przybędzie dyrektor Mohuezy, więc mi uważać!

— Tak jest! — odkrzyknęli. Aleksander zerknął na trap, ale „Kandelabr” już znikł. Biedaczysko...

— Podpadłem u „Ojca” — powiedział do Brzozowego. Ten wykrzywił się pociesznie — nie taki diabeł straszny.

Obciągnęli mundury, poprawili świsty tra-powe. Czekali. Aleksandrowi minuty wlokły się — ani dyrektora, ani matki. — Z pewnością pojawią się oboje razem — podśmiewywał się Staś.

57

— Dyro człapie! — poinformował wreszcie życzliwie ktoś z przechodzących kolegów. Staś nacisnął buczek i po chwili przy trapie zebrała się świta z „Macajem” na czele. „Borys” miał uroczystą minę, nawet jakby rozradowaną, chociaż skrywał to skrzętnie pod maską surowości. — Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy — powtarzał. Widać niepokoiła go zapowiadana wizyta ministra przemysłu i handlu. Po udzieleniu Macierewiczowi oraz Kosce licznych przestróg i napomnień dyrektorskie oko spoczęło na obu wachtowych.

— A to co? Uczniowie? — zdumiał się. — Panie komendancie, proszę ich natychmiast, zdjąć i postawić kogoś z załogi — poinstruował „Macaj”. — Kiedy przybędzie pan minister, chciałbym, aby uczniowie tworzyli zwarty pododdział, bez żadnej tam diaspory...

Słowo stało się ciałem.

— Natychmiast przebrać się w drelichy — syknął „Ojciec” Kosko. — Za pięć minut zbiórka, staniecie razem ze swoją zmianą...

Przebierając się, Aleksander spojrzął przez iluminator na nabrzeże. No jasne! Że też musiało się to stać

właśnie teraz! Po moło prawie biegła wraz z Kaśką i Jurkiem matka. Pospiesznie ruszył ku trapowi i prawie jednocześnie zabrzmiał sygnał na zbiórkę.

— Mamo, co tak późno? — powiedział z wyrzutem.

Przywitał się krótko, pospiesznie i wprowadził swych gości na spardek rufowy. Matka coś chciała mówić, była zakłopotana spóźnieniem. W eleganckiej sukni, z zadbaną fryzurą wyglądała jeszcze bardzo młodo.

— Biegnę na zbiórkę, potem porozmawiamy — rzucił i już go nie było przy nich.

58

„Borys” rozkuliwił się niemal do łez, żegnając swoich pupilów. Ponieważ czytał z kartki, brzmiało to wszystko sprężyście i lakonicznie. Co pewien czas, jako że stał tyłem do nabrzeża, odwracał głowę, rzucając tam szybkie, badawcze spojrzenie. Widać opanowała go całkiem ministerialna gorączka. Uczniowie uczniami, ale tam pan minister i broń Boże go przegapić. Kiedy skończył i dokonał przeglądu argonautów, na moło nastąpiło gwałtowne poruszenie. Minister!

Aleksander poszukał wzrokiem najbliższych w tłumie rodzin na spardeku. Uśmiechnął się do nich i ostrożnie, żeby „Macaj” nie zauważył, pokiwał ręką. Ale „Macaj” z natężeniem wpatrywał się w trap, po którym sunęła już kawalkada wyczekiwanych gości. Na czele, w stroju „morsko-prezydenckim”, to znaczy w granatowej marynarce, białych spodniach, pantoflach i czapce z długim dachem — minister Floyar-Rajchman.

— Baaa...ś! — ryknął „Macaj”. — Na praaa...acz! — I ruszył mu naprzeciw z raportem. Ministra — wiadomo — nie ogląda się codziennie, wszyscy byli przejęci powagą chwili.

Podpora sanacyjnego reżimu stąpała wolno, zatrzymując się od czasu do czasu i rozdzielając między uczniów ciepłe, protekcyjne uśmiechy. Aleksander widział jego z grubą ciosaną, nalaną twarz o potężnym, zagiętym nosie, wyrazistych wargach i pełnym podbródkiem. Oczy bacznie wyzierały spod daszka białej czapy. Ociężałe kroczący, jakby przygnieciony powagą swego dostojęstwa, Floyar-Rajchman dokonywał przeglądu.

Zaraz potem rozpoczęło się nabożeństwo —

m

też pewnego rodzaju osobliwość. Prowizoryczny ołtarz: zieleń, skrzyżowane wiosła, orzeł, koło ratunkowe i obraz Matki Boskiej, a zamiast organów — mosiężne trąby orkiestry dętej. Kapelan okrętowy, zawzięcie wymachujący kropidłem i oni — chorałem gregoriańskim powtarzający wersety mszału. A nad tym wszystkim ochryple krzyki mew i słupy masztów, niczym strzeliste filary, podtrzymujące sklepienie błękitnego nieba katedry. Kapelan nie byłby kapelanem, gdyby na zakończenie tej ceremonii nie palnął im niewielkiej mówki umoralniającej w formie kazania. Krótkiego, bo poprzedzało ono mowę ministra — też takie, tylko że prorządowe kazanie o zabarwieniu politycznym.

Zaczął całkiem dorzecznie:

„Za chwilę »Dar Pomorza« rozwinie żagle. Wyruszy on w roczną podróż, w ciągu której opłynie cały glob ziemski, przebędzie trzy oceany, wiele mórz, przemierzy dalekie szlaki żeglowne i odwiedzi liczne porty w czterech częściach świata. Będzie to w dziejach bandery polskiej pierwsza podróż morską dokoła świata...”

Dalej było jak zawsze, odkąd Aleksander sięgał pamięcią, to znaczy ściśle i do przesady państwowotwórczo. A to że Polska była przedmurzem chrześcijaństwa, a to że była wałem ochronnym dla krajów Zachodu, o który rozbijały się fale licznych najazdów; odpierając je, odwracaliśmy się od morza. W tym czasie inne kraje, osłaniane przez nas, opanowywały zamorskie kolonie i walczyły o władztwo na morzach. Ani słowa o krótkowzrocznej polityce naszych królów i złotej wolności szlacheckiej — zrywał się Aleksander — nic o wiaro-

60

tomnych sąsiadach i nieudanych sojuszach. Ukradkiem spoglądał na twarze kolegów, czy czują to samo co on. Twarze oficerów były raczej obojętne — im widać nie pierwszyna tego rodzaju kazania. Trzymają fason przed nami — pomyślał. — Tak się zajął tą obserwacją, że zupełnie wypadł z grona słuchaczy, dopiero ostre słowa ministra przywróciły go na łono prawowiernych:

„...A nade wszystko wymagam od was nauki karności i dyscypliny. Kto chce rozkazywać na lądzie, w powietrzu czy na morzu, musi przede wszystkim nauczyć się słuchać...”

Czyżby pił do mnie? — zdrewniał Aleksander. Słuchał więc uważniej i nawet podobały mu się niektóre słowa ministra, tym bardziej że dotyczyły one ściśle spraw rejsu i najbliższych, pozostających w kraju:

„...wszystkich istot, które im dalej będziecie od lądu, tym częściej śnić się wam będą...”

Ciekawe, czy mama to słyszy? — pomyślał i spojrzał z sympatią na dygnitarza. Ale minister nie byłby ministrem, gdyby nie zakończył całkiem na „swojską nutę”:

„Żegnając ziemię ojczystą, wzniescie, młodzi przyjaciele, okrzyk na cześć pana prezydenta Rzeczypospolitej i wielkiego twórcy państwa, marszałka Piłsudskiego!”

Nieskoordynowane okrzyki utonęły w ryku trąb — „Jeszcze Polska nie zginęła!” Potężny dźwięk wyprostował sylwetki stojących, zaognił spojrzenia, zdławił wzruszeniem oddechy. Furda tam poszczególni ludzie, tu szło o ojczyznę, o to, aby ją godnie zareprezentować wśród obcych.

No i wreszcie kilkanaście minut wolnego* czasu przed alarmem manewrowym. Najwyż-

61

sza pora na pożegnanie rodziny, bo goście już zaczynają opuszczać pokład statku.

— Kurs na matkę! — zakomenderował Aleksander swoim nogom i za chwilę znalazł się w objęciach rodzicielki. Dzieciaki zawisły mu na szyi, piszcząc i pokrzykując, a matka patrzyła na tę scenę, zdawało się, rozradowanymi oczyma, chociaż... na ich dnie czał się niepokój. Wiedział o tym dobrze. Kiedy wreszcie

uwolnił się z objęć dwojga wisusów i zmordowany ciężko dyszał, powiedziała cicho:

— Jeszcze tylko kilka minut...

Właśnie! Jeszcze tylko kilka minut i długa rozłąka. Jak wypełnić te minuty, co jej powiedzieć na pożegnanie? Musi to być coś cholernie mądrego, żeby pamiętała przez cały długi rok, a tu jak na złość nic rozsądnego nie przychodzi mu do głowy, a na dobitkę przeszkadza Kaśka:

— Oluś, a przywieziesz mi małpkę? Taką malušką, malusienieczką, żebym ją mogła nosić w tornistrze...

— Daj mi święty spokój, na co ci małpka?

— Wiedziałam, że się nie zgodzisz — mruczy zawiedziona.

— A dla mnie małego tygrysa — wtrąca „Kandelabr”. — Ale żeby miał ostre zęby.

— Mamo, czy nie mogłabyś ich oddać do zoo? — błaga Aleksander, nie mający wyrozumienia dla tych dziecięcych pragnień.

— Jak nie chcesz tygrysa — ustępuje „Kandelabr” —. to chociaż kolorową papugę z Australii czy Brazylii, ale żeby umiała kląć jak prawdziwy marynarz w kilku językach — zastrzega z góry. Śmieją się wszyscy.

— Synku, synku, co też ci się marzy — mat-"ka mierzwi włosy na Jurasowej głowie.

€2

— Takie prezenty są kosztowne. Dacie mi pieniędzy, to kupię.

— Ja nic nie mam — odpowiada zakłopotana Kaśka.

— A ja zbieram na rower — mruczy „Kandelabr”.

— Ech, wy! — Aleksander machnięciem ręki wylewa im na głowy kubel pogardy. — Aby mieć jedno, trzeba się wyrzec drugiego. Niestety.

Taka pusta rozmowa, a minuty płyną. Liczba gości na pokładzie topnieje i oficer wachtowy coraz groźniej spogląda na opieszających.

— Syneczku — mówi matka — to może my już sobie pójdziemy? Pewnie będziesz teraz mocno zajęty...

Do licha! Że też tak musiało wyjść z tym pożegnaniem. Wiele sobie po nim obiecywał, a wypadło tak bezbarwnie.

— Nie... jeszcze chwileczkę, mamoo... To znaczy... to jest... bądź zdrowa, mamusiu, i nie martw się o mnie. Ja wrócę!

Obejmuje ją i czuje, że więcej nic nie powie. Coś ścisnęło w gardle. Ona też jest wzruszona, lecz nie

wstydzi się łez. Tuli twarz do jego piersi, potem opanowuje się z trudem.

— Mam coś dla ciebie — szepcze. Z torebki wyciąga drugą, papierową, a z niej dość duże bursztynowe serduszko z łańcuszkiem. Aleksander pochyla głowę, a ona zawiesza mu cacko na szyi.

— Noś je zawsze — mówi, a wargi jej drżą.

— Mamo, jak ci się udało to zrobić? — dziwuje się Aleksander, który dopiero teraz dostrzegł sekret serduszka. Z jednej strony miało ono owalny otwór, pokryty pleksiglasem, spod niego zaś wyzierała kobieca główka wy-

63

cięta ze zdjęcia — główka matki. Ucałował serduszko ze czcią.

— Mam teraz dwa serca — żartuje — a w każdym z nich, mateńko, twój obraz.

— Na każdej wachcie będę z tobą — mówi ona, a potem, opanowawszy się, dodaje: — No, dzieci, pożegnajcie się z braciszkiem, już czas.

Aleksander całuje mokre buziaki rodzeństwa. — Przywiozę wam, jak mi się uda, małą i papugę — szepcze im do uszu.

Są uszczęśliwieni.

Milczy, kiedy schodzą po trapie na molo.

— Zrobimy ci niespodziankę — odwraca się Jurek. — Prawda, mamo?

Aleksander macha im ręką. To już koniec.

— Do zobaczenia za rok! — woła.

O wpół do dwunastej alarm manewrowy. Wbrew pozorom spokój i cisza. Nie słychać pośpiesznego tupotu biegnących, gniewnych pokrzykiwań starszego oficera, gromkich komend na ster i zadyszanych meldunków ze stacji manewrowych. Cisza i spokój — ot, co znaczy dobra reżyseria. Zresztą może wszystko wyglądałoby inaczej, ale główni aktorzy spektaklu zeszli jakby poza plan. Stoją karnie wzdłuż burt niczym biały mur z płótna żaglowego, obserwatorzy tego widowiska, celebrowanego tylko przez stałą załogę „Daru”, i po raz ostatni chłoną widok ojczystego brzegu, żegnających rodaków, rodzinnego portu.

Cicho zawarczały silniki i statek powoli, majestatycznie, oddawszy cumy, zaczął powiększać centymetr po centymetrze wodny klin, dzielący go od nabrzeża. Ciężkie westchnienie, że to „już” stało się, i drugie, jakby zrezygnowane, lżejsze — nareszcie. Nareszcie morze weźmie ich na swoje łono i poniesie hen, da-

64

\

leko... Lecz ten nastrój zadumy i refleksji prędko pryska. Stojąca na molo orkiestra rżnie „Pierwszą Brygadę”, ktoś intonuje okrzyki na cześć marszałka i prezydenta, a wszystko to zagłusza ryk syren z holowników i warkot trzech wodnopławców, nadlatujących nad port. Z lewa sunie szarostalowa niska sylwetka torpedowca „Kujawiak”. To asysta honorowa. Przy działach i wyrzutniach torpedowych granatowe postacie tych z Wojennej... Z tyłu rusza czereda stateczków i motorówek z tymi, co to chcą jeszcze bodaj przez pół godziny utrzymać wzrokowy kontakt z najbliższymi. Ale, prawdę mówiąc, daremny to trud — niełatwo w tłumie, zawzięcie wymachującym rękami, odszukać tych, dla których serca biją żywiej i mocniej.

Nagła emocja. Trójka wodnosamolotów idzie wprost na „Dar”, lekko zniża się i... już mknie ku pokładowi niezwykła poczta z nieba. Podbiegają, rozwijają — to życzenia szczęśliwej podróży. Gwizdek zagania ich z powrotem na zbiórkę. Od główek gna ku nim biała motorówka z wielką banderą — znów minister przemysłu i handlu. „Dar” zwalnia nieco — bacność lewa burta! Minister coś krzyczy, macha ręką, snadź do końca spełnia swój obowiązek, a wtedy oni jak nie rykną: „Huraaa! Huraaa! Huraaa!” W tym zbiorowym ryku tkwi moc i gotowość wzięcia się za bary z oceanem — niech wie, żeśmy polscy marynarze. Aleksander ma łzy w oczach — czort wie dlaczego, ale czuje, że są one zupełnie na miejscu. Zdaje mu się, że jest Herkulesem, kiedy spogląda z dumą na trzepoczącą u drzewca „biało-czerwona”. Dobrze, żeś Polak — myśli.

5 — Synowie marnotrawni

65

Znienacka coś innego zaprzęta mu uwagę, bo oto, ostro pykając z „fajki”, która zastępuje komin, ściga ich „żółtek” Konkiela. Ogarnia go bezmierna radość — przy nadbudówce widzi białą suknię matki, zieloną Kaśki, a gdzie „Kandelabr”? Jest i on, jego rozczochrana głowina wystaje przez opuszczoną szybę sterówki — pewnie znów uprosił starego, aby mu pozwolił stanąć na ster. Uparty gówniarz. „Żółtek” mknie prosto na nich.

— Cóż to za żółta torpeda? — burczy oficer wachtowy. — Chyba nie chcą podrzucić nam świeżej fladry na drogę?

Śmieją się, co trochę złości Aleksandra. Zaczyna się wstydzić, ale trwa to tylko chwilę. Niech tam, ale z drugiej strony nikt inny nie ma podobnego pożegnania. „Gdy-23” jest już na trawersie „Dar”, podchodzi do burty i idzie z nią równolegle. Aleksander, przy akompaniamencie złośliwych uwag kolegów i ironicznych uśmiezkach „naczałstwa”, wychyla się przez fałszburtę. W dole, na poplamionych deskach pokładu Konkielowego kutra, widzi ją, najdroższą mu istotę.

— Do widzenia, mamó! — krzyczy łamiącym się głosem, a dojrawszy czarną czapkę szypra, wrzeszczy już mocniej: — Do widzenia, panie Konkiel!

Matka nie mówi nic, tylko wpatruje się w niego uparcie — coś chce przekazać mu tym spojrzeniem, ale co? Bezmierną miłość, nieustanną troskę... A może tak spoglądały matki żeglarzy Kolumba, żegnając swych synów?

- Pisz do mnie z każdego portu — odczytuje z ruchu jej warg.
- Dobrze, będę pisał — wydziera się, za-

66

głuszając piskliwe „Olek, czuwaj” Kaśki i burkliwe „Trzym się, synku” starego Kon-Mela. Ze sterówki wyskakuje Jurek, trzyma coś w ręku, a potem niespodziewanym zamachem przerzuca to na pokład, tuż pod nogi Aleksandra, który chwyta zawiniątko niemal machinalnie. Nie ma jednak czasu obejrzeć owego daru, bo oto kuter skręca ostro i po chwili spieniony ślad torowy jest znakiem, że ostatnie więzi z ojczystym krajem zostały zerwane. Teraz tylko bursztynowe serduszko z główką matki miało mu zastąpić te serca, które tu w Gdyni były dla niego. Tylko dla niego. Stał więc, patrzył za kutrem, uwożącym owe serca, i chyba miał łzy w oczach, aż ostra komenda: „Na stanowiska! Żagle staw!”, wyrwała go z tego odrętwienia. Pognał więc po grotwantach i grotstewantach na grot-maszt, aby wraz z innymi rozwinąć grotbram-żagiel. Kiedy uporali się z robotą i „Dar” runął naprzód, uderzony z nagłą w piramidę żagli, Konkielowy kuter był już małą żółtą plamką na tle falochronu.

Zwrócił więc swe spojrzenie w bezkres morza. Przed nimi falował ołowiany Bałtyk, awanport Atlantyku, potem miał być Kanał Panamski i wreszcie największy z oceanów. Tysiące mil żeglugi, setki mijanych portów, ale tylko półtorej dziesiątki tych, do których zawiną, a na końcu tej peregrynacji znów rodzinna Gdynia. Co za kapitalny dowód na kulistość ziemi. Zadumany, zaplótłszy nogi między wyblinki, wsunął rękę w kieszeń i wyczuł zawiniątko. No tak, trzeba sprawdzić, co też ono zawiera. Pośpiesznie je rozwinął i parsknął śmiechem. W ręku trzymał... srebrną dziesięciozłotówkę z podobizną Sobieskiego,

67

największy „Kandelabrowy” skarb, główną podporę rowerowych oszczędności. Widać smykowi bardzo zależało na papudze-poliglottce... Wolno schodził w dół. Na platformie grotmar-sa grupka uczniów, rozkoszując się zapierającym dech fordewindem, podśpiewywała na nutę hymnu narodowego:

Marsz, marsz Macaju Znów na rok będziem w kraju, Pod twoim przewodem Popłyniem przez yjodę...

2. Pojedynek w Osace

Ledwie dotarli do Osaki, a to z przyczyny prawdziwego tajfunu. Kiedy dziewiątego marca rankiem opuszczali Jokohamę, żegnał ich wyraźnie widoczny, ośnieżony wierzchołek Fu-dżijamy, co miało jakoby zwiastować dobrą pogodę. Ale już dziesiątego należało stwierdzenie to między bajki włożyć. Wiatr z kierunku SW zmienił się na WSW i ciągle się wzmaczał, tak że w południe siła jego dochodziła już do 12°B, przy stanie morza 8. Cała ta masa ścieśnionego powietrza runęła na biedny „Dar” i dalej go łamać, giąć i spychać z kursu na gościnne dotychczas brzegi Nipponu. „Macaj”, aby się nie dać „jakiemuś tam tajfunowi”, pozostawił z piramidy płótna tylko sztaksle i uruchomiwszy silnik, starał się okietznać rozszałaty żywioł. „Dar”, posłuszny woli swego pana i władcy, stawiał dzielnie czoło i choć kładło go do czterdziestu stopni na burzę, to jednak prostował się dum-

68

nie i parł do przodu niczym wielki śnieżnobiały orzeł. Co prawda ruch to był prawie pozorny, kiedy bowiem w południe jedenastego marca kapitan Meissner sprawdził pozycję zliczoną, okazało się, że wprawdzie przebyli ponad sto mil, ale w linii prostej tylko dwanaście, co dawało raczej mizerne nadzieje na szybkie osiągnięcie Osaki. A wydawało się, że jest ona tak blisko — bo co to dla nich trzysta pięćdziesiąt mil, skoro mieli ich już za sobą ponad dwanaście tysięcy.

W końcu jednak tajfun skrzył kark lub znudzony uporem białej fregaty dał spokój, bo barometr zaczął nieustannie, choć na razie powoli, iść w górę i wreszcie po pięciu dniach tej mordęgi ujrzeli wyłaniające się z porannych mgieł kikuty licznych dźwigów portowych.

Przed dziobem mieli Wenecję Japonii.

Wyspali się na pokład obolali od potłuczeń, których nie szczędziła im potworna kołysanka, zmordowani samą huśtawką, no bo spróbujcie stać lub siedzieć przy czterdziestostopniowych przechyłach, kiedy nawet leżenie staje się problemem. Widok portu zapowiadał dla wszystkich kilka dni normalnego, ludzkiego wypoczynku, a kto wie — może dla niektórych. rozliczne przygody. I to dość niezwykle, zważywszy tajemnicze uroki japońskich miast.

Po obiedzie ruszyli na zwiedzanie, powie-zieni autobusami upstrzonymi hieroglifami niczym stronie japońskich elementarzy. Najpierw muzeum rozwoju kultury, potem herbatka z przemówieniami w departamencie morskim i wreszcie sama rozległa, wabiąca egzotyką Osaka. Kiedy wysiedli z autobusów i rozeszli się po ulicach centrum handlowego,

69

zapadał zmierzch. Neonowe reklamy, w stylu i na skalę nieznaną w Europie, przydały tylko uroku kolorowemu tłumowi, kłębiącemu się na chodnikach. Oczywiście grupa uczniów, ubranych w jednakowe, ostro zaprasowane mundury, wzbudzała wszędzie zaciekawienie, tak że w krótkim czasie ciągnęła już za nimi spora gromadka gapiów, spragnionych widoku Europejczyków. Liczba ich mogła przerażać, jako że „nec Hercules contra plures”, ale chłopcy z „Daru” czuli się pewnie. Zresztą dysponowali uśmiechem, najpotężniejszą z dostępnych im broni. Śmieli się więc do gapiów, a tamci do nich i ta nić sympatii wyrównywała niedostatki językowe — uśmiech czynił cuda. Szczególnie ochoczo uśmiechali się do ubranych w barwne kimona i zwiewnych jak motyle cór kraju kwitnącej wiśni. Owe „ma-damy baterflaje”, jak określał je lwowiak „Szczepciu” Sakowicz, szczególnie przypadły do gustu roslým (nawet najniżsi wyglądali wśród Japończyków wcale wcale) „zdobycwcom Pacyfiku”. Być może wyidealizowali je zbyt, gdyż ciemności skrywały wiele defektów urody, a światło reklam wydobywało tylko walory pięknych „musme”. Noc była pogodna, oni młodzi i podnieceni przedsmakiem przygody, nic dziwnego, że czuli przyjemny zawrót w głowach. Zwłaszcza ci, którzy uważali się za przystojnych i już dorosłych — ci przeżywali istne męki, gdyż spodziewane rozkosze zmysłów były ograniczone przez surową rzeczywistość. Niepewność co do rezultatów zamierzonych umizgów, nieznajomość obyczajów, zwyczajów, języka, mentalności ludzi, a nawet topografii miasta, brak pieniędzy, które mogłyby usunąć przynajmniej pe~

70

wne przeszkody, a wreszcie karby dyscypliny, zabraniające włóczenia się w pojedynkę po nieznanym porcie, sprawiały, że piękne marzenia pozostać miały tylko marzeniami. Lecz oni nie chcieli przyznać się do tego, chcieli oszukać samych siebie, urwać z tego mitu chociaż okruchy — owe uśmiechy, spojrzenia, gesty, zaczepki słowne, aby po powrocie na statek wyczarować w opowieściach dla nieszczęśników, którym burta służbowa nie pozwalała udać się na ląd, baśnie tysiąca i jednej nocy, w ten sposób wzbudzić ich zazdrość i pognebić.

Aleksander — z lekka oszołomiony powodzeniem, jako że śmiały się do niego aż trzy dziewczęta, kokieteryjnie trzymające się pod rękę — usiłował przybliżyć się do nich, a jednocześnie bał się stracić kontakt z grupą. W końcu, ubezpieczywszy się Stasiem Brzozowym jako łącznikiem między nim a resztą grupy, dokonał wypadu w stronę pięknych Japoniek. Miał je już tylko ze trzy metry przed sobą, kiedy spłoszyły się i umknęły. Zawiedziony, wstydząc się porażki, z ociąganiem zawrócił. Staś współczująco poklepał go po ramieniu: — Uszy do góry, stary, nie wypuszczaj pary...

W milczeniu wracali do autobusu. Fanfary nie grały. A to baterflaje! — zżymał się w duchu. Powoli wsiadali do wozu, otoczeni rojem ciekawskich, gdy wtem ktoś trącił go w bok. Obrócił się i zdziwił. Przed nim stał ugrzeczny Japończyk, uśmiechnięty całą pucołowatą twarzą. Jego wyciągnięta ręka wskazywała Aleksandrowe sympatie. Chłopak szarpnął się jak smagnięty różgą przez plecy. Ale Japonki uśmiechały się przyjaźnie i ku-

71

sząco. Nie przeczuł nawet, że teraz spotka go największa niespodzianka. Jedna z „mus-me” podbiegła do niego i nim zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, wetknęła mu w dekolot munduru chryzantemę. Wielką, bordo-wozłocistą. Zgłupiał ze szczętem i nim zdrowy rozsądek zdążył mu podpowiedzieć, jak się zachować, ona znalazła się już w objęciach koleżanek. Skłonił im się więc po polsku, w pas, ucałował chryzantemę i gestem podpatrzonym u aktorów filmowych zatknął ją łodyżką za ucho. Takie publiczne wyróżnienie wywołało głośny aplauz u widzów. Aleksander wstępował do autobusu jak triumfator na rydwan. Potem w kubryku zachowywał ostentacyjne milczenie, wachając nonszalancko kwiat. A koledzy obrzucali go zaciekawionymi, zazdrosnymi spojrzeniami, słuchając opowieści naocznych świadków.

Zasnął, wdychając słodkawy zapach chryzantemy, i śnił o miłości. Nazajutrz surowa rzeczywistość przypomniała mu, że jest w burcie służbowej i przyjdzie przerwać tak pięknie zaczęty romans. Koledzy — dzisiejsi Szczęściarze, a wczorajsi nieszczęśnicy — pojechali z wizytą do szkoły morskiej w Kobe, a ich starszy oficer zapędził do codziennych robót, których na żaglowcu nigdy nie brak. Aleksander długo się zresztą nie bawił w żaglomistrza — montowano drużynę bokerską i zapaśniczą na pokazy dla uświetnienia jutrzejszej wizyty uczniów szkoły z Kobe. Wyznaczony na sparring-partnera wysoki i dobrze zbudowany Kaczorowski bawił właśnie u Japończyków i Aleksander z musu objął obandażowane dłonie o stos leżących w hamakami hamaków. W południe wstąpił na

72

wachtę przy trapie. Przed statkiem defilowały grupy i grupki ciekawskich, ale swoich wielbicielek jakoś nie ujrzał. Widać cud zdarza się tylko raz. A tak zawzięcie wyteżał wzrok. Chryzantema zaczynała więdnąć

i chcąc przedłużyć ten żywot, umieścił ją w butelce po lemoniadzie.

Wrócili chłopcy z Kobe. Byli pod wrażeniem pokazów urządzonych przez gościnnych Japończyków — zapasy, strzelanie z łuku, fechtunek na szable i bambusy. Poza tym raczej nic ciekawego — herbatka i przemówienia, w czasie których nauczyli się już nieźle... drzemać.

— Jutro ich olśnimy >— rozruszał się Aleksander. — Pokażemy taki boks, że im te skośne oczęta na wierzch wyjdą.

Uzgodnili z „Żorzem” szczegóły walki. Obaj mieli się nie oszczędzać, ale n-ie bić mocno, tylko markować uderzenia. Oszczędzać koniecznie twarze — no bo jak potem zejść na ląd? — za to wyłapywać większość ciosów na rękawice. Po rękawicach okładać się mieli tęgo, bo wtedy hałas wzmacnia efekty walki. Zadowoleni z siebie przeciwczyli co nieco i spokojnie oczekiwali jutra.

Od rana zawzięte sprzątanie — Japończyków trzeba przyjąć na czystym statku. Zjawili się dopiero po obiedzie. Kilkudziesięciu niskich, krępych, krótko przystrzyżonych i ruchliwych. Obejrzeni statek, a potem do międzypokładu na koktajl. Obowiązkowe przemówienia ominęły na szczęście Aleksandra. Miał właśnie rozgrzewkę przed walką. Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Walczyli obaj z „Żorzem” tak zaciekle, aż przestraszony „Macaj” myślał, że się pozabijają. Po wal-

73

ce podziękował im osobiście, tak był zadowolony. Kiedy wśród okrzyków „banzaj” i „niech żyją” goście wreszcie odmaszerowali, Aleksander czym prędzej pobiegł przebrać się na wyjściowo. Miał dziś wolną burtę. Chryzantema płoniła się w butelce — wabiła do przygody tajemniczej, niezwyklej i pięknej jak ona sama. Jak to wszystko załatwić? W pojedynkę ruszyć w nieznaną? Ale co sam zrobi z trzema kobietami? Nic to, trzeba będzie kogoś namówić i zadziałać we trzech.

Na zbiórce przed trapem nowa niespodzianka.

— Władze miejskie zorganizowały dla was zabawę taneczną — oświadczył z zazdrością wachtowy.

— Banzaj! — ryknęli uszczęśliwieni. To przechodziło najśmielsze oczekiwania.

— Zaskoczyli mnie ci Japończycy — cieszył się Staś Brzozowy. — Idziemy, Aleks? Może tam spotkasz swoje damy?

Jednak nie poszli — podwieszono ich. Zjawił się jeden z owych cudaczných autobusów--elementarzy i prychając spalinami, zachęcał, szeroko otwartszy drzwi, do wsiadania. Ale na razie kazano czekać, co jeszcze bardziej wzburzyło umysły rozgorączkowanych wielbicieli podkasanej muzy. Rozeszły się pogłoski, że pojedą tylko sami kawalerowie, to znaczy ci, którzy nie mieli w kraju ani narzeczonych, ani sympatii. Ze wstydem trzeba przyznać, że znaleźli się tacy Judasze, co to potrafili wyprzeć się w żywe oczy przed kolegami dorodnych Zoś czy Maryś, które tam w kraju wyplakiwały za nimi oczy. Ale niech to pochłoną fale Lety. Okazało się ostatecznie, że to żadna zabawa taneczna — kto o tym myślał, musiał

74

znać bardzo mało Japonię i mentalność jej mieszkańców — ale po prostu przyjęcie, połączone z występami tanecznymi i popisami wokalnymi zespołu młodzieżowego. W programie wyłącznie muzyka japońska — będą za to przepiękne stroje narodowe, no> i dziewczęta w nie przybrane, nie żadne tam gejsze czy lżejszy kaliber, ale młodzież gimnazjalna, znająca angielski, tak że będzie się można z nimi dogadać. Należy tylko pamiętać, że dziewczęta japońskie to nie Europejki, żeby się więc któryś nie nabrał, bo awantura murowana. — Macie trzymać fason i godnie reprezentować Polskę, rozumiano? — powiedział im starszy oficer. — Wszystko skończy się chyba przed dziesiątą, najlepiej pilnujcie się mnie, wsiadamy do autobusu i wracamy na statek. Nie radziłbym się oddalać. Jak w każdym mieście portowym, tak i tu w pojedynkę niebezpiecznie. Poza tym... poza tym muszę wam jeszcze raz przypomnieć to, co mówiłem w Jokohamie: Japończycy mają paskudny zwyczaj „pilnowania” cudzoziemców. Zwróćcie na to uwagę, będąc na mieście, na pewno powlecze się za wami jakiś typek... — Tu urwał się kapitański speech. Wsiadli do autobusu ponuro, bez fanfar. Ktoś chciał pobiec po statkowy gramofon i płyty, bo a nuż się przyda... Ale po co?

Jechali tylko kilka minut i już budynek szkolny.

W przestronnej auli od razu rzuciły się w oczy dziesiątki, a może i setki różnobarwnych lampionów, upstrzonych hieroglifami. Tworzyły istne girlandy na ścianach, suficie i w narożnikach sali. Obok przystrojonego w pęki polskich i japońskich chorągiewek podium sta-

75

iy ustawione półkolem stoły i wabiące egzotycznymi bukietami ikebany.

— Fiu, fiu, ale wystrój — dziwowali się.

Kilkunastu cywilnych Japończyków czyniło honory domu, rozsadzając, jak można najwygodniej, dwóch oficerów, lekarza, trzech instruktorów, trzydziestu dwóch uczniów i siedmiu członków załogi stałej. Barwne widowisko, które się rozpoczęło, zrekompensowało gościom w pewnym stopniu sprawiony uprzednio zawód. Tę feerię kolorów zakłócała tylko ponurym zgrzytem orkiestra, rzępoląca tego i piłująca kilka * instrumentów strunowych, nieznanymi z nazwy. W tej kakofonii dźwięków warkot bębenków i jęk gongu brzmiały jeszcze najmilej dla ucha. Oczywiście pożerali wzrokiem dziewczęta. W barwnych, bogato haftowanych kimonach, z wielkimi kokardami szarf obi, przypominały ogromne motyle. Mocno uszmińkowane, z kunsztownie upiętymi kokami włosów, przypominały lalki. Ktoś puścił plotkę, że w japońskim teatrze role kobiece grywają przebrani mężczyźni i najtężsi znawcy wypatrywali oczy, żeby wykryć prawdę. Lecz były to rzeczywiście kobiety. Aleksandrowi wpadła w oko jedna z nich, a może to on wpadł jej w oko — w takich sytuacjach trudno ustalić stan faktyczny. Jej błyszczące oczy tak natrętnie przykuwały jego uwagę, aż w końcu patrzył wyłącznie na nią. Miała czarne włosy, miłą twarzą z ukarminowanymi wargami i dołączkiem w brodzie oraz delikatne ręce o długich palcach — resztę szczegółów skrywało kimono. Pokazała ją Stasiowi. Fajna — uzgodnili opinię.

Dziewczyna tak go zafascynowała, tak omamiła, że patrzył tylko na nią — reszta nie

76

istniała. Gdyby go ktoś spytał, co widział w czasie tego spektaklu, odpowiedziałby zgodnie z prawdą, że Obi i nic więcej. Takie bowiem imię nosiła Japoneczka, o czym dowiedział się później. Kiedy występ dobiegł końca, Aleksander, podniecony myślą o tym, co by było, gdyby się udało, wykazał pewnego rodzaju heroizm, a właściwie heroiczny upór, dzięki czemu — jako że upór jest cnotą — osiągnął zamierzony cel. Gruby Japończyk, chyba kierownik zespołu, sadił, zapewne za zgodą i z woli dyrekcji gimnazjum, swe barwne kwiaty pośród przybyłych gości. Na miejsce między Stasiem a Aleksandrem wypadł owszem, niczego sobie kwiat, także barwny i okazały, tyle że płci męskiej. Ponieważ obu naszym zuchom nie przypadł on do smaku, a Aleksander wprost był oburzony złym gustem grubego Japończyka, wyrazili głośno swoją dezaprobatę, co nieco zdeorientowało go. Ten moment nieuwagi wykorzystał Aleksander i uśmiechnięty kusząco niczym Mefisto odepchnął ów kąkol, a skłonił się z gracją przed swoją wybranką. Dziewczyna była mu powolna — czy to z racji biernego poddania się wyrokowi losu, czy też uznania go za swego pana i władcę, dość że ujęta za rękę, obdarzyła go tryskającym radością uśmiechem i żwawo ruszyła za stół. Kierownik usiłował temu przeszkodzić, widocznie planował jej osobą okrasić towarzystwo bardziej dostojne, kto wie, czy nie samego starszego oficera,, i byłaby biedna dziewczyna rozdarta, jako że jeden ciągnął w lewo, drugi w prawo, gdyby nie Staś Brzozowy, który sprytnie odwrócił, a raczej zwrócił uwagę grubasa na znaki dawane przez dyrektora gimnazjum.

7T

Znaki te przeznaczone były dla szefa kuchcików i prawdopodobnie miały oznaczać, że czas już podawać ceremonialną herbatę, ale nim kierownik zorientował się w pomyłce, Obi już siedziała między Stasiem i Aleksandrem. Oburzony grubas spojrział groźnie na Aleksandra, ale ten, nic sobie z tego nie robiąc, poklepał go po brzuszku, co bardzo rozśmieszyło Obi i Stasia, i ze szczętem ogłupiło tłustego biedaka. Skłonił się głęboko i znikł bez słowa.

Równie nietaktownie potraktowany został Staś, jako że w walce o samiczkę wszelkie chwytły są dozwolone. Aleksander nie tylko nie wyraził mu swej wdzięczności za salwowanie z opresji, ale wykorzystując swoją lepszą znajomość angielskiego, takim bowiem językiem gruchali z dziewczyną, odsunął go na plan dalszy, a potem wręcz zneglizował jego obecność. Biedny Staś, dostrzegłszy liczbę spojrzeń, rzucanych na niego i na Aleksandra przez płochą „baterflaję”, uznał się za pokonanego i zaczął zapijać swoją czarną troskę zieloną herbatą. Dumął przy tym o kimś, kto jeszcze dziś rano był mu przyjacielem i kolegą, a obecnie nadawałby się raczej na eksportowy bekon. Gwoli zemsty przemysliwał nawet o napuszczeniu kapelana okrętowego na prawowiernego katolika, który grzeszył z poganką.

A oni, pewni siły miłości, sądząc, że są sami na świecie, gaworzyli pusto, śmiejąc się, kiedy słówka angielskie, źle zastosowane, tworzyły niezamierzone kalambury. Piękna tancerka nazywała się Obi Matsuda. Chcąc dowiedzieć się o niej jak najwięcej, zadawał podstępne pytania i lepił z odpowiedzi po-

"78

woli, lecz nieustannie posąg dziewczyny. Świetnie znała angielski, bo przez pięć lat przebywała wraz z rodzicami w Anglii, a potem jeszcze przez dwa lata w Szanghaju, w koncesji międzynarodowej. Tam chodziła do angielskich szkół i nabrała prawie europejskiej ogłady. Ojciec wytrwale zbijał kapitały, a

obecnie dorobił się własnego przedsiębiorstwa... i Obi dumnie podała mu wizytówkę. Aleksander, który przechwałki dziewczyny traktował z przymrużeniem oka, spojrzął z zainteresowaniem i oto, co wyczytał:

„Matsuda Ei Co., Ltd

10 Tonya-machi, Minami-ku, Osaka 542,

Japan

Szczotki do zębów, pędzelki do makijażu,

szczotki do ubrań, szczotki do włosów,

pędzle malarskie itd.

Telegraf: RIMARUE OSAKA

Produkcja i eksport"

Roześmiał się głośno, na co dziewczyna zarumieniła się. A to ci heca! Flirtuję z córką fabrykanta szczoteczek do zębów i akcesoriów malarskich! Chciał się tą wesołością podzielić ze Stasiem, ale ten zajęty był ostentacyjnie rozmową z siedzącym obok Szczepciem Sakowiczem, który nie znając ani me, ani be z mowy dumnego Albionu, w ogóle się nie liczył w rozgrywce o dziewczynę. Widział wyraźną wrogość w ich spojrzeniach. Montują duumwirat — pomyślał i zaraz o tym zapomniał, gruchając z Obi. Obok wygłaszano przemowy, pito herbaciane toasty, jedzono egzotyczne potrawy, a Aleksander mimo prawidłowego apetytu sycił się tylko obcowaniem z córką potentata przemysłu szczotkarskiego. Potem, kiedy byli już prawie bardzo dobrymi

79

znajomymi, zwierzyła mu się ze swej tajemnicy. Spochmurniało Aleksandrowe czoło. Obi miała bowiem narzeczonego, i to kadeta marynarki.

— Za rok będzie oficerem Cesarskiej Floty — pochwaliła się.

Podobno pochodził z dobrego ongiś szlacheckiego rodu, a zwał się Isaburo Tanaka. Kupcykowi Matsudzie widział się taki zięć, dlatego przychylnym okiem patrzył na ten romans — zubożały Tanaka pewnie też machnął ręką na samurajskie miecze i w pieniądze szczotkarza zaczął wierzyć niczym w duchy przodków. Tylko Obi nie dostrzegała w tym interesu, lecz małżeństwo — bez miłości wprawdzie, ale któż w małżeństwie wierzy w miłość?

— Więc czemu chcesz wyjść za niego? — spytał rozgoryczony taką logiką Aleksander.

— Tak chce ojciec, a poza tym to zaszczyt dla naszego rodu.

No pewnie — on żeni się z pieniędzmi, ona z tytułem. Dziwna ta Japonia, kraj niby nowoczesny, a z tymi

sprawami spóźniony w stosunku do nas o dobre sto lat, jeśli nie więcej — pomyślał sobie. Lecz przyszła pora rozstania. Ani się spostrzegli, jak wybiła dziesiąta i starszy oficer zaczął zbierać swoją załogę. — Ali hands on the deck!

Obi zerwała się z miejsca, kiwnęła mu ręką i... skryły ją jedne z licznych drzwi. Nawet nie zdążył zipnąć na taką przewrotność. To jak to... co to... jak mogła? — burzyło mu się w głowie i sercu. Na twarzy miał widać wryty ból, bo obaj jego rywale do względów Obi poweseleli i zdobyli się na wielkoduszność.

80

__No, stary, uszy do góry! — zabrzmiały

ich życzliwe słowa. — Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Swojskiej cnotki miły zapach. Sponad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki...

Słowa te rozdzierały mu serce. Co za pech? Chmurny, ociągając się, szedł do autobusu. Wstydził się ironicznych spojrzeń kolegów i niemal z wdzięcznością spoglądał w marcową noc, skrywającą swym mrokiem jego klęskę. Lecz nagle noc zapłonęła oślepiającym blaskiem. Przy nim stanęła Obi. Pozbyszszy się tradycyjnego stroju i sztucznego koka, w skromnym kostiumiku, z dość krótko przystrzyżonymi włosami wyglądałaby jak zwykła polska dziewczyna, gdyby nie lekko skośne oczy i trochę za mały nosek. Ponadto była może bardziej niż Polki filigranowa. Ach, więc poszła się przebrać — rozgrzeszył ją Aleksander i pod wpływem jej kuszącego uśmiechu zaświtał mu w głowie nierozważny pomysł.

— Odprowadzę cię do domu — powiedział i nim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, już prowadził ją do tramwaju. Wkrótce jechali w stronę zaniku, którego niepowtarzalny urok pośród nocnych świateł dziewczyna bardzo chwaliła. Obejmował ją mocno ramieniem, a ona nie miała odwagi nie zezwolić mu na to, choć z pewnością nie czuła się najlepiej wśród badawczych spojrzeń współpasażerów, wyrażających dezaprobatę.

Ciekawe, czy obserwuje nas jakiś szpicel? —'! stropił się Aleksander. Wydało mu się nawet, że jeden z jadących, w płaskim kapelusiku a la Harold Lloyd, zbyt się nimi interesuje. Już ja cię przyuważę — postanowił. Tramwaj tymczasem minął wiadukty nad rzeczkami Si-

6 — Synowie marnotrawni

81

rinasi i Kizu i gnał przez Higasi ku zamkowi Hideyosiego, a raczej ku jego ruinom, na których stała strzelista wieża z dachami o śmiesznie wygiętych w górę narożnikach. Wysiedli i poszli murami wzdłuż fosy. Podświetlone reflektorami piętra wieży wyglądały istotnie tajemniczo i niezwykle. Noc rozjaśniła się już srebrem księżyca, który wydobył z mroków wstęgę rzeki Adzi — rezerwuaru wodnego fosy zamkowej. Było dość chłodno i Obi zaproponowała, żeby wstąpić do małej herbaciarenki. Tu nad czarkami parującego zielonego wrzątku napawali się swoją obecnością, mówiąc niewiele, za to uśmiechając się i zaglądając sobie w oczy. Kiedy sprowadzony od czasu do czasu z obłoków przez zdrowy rozsądek Aleksander spozierał badawczo wkoło, zawsze widział wpatzonego w siebie właściciela lokalu, który wykrzywił się w ugrzecznionym uśmiechu. Siedział tyłem do wejścia, przez co wiele uchodziło uwagi, aż wreszcie, obejrawszy się, spostrzegł przy jednym ze stolików swego Lloyda, pośpiesznie

zanurzającego nos w płachtę gazety. Typek przyczepił się na dobre. Amator czy profesjonalista? Kiwnięciem ręki przywołał ugrzecznego gospodarza.

— Sake! — polecił, ukazując dwoma palcami liczbę czarek.

Pierwsza zapiekła w przełyku, druga przeszła jak woda.

— Upijesz się! — zaśmiała się Obi.

— Idziemy! — Aleksander wstał, poczuw-szy przyjemne ciepło w całym ciele. Zbyt mało, aby się urznąć — pomyślał — ale na więcej nie starcza jenów. Zaraz przekonamy się, czy ten kundel policyjny zacznie węszyć...

Za drzwiami znów chłód i mrok.

82

— Hej, riksza! — zawołał, podtrzymując lewym ramieniem Obi, a prawym energicznie wymachując. W ciemności, poza światłem rzucanym przez latarnię, widać było kilka sporych ni to świetlików, ni lamp. Naraz jedna z nich zaczęła się przybliżać i w świetle latarni ukazał się niski człeczyzna, zaprzężony do dwukołowej landary. Na piersiach miał zawieszony duży lampion, ozdobiony czarnym znakiem. Ten lampion sprawiał właśnie wrażenie owego świetlika. Teraz, kiedy stał się dobrze widoczny, rikszarz przyspieszył kroku, a właściwie zaczął biec drobnym truchtem, śmiesznie podrygując i podrzucając głową. Lampion trząsł się w trakcie tego podrygiwania i dziwne było, że stojąca w nim świeca jeszcze nie zgasła. Z pewnością ma tam latarkę na baterię — domyślił się Aleksander. Dobiegłszy na ich wysokość, człowiek-dorożka zatrzymał się i począł się unizienie kłaniać.

— Wsiadamy! — powiedział zuchowato (czyżby sake zaczęła działać?) Aleksander i podsadziwszy Obi, pomógł jej zająć miejsce. Zauważył, że rikszarz na taką adorację kobiety jakby skrzywił się wzgardliwie, ale może tak tylko mu się zdawało w tym bladym świetle gazowym. Chrząknąwszy groźnie na wszelki wypadek, jednym skokiem opadł na wyściełane siedzenie i kazał ruszać. Woźnica stęknął, sapnął i powoli pociągnął. Koła zaskrzypiały i potoczyły się, stukając po nie-nadzwyczajnym, ale twardym jak teak bruku. Pasażerowie zatrzęśli się i nieprzygotowany na takie efekty Aleksander runął w objęcia Obi. Dziewczyna zapiszczała i chciała odepchnąć go od siebie, ale skończyło się tylko na obronnym ruchu rąk.

83

— Cicho! — chciał położyć palec na ustach, ale tak trzęsło bardzo, że omal nie ulokował go sobie w oku. — Może zgubimy nasz cień...

Lecz próżne to były nadzieje. Uparty Japończyk nie dawał za wygraną. W mrokach nocnych drgało światelko drugiej rikszy, sunącej za nimi, w pewnej odległości co prawda, ale nieustannie. Toż to prawdziwy pościg niczym na Dzikim Zachodzie — ucieszył się Aleksander. — Jak tu zgubić tego typka?

— Czy nasz rikszarz nie mógłby... szybciej? Nie rozumiesz?

Obi skinęła głową i powiedziała coś biedakowi, który szczerknął gardłowo, a potem ruszył z kopyta, co dało się wyraźnie odczuć pasażerom. Przeklęty pojazd — dumał Aleksander, tuląc się w takt podrygiwań do swej towarzyszki i wsłuchując z niepokojem w chrapliwy oddech japońskiego centaury. Ma chyba astmę. Albo gruźlicę. Taki zawód dla niego to pewne zabójstwo. Obejrzał się, ale światelko rikszy ich „cienia” nie oddaliło się ani na metr.

— Przeklęty makak — sapnął zezłoszczony. — O co mu chodzi?

Osobiście nic nie miał przeciwko temu, że władze japońskie tak się nim zainteresowały, nawet mu to pochlebiało, ale martwił się, czy Obi nie będzie miała przez niego kłopotów. Tu nie bardzo lubiano, gdy ktoś utrzymywał bliskie kontakty z białymi. Nagle olśnił go nadzwyczaj prosty plan.

— Słuchaj — zwrócił się do Obi. — Powiedz mu, niech jedzie wolniej... — Do diabła, że też lepiej nie zna angielskiego, każde zdanie musi wyrąbywać niczym toporem.

Rikszarz biegł tymczasem, tylko przy każdej

84

przecznicy odwracał głowę, czy aby nie skręcać, i uspokojony dawanymi znakami gnał przed siebie. Wyraźnie pociemniało — wielka czarna chmura zakryła księżyc. Dobra na-sza — ucieszył się Aleksander. — Teraz! Mijali właśnie wielki kolorowy neon, gasnący i zapalający się na przemian, coś jakby góra Fudzi wśród gąszczy zygzaków, poza nim widniał jakiś niski budynek z podcieniami, a dalej kręty, ciemny zaułek. Idealne miejsce do przypadnięcia.

— Obi, słuchaj, powiedz mu, niech skręci w prawo. W prawo, rozumiesz? I latarnia... Niech natychmiast zgasi latarnię i stanie...

Obi rozumiała, ale rikszarz nie bardzo się na to zgadzał. Dopiero za obietnicę napiwku wykonał polecenie. Stali więc w mroku milcząc i czekali. Światło latarni zbliżało się nieustannie i po chwili obok nich przemknęła ścigająca riksha. W kolorowym błysku neonu wydało się Aleksandrowi, że widzi małą, przybraną kapeluszem głowę Japończyka, bacznie rozglądającego się dokoła. Z uczuciem zadowolenia wsłuchiwał się w cichnące popiskiwanie kół. Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Niestraszne nam japońskie hinty. —> Gdzie jesteśmy? — spytał Obi.

Ta przez chwilę rozmawiała z rikszarzem, ponownie zapalającym swój lampion, a potem odpowiedziała: — Niedaleko przystanku kolejowego Namba.

— Hm — zafrasował się Aleksander, któremu ta odpowiedź wydała się równie perfidna jak prośba o pisanie listów na Berdyczów. — No dobrze, ale jak to daleko od twego domu?

— Około pół godziny drogi.

85

— Bagatela... No, to jedźmy!

Rikszarz biegł teraz jakąś boczną uliczką, zabudowaną niskimi, parterowymi domkami wśród ogródków, z rzadka oświetloną i wyboistą. Pojazd trząsł się i podrygiwał, a koń i woźnica w jednej osobie potykał się, szarpał i dyszał, dyszał, dyszał, ale nie ustawał.

Dalibóg, ten ludzki koń niechybnie padnie —! medytował litościwie Aleksander. — I to przeze mnie. To ja zagoniłem go na śmierć.

Ale śmierć bawiła widać w innym rejonie miasta, bo rikszarz wciąż biegł i nic się nie działo. Wobec tego Aleksander zainteresował się swoją partnerką i niewiele myśląc, objął ją ramieniem. Zadrżała, nie wiadomo — z emocji czy z zimna.

— Gorąco ci? — spytał, bo akurat wyleciało mu z pamięci słowo „ciepło”.

— Nie — odpowiedziała zgodnie z prawdą, bo noc była chłodna.

Trzeba by rozgrzać dziewczynę — postanowił, ale co do metody, to wybrał naj-marniejszą z marnych: zaczął obcałowywać współpasażerkę po uszach, szyi i policzku, a rozzuchwaliwszy się, sięgnął śmiało do ust. Zapomniał jednak, że to Japonia, a nie Andaluzja, i raczej zdziwił swoją partnerkę niż rozplómił i oszołomił. Przygasał więc nieco w swych zapałach, lecz za to usłyszał opowieść o japońskich dziewczętach, o tym, jakie one są i czym różnią się od Europejek. Niektóre prawdy Obi musiała powtarzać mu kilkakrotnie, jako że słaby był w angielskim, czyniła to zresztą bardzo delikatnie i taktownie, i raczej bez żenady czy pruderii. Słuchając jej, przekonał się, jak doskonale wcieliła się w skórę białej kobiety, ale tylko w

86

skórę, bo cała reszta, całe wnętrze pozostało japońskie.

— No dobrze, to co ty myślisz, przepraszam, co ty czujesz, kiedy cię całuję? — ciekawość wzięła wreszcie górę nad zmysłami.

— Wiem, że białe dziewczęta całowaniem podniecają swego partnera. U nas tak nie jest, pocałunek nie odgrywa tu takiej roli, mamy sto innych sposobów, aby partner nas pożądał.

Jakie to są sposoby? — chciał spytać Aleksander, ale prędko rozmyślił się, bo co by było, gdyby dziewczyna zaczęła je wymieniać tak spokojnie, jak teraz to wszystko opowiada, i bez żadnych ostonek? Spaliłby się chyba z zażenowania. Jakże różni się nasza moralność od ich moralności.

I... która z nich jest bardziej moralna?

Zapytał natomiast o coś innego:

— Czy ja ci się podobam?

Co za bzdurne pytanie! — skarcił się zaraz.

Obi jakby zawstydzila się. Nerwowo bawiąc się wyjętym z torebki wachlarzem, zaśmiała się perliście (tak

nazywają ów rodzaj śmiechu, którym kobieta pragnie pokryć swe zażenowanie), a potem usiłowała zajrzeć mu w oczy, a kiedy jej się to udało, powiedziała: — O, tak, bardzo. Jesteś pięknym mężczyzną. — I uśmiechnąwszy się bezgłośnie, lecz tajemniczo, skryła twarz za wachlarzem.

Aleksandrowi zdawało się, że słyszy gdzieś surmy archaniołów, westchnął ciężko, ucałował ze złości jej drobną dłoń i zadumał się nad dziwną miłością cór kraju kwitnącej wiśni. Wprawdzie Obi wspominała coś o zmysłowości, ale on tej zmysłowości nie odczu-

87

wał, chociaż świadomie i podświadomie jej pragnął. Pieski świat — podsumował swoje niepowodzenie, a ją pogłaskał dłonią po policzku. Miał szorstką skórę, wiedział o tym dobrze, toteż zaskoczyło go, że Obi przytrzymała jego dłoń, a potem przytuliwszy się do niej, swoim gładkim policzkiem zaczęła pocierać chropowaciznę odcisków, niczym kotka spragniona pieszczoty.

— Dziwny jest ten świat — sapnął filozoficznie Aleksander.

A riksarz biegł, biegł bez końca. Jak długo on tak może? — dręczył się nasz bohater. — Mógłby już zwolnić

Jakoż istotnie zwolnił, ale nie dlatego, że się zmęczył, lecz że przybyli na miejsce. Obi udzieliła woźnicy dodatkowej informacji, po której zapuścili się w jedną z uliczek.

Domki były tu jakby nieco większe i stały wśród ogrodów pełnych krzewów i drzew, przy czym poszczególne posesje oddzielone były od siebie solidnymi murowanymi płotami o spadzistych kamiennych daszkach.

Zdaje się, że to dzielnica willowa — stwierdził zasmucony Aleksander. Co teraz robić? — myślał, patrząc na Obi. — Umówić się z nią czy nie? Ale czy ona w ogóle przyjdzie na spotkanie? I kiedy to będzie? Jutro ma burtę służbową, a pojutrze wychodzą do Nagasaki. Może jednak ktoś się zgodzi posiedzieć jutro za niego... Albo dać temu wszystkiemu spokój i tylko wziąć na wszelki wypadek adres, aby kiedyś napisać do niej... To, że samowolnie „bryknął” i czeka go przeprawa równie ciężka, jak armię Kserksesa przez Hellespont, jakoś uszło uwagi naszego zucha.

W miłości trzeba być przygotowanym na

88

wszelkie niespodzianki, jako że Amor strzela na oślep i może boleśnie trafić. Smętne rojenia Aleksandra przerwane zostały nieoczekiwanym incydem, w zasadniczy sposób zmieniającym dotychczasowy sielankowy nastrój. Właśnie dojeżdżali do okazałej willi, o której Obi powiedziała, że to jej dom, kiedy spostrzegli, że z przeciwka nadjeżdża riksza z takim samym dyndającym lampionem u szyi rikszarza. Z głębi wystawały dwie głowy przybrane w mundurowe czapki. Jacyś wojskowi — uspokoił się Aleksander, któremu zwidziało się zrazu, że znów natknął się na swego prześladowcę w kapeluszu. Obi — pewnie dlatego, że była kobietą — zareagowała na ten widok zupełnie inaczej. Ba! Ale któż może sobie

powiedzieć, że zna kobietę...

— To on! — prawie wykrzyknęła i skulona próbowała skryć się za plecy Aleksandra.

— Co u licha? — szarpnął się nasz bohater i nagle zrozumiał: Miał przed sobą, a w tej chwili już prawie obok siebie, swego rywala, a dotychczasowego narzeczonego Obi, kadeta marynarki... jak to on się zwał... aha, Tanaka, Drugi to zapewne jego kolega, przybrany w takiż granatowy mundur, ze złotymi kotwicami na łapkach sztywnego kołnierzyka. Riksze rozminęły się, zanim przedstawiciele Cesarskiej Marynarki zdążyli cokolwiek przedsięwziąć. Aleksander, ufając ciemnościom, łudził się, że ich nie dostrzegli — niestety, mało wiedział o kocim wzroku poddanych mikada. Za chwilę przekonał się zresztą o tym, bo riksza rywala przystanęła i skrzypiąc kołami, zaczęła zmieniać kierunek biegu.

— Prędko, jak najprędzej! — ponagliła Obi woźnicę. Ruszył znów, nabierając pędu, ale

89

nim go całkiem nabrał, już musiał hamować przed bramą. Obi sfrunęła niemal, porwała za kołatkę i dała wściekły koncert na tym instrumencie. Aleksander obejrzał się. Riksza Cesarskiej Marynarki znajdowała się ze sto metrów za nimi, może mniej, ale już nie poruszała się, tylko groźnie blokowała wylot ulicy.

Jak szczury w pułapce — pomyślał, rozglądając się za czymś ciężkim, co mogłoby przydać się w nadchodzącym starciu, ale widok drżącej Obi wyzwolił w nim, zamiast bojowych, samarytańskie uczucia.

— Obi, kochana, nie bój się. Ja cię obronię! — próbował objąć ją i przytulić. Sądziła że padnie mu w ramiona, ale omylił się. Dziewczyna wprawdzie pozwoliła się objąć, lecz to było wszystko. Za to otrzymał podwójną porcję nerwowych okrzyków, serwowanych mu prosto w twarz. Z tego potoku słów zrozumiał tylko, że narzeczony czekał na dziewczynę w domu rodziców, że ojciec będzie się bardzo gniewał, a jeśli dojdzie do zerwania, poniesie znaczne straty. Czuł się tak, jakby oblano go kubłem zimnej wody. Po diabła się w to wplątałem? — myślał.

— No dobrze, a ja? — spytał, kiedy trochę ucichło.

— Ty? Odjedziesz i zapomnisz, a ja zostanę — powiedziała, a ponieważ stary służący gmerał już kluczem przy furtce, pocałowała go w policzek i pośpiesznie wetknęła w rękę kartkę. — To mój adres i telefon — rzuciła i już znikła w głębi ogrodu. Aleksander z głośnym świstem wypuścił powietrze z płuc. Nie rozumiał nic z tego, co zaszło, a raczej już wszystko rozumiał. Widać kobiety są

90

jednakie pod każdą szerokością i długością geograficzną. Wizytówkę wcisnął pod wstążkę czapki, wskoczył do riksy i skomendero-wał: — Naprzód!

Rikszarz jakoś niechętnie ruszył, czuł pewnie awanturę w powietrzu.

— No szybciej, szybciej! — popędzał go Aleksander.

— Dokąd, mister?

A prawda, zbyt jest roztargniony, więcej opanowania i rozwagi. — Do portu! Minato! — podał kierunek.

Rikszarz pokręcił głową. Nie bardzo uśmiechała mu się ta trasa, toż to dobra godzina drogi. Aleksandra niepokoiło co innego — ile też zaśpiewa ten centaur za taką przejażdżkę? Wszystko wskazuje na to, że Cesarstwo Japońskie złupi mnie do gołej skóry — pomyślał zrezygnowany. Ileż by dał za to, żeby w tej chwili leżeć w swoim hamaku i śnić o tej przygodzie. A tu jeszcze przed nim perspektywa boju. Wprawdzie nie miała to być Cuszima, lecz zawsze siłą musiał przerywać się do swoich. Co do tego, że bitka wisi w powietrzu, był święcie przekonany. Z wolna nabierał animuszu. Nie taki diabeł straszny...

Zapewne ten animusz telepatycznie oddziaływał na cesarskich kadetów, bo riksza ich zawróciła i po chwili znikła w przecznicy. Droga stała otworem! Nawet rikszarz poczuł się lepiej i raźniej przyśpieszył... Ale Aleksander nie zamierzał rozkoszować się tym sukcesem. Przypomniała mu się japońska maksyma: „Po każdym zwycięstwie mocniej dociągnij pod brodą pasek hełmu” i postanowił być czujny. Gorączkowo przemyślał nad metodami ataku i obrony, a tymczasem rikszarz zdołał

91

przebiec kilka przecznic i nic się nie wydarzyło. Już Aleksander zamierzał odetchnąć z ulgą, kiedy znowu wytoczyła się riksza prześladowców i stanęła w poprzek drogi, a obaj pasażerowie zeskoczyli na bruk uliczny. Był to z ich strony błąd i Aleksander niewątpliwie by go wykorzystał. Już marzyła ;r ; wspaniała szarża na wzór Samosierry czy Re-kitny, przy czym rumakiem byłaby mknąca riksza, a ciosy szabli miały zastąpić nie mniej skuteczne ciosy jego pięści, które — co do tego nie miał żadnych wątpliwości — rozciągnęłyby obu cesarskich, gdyby nie zawiódł woźnica. Zgłupiał chłop na widok wojskowych uniformów, zahamował tak ostro, że Aleksander omal nie wylądował na bruku, a po chwili prężył się przed obu wojakami jak rekrut.

Zdrada! — kołatało pod Aleksandrowa czupryną, lecz nie pozostało mu nic innego, jak wysiąść z pojazdu. A tymczasem jego woźnicy wciśnięto coś w łapę i niewierny sługa, kłaniając się, złapał za uchwyty rikszy i już go nie było.

No, zaoszczędziłem nieco grosza — pocieszył się nasz bohater, ale wnet posmutniał, uświadomiwszy sobie, że został sam na paskudnie ciemnej uliczce japońskiego miasta, z dwoma zabijakami na karku. Starcie „floty” polskiej i japońskiej zdawało się być nieuniknione. Na kieszonkowej poojcowskiej cebuli było pięć minut po północy. Japończycy zbliżali się wolno — obaj niewysocy, więc z każdym ich krokiem samopoczucie Aleksandra poprawiało się. Może skończy się na zawiłych wyjaśnieniach? — pomyślał z nadzieją. Mimo wszystko czuł się nieswojo, ale żeby zaraz mieć pietra — broń Boże, nawet postanowił,

92

jak się uda, wystawić przeciwników do wiatru.

Na dwa, trzy metry przed nim zatrzymali się. Wyższy i bardziej krępy zaczął coś gniewnie wykrzykiwać w swym ojczystym języku. Ponieważ nie czynili żadnych agresywnych gestów, Aleksander ruszył naprzód, na tego mniejszego. Kadet nie zdierzył, wykonał pół kroku w bok i przez tę szczelinę przemknął się nasz bohater niczym Persowie ścieżyną Efiatesa. Szedł, korzystając z zaskoczenia, dość szybko, z niepokojem rozmyślając, w którą też udać się stronę, aby nie pobłądzić. Daleko zresztą nie uszedł, obaj prześladowcy wybiegli przed niego i znów zagrodzili mu drogę. Stają się zbyt nudni — pomyślał z wisielczym humorem. Starał się wyminąć tę żywą przeszkodę, co rozwścieczyło wyższego. Z wrzas-kim obskakiwał Aleksandra jak ogar niedźwiedzia, niemal chwytając za ubranie.

A może już? Teraz? — zacisnął pięści, przystanął i sprężył się, aby zadać cios. W tym momencie przed zadziornego kadeta wysunął się ten drugi, niższy, skłonił się, co zaskoczyło Aleksandra, uśmiechnął, a jakże, i zaczął wyjaśniać kwestię po... angielsku. Niewiele z tego Aleksander zrozumiał, jako że mówiący wyróżniał się szczególnie kiepskim akcentem, ale zaczęło z wolna docierać do jego świadomości zaczął kojarzyć to, co usłyszał od Obi, z tym, czego się już sam domyślał. Ten gniewny kadet to Isaburo Tanaka, narzeczony Obi. — Pan Tanaka ma wielki żal do cudzoziemskiego marynarza za to — mówił ów Jan Złotousty — że próbował podstępnie uprowadzić mu narzeczoną. W ten sposób ubliżył jej, jak i jemu, a przez niego honorowi i godności przyszłego

93

oficera Cesarskiej, Marynarki Wojennej. Tę hańbę można zmyć tylko krwią i dlatego jego przyjaciel, kadet Tanaka, wyzywa nieznanego marynarza do pojedynku na... noże.

Ta przyczyna walki oszołomiła Aleksandra. Uprowadzić Obi? A to heca! Wprawdzie nie uszczknąłem jabłka z drzewa dobrego i złego, ale za to będę miał do czynienia z ogrodnikiem, a raczej ze złym psem ogrodnika. Chciał im coś odpowiedzieć, usprawiedliwić się z krzywdzącego zarzutu, ale jak to wytłumaczyć temu kadetowi, po jakimu i czy w ogóle warto tłumaczyć? W takich okolicznościach — podszeptował mu zdrowy rozsądek — nie ma co tłumaczyć, tylko trzeba wiać, bo można stracić życie. Jak to mawiano w szkole, zastosować najlepszy chwyt dżudo: „cała wstecz”, czyli „fugas chrustas — nogas za pas”. Lecz z drugiej strony uciec to znaczy skompromitować przed tym żółtkiem polskich marynarzy. Nie, tak nie może postąpić. Lepiej nich go zadźgają, niż by miał okryć hańbą biało-czerwona banderę.

Tymczasem Tanaka dobył już kordą i skradał się kocimi ruchami. Aleksandrowi zjeżyły się włosy pod czapką. Jak tu walczyć, kiedy brak noża, a nawet marnego kozika? Może ten drugi da mu swój kord? Ale nie... Kadet wprawdzie wyciągnął go z pochwy, ale nie kwapił się z wypożyczeniem, raczej chętnie wsparłby nim swego kolegę.

— Skurwysyny! — wrzasnął w języku Reja i Boya. — Chcecie mnie zaszlachtować? Daj mi swój nóż! — krzyknął już po angielsku do ugrzecznionego. Lecz ten pokręcił przecząco głową. A Tanaka był tuż tuż... Aleksander gotów był przysiąc, że mimo złego oświe-

34

tlenia widział w jego oczach żądzę mordu. Aż wstrząsnął się i odskoczył do tyłu. Do diabła! Opanował go

strach przed taką perfidią przeciwnika. I to ma być pojedynek, kiedy drugi walczący już z góry nie ma żadnych szans? Uciekaj! Uciekaj! — podszeptował mu instynkt. Uliczna latarnia rzucała skąpe światło na tę scenę igraszki brukowego dramatu i biedny Aleksander zrozumiał, że Japończyk zabije go bez wahania. Na ucieczkę było jednak za późno. Broń się więc, jeśli nie chciałeś uciekać! Teraz rozstrzygnięcie mogło nastąpić w ciągu sekund. Wszystko postawić na jedną kartę! Rien ne va plus? Ma vie! Naprzód!

Potężny skok i... jest już przy kadecie, prawie napiera nań ciałem, tak że tamten, zamachnąwszy się kordem, w żaden sposób nie może skutecznie uderzyć. No, teraz cię mam — myśli z triumfem i trzaska piekielnym prawym podbródkowym, jednocześnie robiąc wykrok do tyłu. Ale Japończyka nie można lekceważyć. Prawie niedostrzegalnie skręca rękę w nadgarstku i całą mocą uderza od spodu, celując w brzuch. Ten wykrok i podbródkowy ocaliły Aleksandra. Wykrok wyprowadził podbrzusze z trajektorii ciosu, podbródkowy odrzucił napastnika, skracając zasięg jego ręki. Ostrze kordą uderzyło więc Aleksandra niegroźnie w sam „dołek”, prawdopodobnie natrafiło na metalowy guzik munduru, bo aż zazgrzytało, ale on nie odczuł bólu. Wykonał teraz wykrok wprzód i z rozmachem ciął lewym sierpem jak młotem prosto w skroń. Trzeciego ciosu już nie zdążył zadać — Tanaka zwałił mu się pod nogi. Chyba k.o. — stwierdził z satysfakcją. W mgnieniu oka skoczył w stronę ugrzecznionego, lecz ten nie czekał. Dał

95

„cała wstecz” i wołając coś, znikł za rogiem ulicy. W porywie wściekłości zaślepiony Aleksander pognął w tamtym kierunku, ale nim dopadł narożnika budynku, usłyszał za sobą gwizdki policjantów. Zapomniał w zamieszaniu bitewnym o riksazarzu, a ten widać nie próżnował.

Złapał Kozak Tatarzyna — stropił się. Sam gonił i jego goniono. Ale nie dogoniono. Wpadł w jakiś zaułek, strzelił z rozmachem w papę jakiegoś spóźnionego przechodnia, który uniósł w górę latarkę, aby mu się przyjrzeć (być może był to nocny stróż) i już znalazł się na jasno oświetlonym placu. Tu zwolnił kroku, nasłuchując, skąd niesie się gwizdanie. Na krzyki pobitego nie zwrócił uwagi, a całkiem niesłusznie, bo ten zawzięty człowiek wybiegł za nim na plac i próbował na własną rękę ująć. Nie czując się na siłach szamotać z kilkoma bojowo nastrojonymi przechodniami, zwerbowanymi przez pobitego, Aleksander rzucił się do ucieczki. Porwawszy czapkę w rękę, biegł na oślep, byle dalej, jakby wierzył, że dzięki okrągłości ziemi i tak trafi na statek — pomysł zastosowany już przez niejakiego Szwajka. Wreszcie zgubił ścigających i ziajany powlókł się podejrzanymi zaułkami, na próżno usiłując ustalić, dokąd zaniósł go uskrzydłone nogi. W końcu zwrócił uwagę na coś, co znajdowało się nieco wyżej od poziomu ulicy. Tor kolejowy. Odkrycie to dodało mu sił — jeśli jest tor, to gdzieś musi być i dworzec, z którego odjeżdżają pociągi. Po kilku minutach nowe odkrycie — dworzec, a raczej podłużny ni to hangar, ni pawilon. Nim zdecydował się tam wkroczyć, przystanął, obejrzał uważnie ubra-

96

nie, buty, czapkę. Za wstążką nie było sztywnej karteczki z adresem i telefonem Obi — pewnie wysunęła się w czasie ucieczki. Co za pech!

Budynek był jasno oświetlony, z wielkim, hieroglificznym neonem. Podszedłszy bliżej stwierdził, że takie same znaki widnieją na białej ściennej tablicy. Pod nią wisiała dużo mniejsza, na której alfabetem

łacińskim wypisano: Tennodzi.

Ucieszył się — był to przystanek kolei elektrycznej, którą można dojechać do portu. Przypomniał mu się leżący w kabinie nawigacyjnej plan Osaki z czerwoną krechą tej kolei i odetchnął z ulgą, jakby już był na pokładzie „Daru”. Choć zbliżała się druga w nocy, wokół budynku dworcowego kręciło się sporo ludzi. Stojący w wejściu policjant obrzucił Aleksandra czujnym spojrzeniem wyżyła, na co dzielny żeglarz spiorunował go wzrokiem i z dumną miną wkroczył do zadymionej poczekalni.

Warto by kupić bilet. Ale po co? Żeby wspierać państwo, w którym spokojny człowiek narażony jest na podobne ekscesy? Nigdy! — postanowił. — Zresztą w Jokohamie przejazdy były za darmo, więc chyba i tutaj... Z kamiennie spokojną twarzą przeszedł obok biletera na peron. Japończyk poderwał się, ale na widok umundurowanego cudzoziemca słowa zamarły mu na ustach. Kiedy potem Aleksander obrócił ostrożnie głowę w tę stronę, bileter siedział znów na stołku. Widać wszystko było w porządku. Nie miał zresztą czasu analizować postawy cerbera kolejowego, bo zaraz nadjechał pociąg i po kilkunastu minutach jazdy w prawie pustym wagonie zna-

7 — Synowie marnotrawni

97

lazł się na końcowej stacji Minatomatsi. Stąd do Minato, gdzie stał przycumowany „Dar”, było tyle co rzucić kamieniem. Aleksander gnał opustoszałą ulicą, mijając od czasu do czasu policjantów, rikszarzy i dozorców. Kwadrans przed trzecią znalazł się u wejścia na trap statkowy. Zaspany wachtowy powitał go z zasępioną miną.

— To ty, stary, czy twój duch? Słuchaj, straszna chryja. Sam komendant trzy razy przychodził pytać o ciebie. Zezłościł się usłyszawszy, żeś prysnął z występów z jakąś gejszą.

O rany! — dopiero teraz uświadomił sobie Aleksander, co to za cyrk będzie jutro, a raczej dzisiaj. Już „Macaj” mu nie daruje, to pewne.

— Idźcie spać — pojawił się oficer dyżurny. — Przed jutrzejszym dniem warto wypocząć — dodał znacząco.

Zdenerwowany, rozbierając się szybko, nie zwrócił początkowo uwagi na mundur, dopiero zdejmując koszulę, odczuł lekki ból w dołku. Pomacawszy ręką, natrafił na matczyne serduszko z bursztynu, które zazgrzytało mu w rękę szklistymi okruchami. Jakoś dziwnie zmałało. Pełen najgorszych przeczuć wybiegł na oświetlony korytarz. Spojrzał i zrobiło mu się niedobrze. Kord Japończyka trafił go jednak celnie i nie wiadomo, co by było, gdyby na drodze nie stanęło mu bursztynowe serce matki. Teraz został z niego żaloszny szczątek, a tak się chlubił tym darem. Nie zwracając uwagi na pieczenie pociętej skóry, wpatrywał się ze wzruszeniem w rozdartą ostrzem matczyną twarz. Pleksiglasowe wieczko gdzieś odpadło i mógł widzieć teraz wyraźnie niena-

98

ruszone oko matki — prawdziwe oko opatrności. Chociaż była stąd daleko, spełniła swą powinność — osłoniła swoje dziecko przed niebezpieczeństwem.

— O mamó, mamó! — z trudem powstrzymał łkanie.

O dziesiątej rano wraz ze starszym oficerem i kierownikiem wachty znalazł się Aleksander przed obliczem „pierwszego po Bogu”. Nie myślał nic ukrywać — potulnie opowiedział o nocnych wydarzeniach i umilkł, oczekując na wyrok skazujący. Zobojętniało mu wszystko, poniósł już bowiem największą w swoim mniemaniu karę, lecz nie zwierzył się z tym nikomu.

— Nu patrzcie go, chaliera, nu bohater, nu rycerz się znalazł, nu uwodziciel, krasawsz-czik — natrzęsało się „Macaisko”. — Jak służyłem na podwodnych łódkach, też takiego ananasa mieliśmy. Żony oficerskie niepokoił, psiakrew. Wy, zdaje się, i w Honolulu mieliście jakąś po sercu przygodę, co?

— Ależ skąd, panie komendancie — zaprotestował Aleksander. — Ja tylko tu...

— Tylko tu, tylko tu... Słyszysz pan, panie Stanisławie? I od razu do noży, o kobietę... ot, muszkieter. My tu przyjaźń z Japońcami robimy, wiadra herbaty trzeba wypijać, nudnych, ach, jakże, chaliera, nudnych przemówień wysłuchiwać, a ten szast prast i całą przyjaźń w ką. Na nic wiadra czaju, na nic miski ryżu, na nic przemowy, biezobrazje, ot co! On jeszcze konflikt międzynarodowy gotów nam na kark ściągnąć!

— Potem zaczął się Aleksandrowi przyglądać uważnie i dziwować:

— I wy sobie dali radę z nimi dwoma? No,

99

znaczy zaprawa fizyczna u nas na należyłym poziomie, panie Tadeuszu. Trzeba pochwalić instruktora sportowego. A poza tym niezdiscyplinowany jesteście. Czemu nie wrócili razem ze wszystkimi, aaa?

— Prosiła mnie o odprowadzenie do domu — wybąkał.

— To czemu wy nie zwrócili się o pozwolenie do pana kapitana Meissnera?

— Sądziłem, że... że nie trzeba, że... zaraz wrócę...

— Wiedział, że nie uzyska zgody — wtrącił się starszy oficer — bo zastrzegłem im z góry, że na żadne brewerie nie pozwolę.

— Czyli wy to świadomie zrobili — podsumował „Macaj”. — Ot, młodzież dzisiejsza, nie wolno, to jemu w to graj, a jak pozwolą, kijem nie wygnasz.

Aleksander, skromniutko spuściwszy głowę, czekał, aż wściekły tajfun komendanckiej mowy, wyszalawszy się, opuści w końcu kabinę, a potężna martwa fala strąci go zapewne w czeluście zęb statkowych, owe Augiaszowe stajnie, które uczniowie katorżnicy przez pokolenia całe starali się doprowadzić do jakiego takiego porządku. Jakoż niewiele się pomylił w tym względzie.

— Chaliera, wy mieliście szczęście, że temu makakowi nie dali się zadźgać, bo wtedy... ja bym wam sypnął z grubej rury. Psiakrew, całkiem mnie skołował... Ale nie cieszcie się, nie cieszcie. Wy wiecie, jaką awanturę zrobiłaby nam Warszawa. Skali Beauforta za mało. Tak i u mnie musi być sprawiedliwość, morska sprawiedliwość, surowa... Panie Tadeuszu — zwrócił się do starszego oficera — pan proszę mnie o człowieka do komory łań-

100

cuchowej czy balastowej? — A kiedy Meissner przytaknął, oznajmił mu z emfazą: — Ecce homo! A w ogóle — oświadczył obu oficerom — pracy jest dużo, a ludzi mało, więc pamiętajcie, panowie, tego oto zucha. A ty, synku, usatuj się, psiakrew, bo baby cię zgubią i ze szkoły wylecisz na amen. Wspomnij naszą pramacierz Ewę, przez nią raj utraciliśmy, ot co. Już ty w Japonii lepiej na ląd nie chodź — kiwał mu palcem przed nosem. — Nagasaki już nie dla ciebie, chociaż ty i bokser. Znów jakaś gejsza i znowu kłopoty, masa kłopotów, zrozumiałeś? Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo. A w innych portach to jeszcze zobaczymy...

— Tak jest, panie komendancie — powiedział cicho Aleksander. Mimo wszystko gotów był uściskać pocziwego „Macaj” za wyrozumiałość i za to niecodzienne kazanie, które przy okazji usłyszał.

— A pan, panie Stanisławie — zwrócił się „Macaj” do Koski — niech zastąpi mu trochę ojca, bo to, zdaje się, półsierota, choć już stary koń, stąd u niego takie durnoty. — Tu spostrzegłszy się, że mimowolnie uczynił aluzję do przezwiska kapitana, oświadczył: — Nu ja przepraszam, że tak wyszło dwuznaczno, ale mówię poważnie, nie żartuję.

Z drzeniem w sercu Aleksander wytrzymał groźne „ojcowskie” spojrzenie. No, on mi zada bobu — pomyślał. Odtąd porty japońskie miał oglądać już tylko z pokładu „Daru”. Rozbite bursztynowe serduszko sprawiło, że ten „pojedynek” w Osace utrwalił mu się w pamięci na długie lata.

A wielka, bordowozłocista chryzantema zwiędła ze szczętem...

101

*

— Patrzaj — zdziwił się Konkiel — a niceś o tym nie gadał...

— Nie chciałem martwić matki, choć i tak musiałem skłamać, aby jakoś wyjaśnić, dlaczego jej serduszko z bursztynu uległo zniszczeniu. Ale nie o tym chciałem mówić. Co sądzicie, szypcze, o tym zdarzeniu, przypadek to czy przeznaczenie?

— Diachli tam, sameś laź w niebezpieczeństwo, to i miałeś. Przez białki zawsze siła złęgo. A tyś jeszcze szukał miodu u obcej, jakby to naszych mało było. Młodyś był, durny, to ci się i przydarzyło.

— Ach! A więc jednak przypadek?

— Chyba! Aleś miał zapisane gdziesik, że wyjdiesz z tego całki...

— Wy ciągle swoje. Ale zobaczymy, co powiecie teraz. Ta cała przygoda miała też i swój koniec. I to całkiem niespodziewany. Bo tylko góra z górą się nie zejdzie...

— A juści. Co też gadasz! Spotkałeś go?

— Oczywiście! Po ośmiu latach. I to w jakich okolicznościach! Na małej wysepce na końcu świata. No i co powiecie — przecież to ślepy traf, żeśmy się natknęli na siebie.

— Traf nie traf, pisane ci to było i tyle.

— Do stu tysięcy beczek solonego śledzia! Ależ z was uparciuch, szyprze!

— Ty mnie nie kołuj, tylko pij i gadaj!

— Dobra! — Aleksander jednym haustem przełknął pałący trunek, odchrząknął raz i drugi, głośno odetchnął i zaczął mówić:

— Była wojna. Służyłem wtedy w Royal Australian Navy na HMAS „Curcuma”...

CZĘŚĆ TRZECIA

ŚLEPY TRAF

1. Żegnaj, Australio!

Stali na zbiorce, oczekując zwolnienia na ląd. Na prawym skrzydle mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu Aleksander, na lewym Brown — zaledwie metr pięćdziesiąt osiem. Pomiędzy nich wcisnęło się kilkunastu chłopca, których natura obdarzyła mniej więcej równo. Dochodziła osiemnasta, a ponieważ Sydney wabiło mocno, niecierpliwili się i klęli półgłosem. Wreszcie zjawił się oficer dyżurny — stary, żółtawy Anglik — niosąc w ręku plik przepustek. Leniwie, jakby czytanie sprawiało mu wielką trudność, sylabizował ich nazwiska i wtykał karteluszek w wyciągnięte ku niemu ręce.

— Tylko mi się nie spóźniać — przypominał raczej z obowiązku niż z przekonania o słuszności tego, co mówił. — Nie zalewać zbyt wiele pałek, wiecie przecież, co nas czeka jutro...

— Taaa... jeeest! — wykrzyknęli ochoczo i już zbiegali po trapie. Byle dalej od okrętu, byle jak najszybciej w miasto. Rozproszyli się na parę małych grup, w zależności od zainteresowań i chęci.

Aleksander i Brown znaleźli się w jednej

105

z nich. Obydwu łączyła pewnego rodzaju zażyłość, bo chociaż wyglądali razem jak półtora marynarza i nawet lieutenant Hopkins nazywał ich „hali three pence”, mało kto chciał z nimi zadzierać — Brown był bowiem kąśliwy w języku jak osa, a Aleksander dysponował potężnymi pięściami, które wyrobiły mu pewną pozycję w środowisku marynarskim. Ale że siła fizyczna szła u niego w parze z rozumem, piastował w Royal Australian Navy stanowisko podoficerskie, ciesząc się uznaniem zarówno

przełożonych, jak i podwładnych, co dla cudzoziemca musiało być nie lada sztuką. Właśnie w piątkę wybierali się na zabawę...

— No, dziś zakręcimy światem! — oświadczył zuchowato Brown. — I słusznie, bo kto wie, czy zobaczymy jeszcze naszą starą, pocziwą Australię? Spójrzcie, mam tu coś, co nam doda wigoru. — I odchyliwszy bluzę, pokazał im wetknięte za pas dwie butle, wspaniale bulgoczące. — Czysty, nie rozcieńczony rum — pochwalił się.

— Jak to zdobyłeś? — zdziwił się Aleksander.

— Ma się sposoby. Trzeba dbać o kolegów, ot co — rzekł, pusząc się, maluch i poklepał przyjaciela po plecach. Zrobił to delikatnie, bo Aleksander nie był dziś w humorze. Znów nawiedziła go potężna fala chandry-nostalgii. Z przerażeniem przekonywał się, że ataki te nachodzą go coraz częściej. Teraz rozumem — konstatował — Sienkiewiczowskiego latarnika. Może i ja zacznę rozczulać się nad polskimi książkami? Tylko nad jakimi? „Nawigacja” Tosia chyba nie zafrapuje mnie do tego stopnia, że bym przegapił japoński sensuikan —

106

pokpiwał. Objawy te nasiliły się, zwłaszcza odkąd dotarła do niego wieść o agresji niemieckiej na Polskę. Wiadomość ta dopadła go na Nauru, dokąd przyszli po ładunek apatytów. Wlokła się długo — nic dziwnego, od kilku już miesięcy żeglował między atolami koralowymi niczym archipelagami Wysp Szczęśliwych, a tam wydaje się, że czas w ogóle stoi w miejscu. Dla antypodów była to wiadomość mało ważna, nadeszła przy okazji ostrzeżenia o spodziewanej na tych wodach działalności niemieckich rajderów i prócz Aleksandra nikt się nią nie przejął. Co obchodziła tu kogokolwiek jakaś tam Europa, a tym bardziej Polska. Były to jakieś bardzo dalekie zakątki świata. A jego doprowadzała wprost do pasji świadomość, że tam w Gdyni została matka i rodzeństwo, że być może w każdej chwili grozi im z rąk wroga śmiertelne niebezpieczeństwo, a on nic nie może dla nich zrobić. Potem radzik powiedział mu, że Polska już nie istnieje. Takiego ciosu nie przewidział. Wyrzucał sobie fakt nieobecności w kraju i nieuczestnictwa w jego obronie. Świadomość bezsiły paskudnie wpływała na jego usposobienie. Stał się bardziej nerwowy i kłótlivy, zgubił dawną wesołość, bezustannie biadolił o swoim nieszczęściu, co raczej odstraszało od niego ludzi. Początkowo szukał zapomnienia w alkoholu, potem zmienił ten rodzaj pociechy na ciepłe ramiona kobiet, ale wszystko to razem dawało tylko chwilowe zapomnienie. Rzucany z jednego krańca Oceanii na drugi, w twardym znoju marynarskiego żywota powoli przyzwyczajał się do faktu, że Polski już nie ma. Lecz, u licha, nie znaczyło to przecież, że tak już ma być zawsze. Przecież —
pocie-

107

szał się — już nieraz traciliśmy niepodległość. Trzeba walczyć, walczyć, walczyć. Tylko... jak?

O sytuacji w kraju nie wiedział prawie nic. Listów od matki nie otrzymywał. Ostatni przyszedł w sierpniu. Skazany na bezsilę, w biernym postanowieniu walki i w codziennym kieracie obowiązków, oczekiwał czegoś w rodzaju cudu, co wyzwoliłoby nagromadzoną w nim energię czynu. Wybuch wojny z

Japończykami, sojusznikami Niemców, przyjął prawie z radością. Sądził, że wreszcie będzie mógł zrealizować swoje postanowienie. Zgłosił się na ochotnika do marynarki wojennej i tylko dzięki ogromnemu uporowi i pasji został przyjęty. Wojna bowiem jest wojną i tylko wojną, natomiast przepisy pozostają zawsze uświęconymi tradycją przepisami i nie może jakiś pierwszy lepszy mienić się obrońcą Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. A on był cudzoziemcem, do tego obieżyświatem bez obywatelstwa — groźnie piętrzyła się przed nim góra kłopotów, ogromna niczym Mount Kościuszko. — Możecie przecież pozostać w marynarce handlowej. To też odpowiedzialna i niebezpieczna służba — mówiono. Ale on nie ustępował, a że na szczęście dla siebie przez kilka lat objania się po portach australijskich zdołał zawrzeć trochę interesujących znajomości, wreszcie rok temu w drodze wielkiej łaski wcielono go do Royal Australian Navy Volunteer Reserve. Poszedł na Q-ship. A nazajutrz czekało ich kolejne zadanie bojowe...

Na najbliższym przystanku wskoczyli do autobusu i po niecałych dziesięciu minutach jazdy znaleźli się przed klubem marynarskim. — Szybciej, szybciej — ponaglał Brown. — Nasze panny już czekają. Pochrzążając,

108

niecو zmieszani podchodzili do stojących dziewcząt z Pomocniczej Służby Kobiet. Ubrane w jednakowe granatowe mundurki wyglądały jak zastraszone pensjonarki, które wybrały się na swój pierwszy bal. Zgrabne kapelusiki dodawały im uroku. Powitanie było radosne: — No, jesteście nareszcie! Już myślałyśmy, że nie puszcza was na ląd.

— Niechby tylko spróbowali! — Brown nastroszył się czupurnie. — Rozwalilibyśmy tę łajbę w drzazgi, prawda, Aleks?

Aleksander roześmiał się — no, no, udał nam się ten Brown — i z lekka zażenowany podszedł do wysokiej blondynki.

— Hallo, Lucy, jak się masz?

— Hallo, Aleks, cieszę się, że przyszedłeś.

— Tęskniłaś za mną?

— Troszeczkę, a ty?

— Myślałem o tobie cały czas i dlatego zdawało mi się, że jesteś ciągle przy mnie.

Roześmiała się.

— Jesteś bardzo miły. — Wspiąwszy się na palce, delikatnie pocałowała go w policzek.

— W usta!

— Przyjdzie na wszystko czas, my dar-ling — powiedziała figlarnie, przekrzywiwszy głowę.

- Tylko nie każ za długo czekać.
- Och Boże, jacy ci Polacy niecierpliwi.
- Polacy? Po prostu mężczyźni. Ja ci nie wypominam, że jesteś Australijką z buszu...

Spojrzała na niego z wymówką: — Al, kochanie, nie złość się. Tak się cieszyłam, że spędzimy razem ten wieczór, a ty nigdy nie masz humoru. Znowu pewnie przyłył patriotyzm...

Wiesz, czasem odnoszę wrażenie, jakbyś

109

szdyżła z mego przywiązania do ojczyzny — powiedział ze złością.

- To nie tak. Ja nie szydę, czasem tylko jestem zazdrosna, bo mi ciebie odbiera ta twoja ojczyzna — wyjaśniła.
- Hm — uśmiechnął się — możesz być spokojna, to dwie różne sprawy, Polska i ty. I tu tkwi we mnie cierń, to moja tragedia. Mam ciebie, a nie mam jej. Jestem silnym chłopem, a w niczym nie mogę jej pomóc, więc po co mi ta siła? Wprawdzie tłuć ją-pów, ale przecież wolałbym tłuc przeklętych szkopów, którzy mordują w kraju moich rodaków.
- Przecież walczyliśmy o wspólną sprawę...
- Tak, ale jeśli mam być szczery, to wolałbym walczyć tam, wśród swoich. I umiera się lżej na ojczystej ziemi...
- Nie mów tak — szepnęła zdławionym głosem Lucy, delikatnie gładząc go po rękę, a potem wypowiedziała to, co dręczyło ją od dawna: — Wiesz, Al, tak się boję o ciebie, tak drzę, żeby nie było to nasze ostatnie spotkanie...

Uśmiechnął się czule: — Lubisz mnie trochę, Lucy, prawda? Nie martw się, jakoś oszukam kostuchę i wrócę cały. Po prostu czuję, że śmierć nie jest mi jeszcze pisana. Chyba żeby dosięgła mnie przypadkowo.

- Trzymam cię za słowo — powiedziała z bladym uśmiechem. Zaczęli przepychać się przez tłum, blokujący wejście na salę. Właśnie była przerwa w tańcach i pary wyległy na świeże powietrze. Barczysty Aleksander łatwo torował sobie drogę, za nim przeciskała się uczeplona jego bluzy Lucy, dalej cała reszta ferajny. Ostatni w szyku był Brown, groźnie

110

pokrzykujący na napierających ze wszystkich stron dryblasów. Oczywiście na sali nie było już wolnych stolików i Aleksander nagle zastopował, nie bardzo wiedząc, co robić. Dziewczęta okazały się bardziej przewidujące i z triumfującymi minami poprowadziły ich do dwu stolików w pobliżu podium dla orkiestry. Na obrusach straszyły kartki z napisem: „Zarezerwowane dla Komendanta Bazy”.

— To chyba nie tu — stropił się Brown. Rudowłosa Betsy, jego partnerka, zdjęta te

kartki i z uśmiechem porwała na strzępy. Zaskoczyła ich ta przemyślność płci pięknej.

— A co? Pochwalcie nas chociaż, niedołęgi.

— My niedołęgi? — obruszył się Brown. — To wy nas pochwalcie — i z dumą wyciągnął obie butle rumu. Starał się wejść już w swoją zwykłą rolę duszy towarzystwa. Rozprowadzał z ożywieniem: — Skocz no, Betsy, po wodę sodową, po dużo wody sodowej, to zrobimy z tego parę galonów. Nie bójcie się, starczy dla wszystkich. Specjalnie go skombinowałem dla ciebie, Aleks, pociągniesz, to ci przejdą humory. Zresztą dziwię ci się, Lucy, że nie potrafisz go rozruszać. Chłopak jak malowanie, a całymi dniami rozmyśla o czymś i wzdycha, i jeszcze z tych medytacji gotów kręćka dostać.

— Odczep się, pókim dobry — przerwał mu Aleksander. — Adwokatów mi nie trzeba.

— No proszę, znów się obrażasz. Golnij sobie jednego nie rozcieńczonego i przekonasz się: jakby ręką odjął — podsunął mu butelkę.

Daj spokój, niech go najpierw Betsy rozprowadzi, nie lubię takiego stężonego kwasu siarkowego.

— Kwas siarkowy? Przecież to najlepszy

111

rum z Jamajki! — Brown wykrzywił twarz w rozpaczliwym grymasie, że niby nic z tych Aleksandrowych humorów nie pojmuje, i zajął się gorliwie przyrządzaniem napitków, w czym dzielnie pomagała mu Betsy. Reszta dziewcząt, milcząc, ciekawie rozglądała się po sali. Aleksander siedział chmurny, nie reagując na błagalne spojrzenia Lucy. Z odrętwienia wyrwał go dopiero brzęk strojonych instrumentów. Kiedy zagrano tango, opamiętał się jednak — trzeba zrobić przyjemność dziewczynie. Wstał, skłonił się przed nią. Uśmiechnięta radośnie przytuliła się do niego i popłynęli w tańcu, lawirując wśród innych stłoczonych na parkiecie par. Milczeli oboje, tylko Lucy przycisnęła się do niego jeszcze mocniej, jakby w ten nieskomplikowany sposób dawała mu do zrozumienia, że chce go przy sobie zatrzymać na zawsze. Nastrój przy obu zsuniętych ze sobą stolikach nie był w tym dniu szczególny. Nadchodząca rozłąka odebrała zwykłą wesołość nawet gadatliwemu Brownowi. Biedaczysko całkiem stracił koncept, a jak już od czasu do czasu coś palnął, to bez ładu i składu. Za to pili dość dużo i szybko, chcąc zagłuszyć dręczący ich niepokój. Dziewczęta dzielnie dotrzymywały im placu — prawdziwe towarzyszki żołnierskiej służby — ale w ostatecznym rachunku wypiły znacznie mniej, udowadniając, że są mimo wszystko płcią słabszą. Podpite, śmiały się głośno, śpiewały, robiły wiele innych niemądrych rzeczy ku niebiańskiej radości staruszka Bachusa.

Aleksander dużo by dał, aby móc pójść w ich ślady, ale rozkoszny szmerek nie chciał nadejść. Był przez to smutny i nawet zły na

112

siebie. Co u licha? — zastanawiał się. — Skąd ten grobowy nastrój? Albo to nam pierwszozna wychodzić w morze? Tyle razy chodziliśmy na patrole, zatopiliśmy nawet dwa pod-wodniaki japońskie, skąd więc to teraz?

— Brown! — krzyknął. — Zaśpiewaj coś wesołego!

— Dla ciebie, Aleks, wszystko, nawet zastępstwo przy żonie — i Brown, wgramoliw-szy się na krzesło, zaczął śpiewać, a raczej wykrzykiwać „It's a long way to Tipperary”. Orkiestra zaczęła mu akompaniować, a po chwili cała sala śpiewała tę popularną w poprzedniej wojnie światowej piosenkę żołnierską. Zrobiło im się trochę weselej. Potem znów tańczono. Zadymiona sala, przybrana chińskimi lampionami, wyglądała obskurnie, ale Aleksandrowi, który w podchmieleniu zaczął doganiać resztę towarzystwa, wydawała się dość przytulna. I na Lucy spoglądał teraz inaczej. Obłapiwszy ją mocno, wdychał zapach jej blond włosów i rozgrzanego młodego ciała, kradł jej całusy, ośmielał się obmacywać tu i ówdzie, i tańczył, tańczył zawzięcie. Powoli ogarniało go miłe znużenie. Lampiony wirowały, a jemu wydawało się, że jest pijany. Było tak, jak chciał, jak uważał, że powinno być, gdy nagle przyszło otrzeźwienie. Te lampiony, girlandy, rytm muzyki... już to gdzieś kiedyś widział i słyszał. Ależ tak! Było to przed ośmiu laty w Japonii, w czasie wizyty „Daru Pomorza”. Występy zespołu tanecznego w Osace... Lampiony, setki różnokolorowych lampionów... Filigranowa Japoneczka Obi... I ta cała awantura, kiedy odprowadzał ją do domu. Do diabła! Czemu się to teraz musiało przypomnieć? Pewnie żeby do reszty spasku-

• — Synowie marnotrawni

11 o

dzic mi humor. A może to jakiś omen? Z zamyślenia wyrwał go v szturchaniec zagniewanej Lucy:

— Al, zasnąłeś w tańcu? Chodźmy stąd lepiej, dość mam tej smętnej zabawy!

Grzecznie skinął głową i poszedł za nią w kierunku stolików. Przybyli w samą porę. Zadziorny Brown zdołał już wszcząć kłótnię z dwoma wyższymi od siebie osobnikami z kompanii wartowniczej. Kto wie, czy nie zrobiliby użytku ze swoich pięści, gdyby nie groźna postać Aleksandra. Spojrzeli, ocenili potężną muskulaturę i ogromny wzrost, uśmiechnęli się blado i zdryfowali. Brown natychmiast uderzył w ton przechwałek: — Widziałeś, Aleks, jak dali nogę przede mną? Gdzie im tam, piechocińcom, do nas, zejma-nów? Już ty się nie bój, Aleks, jak ja jestem przy tobie, nikt cię nie zaczepi. A jakby co, to walę...

— Siadaj! — partnerka Browna, ruda Bet-sy, bezceremonialnie szarpnęła go za rękaw i pociągnęła na krzesło. Gruchnął głośny śmiech. Betsy — trzeba tu nadmienić — była prawie o głowę wyższa niż Brown i podobno, jak twierdzili złośliwi, siłą utrzymywała nieboraka przy sobie.

Zaczęli się żegnać ze wszystkimi, podając jak najbardziej wiarygodne powody tego dość wczesnego odejścia. Dziewczęta, śmiejąc się, wołały: — Aleks, tylko nie zamęcz biedaczki! — I inne jeszcze rzeczy wykrzykiwały, aż wywołało to rumieńce na twarzy Lucy. Starając się nie zwracać uwagi na pijackie zaczepki, przycisnęli się do wyjścia, a potem, głęboko oddychając świeżym powietrzem, pomaszrowali ulicami Sydney. Był pogodny

wieczór. Wygwieżdżone niebo, zdawało się, zawisło tuż nad głowami. Choć obowiązywało zaciemnienie, na ulicach było dość jasno. Widocznie zeszłoroczny atak na port japońskich miniaturowych okrętów podwodnych zacierał się powoli w pamięci władz miejskich, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Wśród spacerowiczów przeważały mundury różnych nacji, nie brakło nawet amerykańskich ze stacjonujących tu okrętów wojennych. Skwer przed National Art Gallery wabił wolnymi ławeczkami. Usiedli na jednej z nich.

— Jakie to dziwne — szeptała przytulona do jego ramienia Lucy — cały świat w ogniu wojny, a tu życie wre jak za najlepszych pokojowych czasów...

— Dziwne, dziwne... Dlatego właśnie nie rozumiecie nas, mówicie, że my, Polacy, jesteśmy przewrażliwieni. Ciekawe, jakby tak role się odwróciły, co wy byście mówili?

— Kochany, nie wymagaj od nas za wiele. Jesteśmy narodem, który nie wadzi nikomu.

— My też jesteśmy takim narodem.

— No, nie gniewaj się, ale wojna wybuchła z waszego powodu.

— Z naszego powodu? — porwał się Aleksander. — A gdyby tak japy zamiast na Hawaje napadli na przykład na Sydney, to wojna wybuchłaby z waszego powodu, prawda? Ponieważ bronilibyście się przed nimi, tak?

— Nie denerwuj się, Al — uspokajała go. — Wiesz przecież, że jestem kobietą i mało się znam na polityce. Od tego jest rząd, niech on się martwi.

— Wygodna jesteś — ochłonął Aleksander. — Zresztą wy wszyscy...

Pocałuj mnie lepiej, zamiast się kłócić.

115

— No cóż, ponieważ temat dyskusji został wyczerpany, będę musiał to zrobić — i objął ją mocno.

— Och, Al — szeptała po chwili — puść, dosyć! Jakie to wszystko dziwne... Kiedyś w ogóle nie wiedziałam, że istnieje jakaś tam Polska, a teraz całuję się z polskim chłopcem i co gorsza Kocham go!

— Uważaj, Lucy, „jakiejś tam Polski” nie wybacza się nawet za „Kocham”...

— Znów cię uraziłam? Nie chciałam, naprawdę... Niech mi będzie świadkiem Krzyż Południa. Czy w Polsce jest on też widoczny?

— Głuptasku, u nas świeci Gwiazda Polarna.

— Ach tak, zapomniałam, że mieszkasz na antypodach.

s

— Mylisz się, to ty mieszkasz na antypodach.

— Dobrze, niech będzie po twojemu, a teraz chodź, odprowadzisz mnie do koszar. Za dużo wypiałam, kręci mi się w głowie. Gotów mnie jeszcze jaki patrol zwinąć.

— Bądź spokojna, nie opuszczę cię w po trzebie. Szkoda, że to już — dodał cicho, al Lucy dosłyszała.

— Albo wiesz co? Pójdziemy do mnie, z baczę, czy rodzice już wrócili z farmy...

— Taki kawał. piechotą? Spóźnisz się pó niej do koszar...

— To zawołaj taksówkę... Podjechali pod samą bramę ponurej k, mienicy w wiktoriańskim stylu. Lucy kazał mu zaczekać.

— Wpadnę tylko na chwilę do mieszkania i zaraz wracam.

Aleksander pomyślał sobie, że to nie bar-

116

dzo dobrze być u wrót rajy i odejść z niczym. I głośno zaprotestował:

__Gdzie wasza australijska gościnność? Nie

zaprosisz mnie na drinka?

— Wiesz, boję się, co powiedzą na to rodzice.

__ Przecież mówiłaś, że są na weekendzie.

— No tak, ale mogli już wrócić.

__ Nie kłam. Nie prosisz mnie do siebie, bo

się po prostu obrzydliwie boisz... Roześmiała się nerwowo.

— Kogo? Ciebie?

— Nie, samej siebie.

Zaśmiała się jeszcze bardziej hałaśliwie, jakby tą sztuczną wesołością chciała pokryć zmieszanie, potem odpowiedziała:—Kocham ciebie, ty kochasz mnie, więc czego się bać, prawda?

Schody były kręte i strome, ale jakoś doszli. W mieszkaniu było pusto i cicho, tylko wielki ścienny zegar dawał znaki życia, raźnie wymachując wahadłem. Czuj duch! — najeżył się wewnętrznie Aleksander.

Zagłębiony w fotelu, delektował się kieliszkiem silver topu i wpatrywał uporczywie w Lucy, krzątającą się przy parzeniu ceremonialnej herbaty.

— Zrób mi lepiej kawę, nie znoszę tej podłej angielskiej lury.

Cholernie mało czasu — pomyślał. — Ale raz kozie śmierć. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, po czym jednym haustem dopił gin i wstał.

Lucy! — zawołał. — Zostaw to wszystko i chodź... do mnie.

Postawiła dzbanek i filiżanki na stoliku, zboczyła się z pewną obawą. W oczach jego dostrzegła coś, czego nie chciała dostrzec.

117

— Nie, nie, Al! Nie rób tego, proszę cię bardzo, słyszysz? — prosiła.

Ale rozjątrzyło go to jeszcze bardziej. Nie zwracał już uwagi na słowa, zrywał z niej ubranie, pełen niecierpliwości i żądy. Wypity alkohol dodawał mu odwagi. Była zupełnie bierna, tylko raz wyrwało jej się: „Uważaj, poobrywasz mi guziki!”, co Aleksander skwitował szyderczym śmiechem i drwiną: — Ach! Że też wy kobiety w takich chwilach nie zapominacie o drobiazgach...

— Gdybyś wiedział, jak nasza przełożona krzyczy, kiedy mamy jakiegokolwiek braki w umundurowaniu, to byś się pewnie nie śmiał...

— Dobrze, dobrze, potem ci je poprzyszysz-wam...

Kiedy żegnali się przed bramą koszar, zawisła mu całym ciężarem na szyi, a potem powiedziała, patrząc prosto w oczy:

— Al, najdroższy... Po tym, co zaszło między nami, kocham cię jeszcze bardziej. Musisz wrócić, słyszysz? Musisz! Będę czekała na ciebie, będę się za ciebie modlić, chociaż dawno już tego nie robiłam.

— Widzę, że nawrócę cię na łono Kościoła — zażartował ni w pięć, ni w dziewięć.

— Nie kpij! — ofuknęła go, a następnie dodała: — Wiesz co, sprawdźmy, czy nasza miłość jest naprawdę prawdziwa. Jeśli słuszne jest to, co piszą w księżkach, to potęga miłości powinna zwalczyć wszelkie przeciwieństwa lo-r su. Przrzeknij mi, że będziesz na siebie uważał.

— Przrzekam! — Aleksander był trochę poruszony powagą jej słów. — Co prawda wątpię, czy potęga miłości może uchronić mnie przed japońską torpedą, ale postaram się wró-

118

cić do ciebie. — Ze zdziwieniem zauważył, że łzy płyną jej po policzkach.

— Lu, maleństwo moje, dlaczego płaczesz?

— Bo cię kocham i... jestem pełna najgorszych przeczuc...

— No, uspokój się, nie płacz, bo to może mi przynieść pecha. — Zaczął całować ją po zapłakanej twarzy, smakując słone łzy.

- Jutro, jak będziecie wypływali, wejdę na dach komendantury i będę patrzeć na Botany Bay. Pomacham ci ręką na pożegnanie.
- Dobrze — mruknął, ale pomyślał sobie, że z tej odległości trudno będzie cokolwiek dojrzeć prócz zlewającego się tła domów ogromnego miasta.
- Będę codziennie wychodzić nad zatokę i wyglądać twego powrotu...
- Jak uważasz — rzekł już trochę zagniewany, bo wszystko to zaczęło wydawać mu się mocno melodramatyczne. Jego irytację pogłębiał fakt, że wartownik natrętnie gapił się na nich. Dlatego przemógł się i nie chcąc przedłużać sceny rozstania, pożegnał się i szybko odszedł. Skręcając w najbliższą przecnicę, obejrzał się. Lucy stała jeszcze przy bramie, a zauważywszy, że się zatrzymał, podniosła w górę rękę i wolno kiwała dłonią. I taką właśnie zapamiętał ją na ten rejs.

2. Łowy na stalowego rekina

Ocean był pusty. Lśnił w promieniach stojącego w zenicie słońca jak wielka lustrzana tafla. Nadchodziło lato i upały stawały się co-

119

raz dokuczliwsze. Znienacka tylko, jak wspomnienie minionej zimy, dopadały ich ulewy, po których robiło się w powietrzu jeszcze bardziej parno. Ten żar odbierał nie tylko siły, ale nie pozwalał nawet logicznie myśleć, paraliżował wolę, mącił w głowach. A przecież sytuacja wymagała stałej koncentracji uwagi — w głębinach czaił się groźny i przebiegły wróg. Zwyciężał nie zawsze ten, kto dysponował lepszą techniką, lecz ten, kto był bardziej wytrzymały fizycznie i psychicznie, odporny na trudy służby morskiej, kto miał wyższe morale. Wymagało to, oczywiście, od nich wielu wyrzeczeń i niemal poświęcenia. Nie wszyscy zresztą mogli temu podołać, dlatego wszelkie zadawnione spory wybuchały ze zdwojoną siłą. Wydawać się mogło, że tylko żelazne karby dyscypliny wojskowej utrzymują tę gromadę ludzi w jakim takim posłuchu. Ale byłby to mylny osąd, jako że nie był to „schiff”, lecz „ship”, i właśnie wola walki cementowała ludzi i pozwalała okiełznać własne namiętności.

Już drugi tydzień przeczesywali ocean, tropiąc japońskie okręty podwodne. Dziób „Cur-cumy” leniwie rozcinał galaretę wód, wytrwale zdążając ku swemu przeznaczeniu. Patrolowali rejon między archipelagami Santa Cruz, Ellice i Fidzi, i wszyscy hołubili w sobie ciche nadzieje na sukces, jako że tu znajdował się osławiony raj u-bootów spod bandery wschodzącego słońca i tu właśnie „Curcuma” powinna dorzucić co nieco do swoich trofeów. HMAS „Curcuma” była bowiem australijskim okrętem-pułapką.

Przed wojną jako poczciwy tramp wytrwale przemierzała szlaki „wikingów Pacyfiku” po

120

Te-Moana-Nui o Kiva z ładunkiem fosfatów czy rud niklu i chromu, dziś ładownie jej zapełnione zostały drewnem korkowym celem zwiększenia pływalności, a na pokładzie i nadbudówkach zamaskowano dwie

armaty trzy-calowe, dwa poczwórnie sprzężone działka czterdzieści milimetrów, które ktoś w przystępie czarnego humoru nazwał „pianinami z Chicago”, oraz trzy kaemy. W ten sposób ten raczej niewielki tramp stał się czymś w rodzaju okrętu patrolowego, ale projektant tej metamorfozy miał inne zamiary względem pocziwego handlusa. Dodatkowo ustawiono na nim dwa miotacze bomb głębinowych i wyposażono w przestarzały hydrolokator — dzięki temu mógł wykrywać i niszczyć w zanurzeniu okręty podwodne. Obarczając „Curcu-mę” tak odpowiedzialnym zadaniem, nie wzięto pod uwagę bądź po prostu zlekceważono tak poważny mankament jak zbyt mała prędkość, którą rozwijała. Mocno zdezelowany silnik spalinowy nie pozwalał jej dawać z siebie więcej niż dziewięć węzłów, a przy sprzyjającym wietrze z rufy i spokojnym oceanie nawet dziesięć — ale to było wszystko. Do tego jedna śruba poważnie ograniczała zdolności manewrowe statku. Z tych względów „Cur-cuma” nie mogła stać się chartem w Owych polowaniach, lecz przypominała starego, nieruchawego buldoga o mocnych szczękach, który, kiedy go ktoś niebacznie zaatakuje, gotów potargać tego napastnika. I to chyba zdecydowało o tym, że „Curcuma”, zamiast stać się niszczycielem okrętów podwodnych, była zwykłą mysią pułapką na nie, przy czym sama spełniała rolę przynęty. Zewnętrznie nic się nie zmieniła. To samo

121

stare pudło, z dużym, puszczakowatym kominem, niewiele jednak dymiącym, jako że co ropa, to nie węgiel. Cała zewnętrzna kosmetyka polegała na wymalowaniu wielkich plam kamuflażowych na burtach, na które naniesiono biały napis: INFIZ — PANAMA, co miało sugerować, że jest to panamski statek m/s „Inez” — niewinna mistyfikacja dla wprowadzenia w błąd skośnookich piratów. Spory repertuar tych nazw i bander miał w zapasie dowódca okrętu — w admiralicji opracowano je z mozołem niemal na każdy dzień rejsu.

Ten „pływający kameleon” dzielnie wykonywał swe niewdzięczne obowiązki przez okrągły już rok i miał na koncie jeden zatopiony okręt podwodny na pewno i jeden prawdopodobnie. Oczywiście po każdej udanej akcji „Curcuma” musiała iść na dłuższy remont stoczniowy ku z trudem ukrywanej radości swojej pięćdziesięciosobowej załogi, która mogła się teraz nurzać w rozkoszach, dostępnych na co dzień najmniejszym nawet szczyrom lądowym.

Najwięcej odczuwano oczywiście brak kobiet, których liczba tu, na lądzie, wprost oszałamiała. Lecz zgodnie z zasadą: bez kobiet źle, z kobietami jeszcze gorzej — wielu z nich szybko tęskniło za spokojem, który niesie obcowanie sam na sam z bezmiarem oceanu, i z niecierpliwością oczekiwało ponownego wyjścia na patrol. Bo człowiek to taka dziwna istota, co to zawsze chce lepiej, kiedy ma dobrze.

Teraz też żyło się wspomnieniami z Sydney. Niektórzy blagowali tak zawzięcie, że musiano wprowadzić na użytek ogólny specjalny

122

współczynnik pomniejszający, humbug, jak go uczenie nazwano — współczynnik prawdopodobieństwa przygody. Wyrażany w liczbach całkowitych był tym większy, im większym łgarzem był opowiadający i przez ten właśnie współczynnik dzielono każdą przygodę. Wypadały wtedy wcale znośnie, były „do

przyjęcia". Każdy jednak zachowywał dla siebie pewne wspomnienia, którymi niechętnie dzielił się z innymi, a do których sam wracał przy każdej sprzyjającej okazji.

Aleksander cały czas rozmyślał o swoim sukcesie. Przyjaźnił się z Lucy od dłuższego czasu, lecz mimo spędzania każdej wolnej chwili przy jej boku nie pozwalała mu na żadne poufałości, a tu masz — nagle skapitulowała. Czy to dobry, czy zły znak? — dumał nasz bohater. — I jaki był właściwie cel tej kapitulacji? Miłość? Może wyczuwa, że zginę, i chce mieć po mnie chociaż dziecko? A może po prostu przyjemność? W każdym razie dumny był z siebie, bo który mężczyzna nie jest dumny w takich wypadkach — o tej słabości płci brzydszej wiedzą wszystkie kobiety i gdyby tylko zechciały pisać, powstałaby wcale interesująca księga. Czyj to naprawdę sukces? Raczej Ewy niż Adama, ale Aleksander wierzył jeszcze, że jest odwrotnie. Zamyślony siedział na siodełku swojej trzycalówki i leniwie wodził wzrokiem po horyzoncie, ale nie widział nic. Oczy wprawdzie szeroko miał otwarte, lecz całkiem wypełniał je obraz Lucy. I tak w samotności przeżywał raz jeszcze pełnię swego szczęścia.

W rozpamiętywaniu te nagle wdarł się warkot samolotu. Natrętnie wwiercał się w uszy, wibrował i dudnił, aż Aleksander ocknął się

123

z odurzenia. Lucy zniknęła, zamiast niej ujrzał nadlatujący z północnego wschodu wodnosamolot. Przez szkła lornetki dojrzał wyraźnie czerwone koła na kadłubie. Nie było wątpliwości.

— ¡ Zielone czterdzieści japoński samolot! — krzyknął w kierunku pomostu, ale było to zbyt późne, bo już jęczały buczki alarmowe. — Alarm przeciwlotniczy!

Zatupotały buty po trapach i pokładzie. Dopadli do dziobowego stanowiska czterdziestek. Brown, zawzięcie obracając pokręteł, naprowadzał lufy w stronę nadlatującego japończyka, Aleksander szybko podawał współrzędne celu i po chwili rozbrzmiewała już istna kantata artyleryjska. Rozgorączkowanym okrzykiem ludzi wtórowała melodia armat. Słowa co prawda były niewybredne — zwykłe, choć kunsztownie spiętrzone przekleństwa, ale za to muzyka! Niczym toccaty i fugi ba-chowskie. Strzelały obie czterdziestki oraz prawy kaem.

Gdy pierwsze pióropusze wybuchających pocisków otoczyły maszynę, trudno było rozeznąć, czyje one są. Pilot nie spodziewał się widać tak gorącego powitania i spróbował wyrwać się z ogniowej pułapki. Wystrzelił świecę w górę, wywinął kilka beczek, a potem w gwałtownym immelmanie zszedł nad powierzchnię wody, niemal znikając na jej tle.

— To Jokosuka „Glen” — rozpoznał Aleksander.

— Dobre masz oko — pochwalił go Brown. — Ale tym razem chybiłeś. Za duża odległość, żeby tak dokładnie określić, co to za komar.

124

— Przekonasz się jeszcze, że mam rację. I powiem ci więcej: to wodnosamolot zwiadowczy japońskich

okrętów podwodnych typu

„1-8”.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Brown i zaraz z przerażeniem zawołał: — Ty! On nas chyba storpeduje! Leci prosto tutaj, nad falami... ledwo go widać...

— Podpuść trochę bliżej. Teraz! Ognia!

Czterdziestka, zachłystując się wściekłą palbą, odpędziła natrętnego moskita. Znow zawrócił i brzęcząc zawzięcie, piął się wytrwale w górę.

— Niech to diabli! Nie trafiliśmy! — denerwował się Aleksander, a potem, popatrzawszy na Browna, mruknął: — Tchórz cię obleciał, to i waliłeś na oślep, a właściwie to nie było czego. Gdybyś lepiej znał dane taktyczne „Glena”, to byś wiedział, że on torped nie zabiera, tylko dwie bomby...

— Wcale się nie spietrałem — tłumaczył się Brown — ale coś mi oczy łzawią. A poza tym jaka komenda, takie wykonanie — odciął się. — Trzeba było dać większą poprawkę na celowniku...

— Ech, przyganiał kocioł garnkowi... No, znowu leci, możesz się poprawić. Co za uparty sukinsyn!

Wodnosamolot szedł teraz na znacznej wysokości, widać miał zamiar zrzucić swoje bomby. Otworzyli ogień, udaremniając mu zejście do lotu nurkowego — wybuchy pocisków otoczyły maszynę szczelnie niczym kłębki waty i aż dziw brał, że pilot wymigiwał się od śmierci, w końcu zezłoszczony zwałił bomby byle jak i byle gdzie. Wytrysnęły wysokimi słupami wody daleko na trawersie prawej

125

burty, a on, nic nie wskórawszy, odleciał w kierunku północno-wschodnim.

— Hura! — rozwrzeszczeli się artylerzyści, radzi z odpędzenia natręta. Jego obecność w tym rejonie wróżyła, że coś się będzie wreszcie dziać.

— Musiał dostać! — przekonywał wszystkich Brown. — Bodaj odłamkiem, ale musiał. To niemożliwe, żeby go nawet nie drasnęło...

— Marna to dla nas pociecha — powiedział z żalem Aleksander. — Miejmy nadzieję, że nie wszystko, co się źle zaczęło, ma się źle skończyć. Jeszcze się odegramy — pokrzepiał dobrym słowem stojących wokół niego ludzi, którzy wyglądali jak gromada łapserdaków. Poubierani w najrozmaitsze ubrania cywilne, mieli prezentować się jako załoga pocziwego statku handlowego, a nie groźnego okrętu--pułapki.

— Szkoda, że nie było tu mojej Betsy — zaczął ni w pięć, ni w dziewięć Brown — ona mi zawsze przynosi szczęście...

— Ty frajerze — zakpił wysmukły jak tyka chmielowa blondynek, marynarz-ochotnik Shannon — twoja Betsy na taki widok miałaby ze strachu pełne majtki, a ty pełne ręce roboty. Oczywiście przy niej, nie

przy naszym „pianinie”...

— Nie masz racji — sprostował Aleksander. — Betsy to Meluzyna, w pojedynkę da radę pięciu Japończykom. Nasz przyjaciel Brown boi się jej bardziej niż japońskiej torpedy.

— Ja się boję? — Brown był nieszczerze zdziwiony. — Przecież sam, Aleks, widziałeś, jaki mam u niej posłuch. Myślałem, że jesteś

126

lepszym kumplem, a tu... takie podłe insynuacje — obraził się.

— Dobra, dobra, żartujemy, a ty zaraz z nerwami.

— Bo nie lubię. Wszyscy byście chcieli łączyć

mi po łbie, nawet taki prawiczek Shannon pomiata człowiekiem. Widzicie, Shannon, że jestem od was starszy stopniem, służbą i wiekiem. Co wolno matowi Kendelowi, to nie ochotnikowi Shannonowi — żołądkował się. — Ściągnijcie kopyta, jak do was mówię!

Aleksander odciągnął go na stronę.

— Nie wygłupiaj się! Najpierw uczysz chłopaka, aby się nie dał zjeść w kaszy, a teraz masz do niego pretensje. Lepiej skocz do ra-dzików, posłuchaj, co gadają. Tylko nie napatocz się na Hopkinsa, bo jeszcze nie było odboju alarmu. A on na ciebie cięty...

— Niech mi tylko wejdzie w drogę ten karaluch — szczechnął zuchwale Brown — rozdepczę!

Roześmieli się wszyscy. Hopkins, dowódca artylerii okrętowej, był tego samego wzrostu co Brown, lecz zawsze uważał się za wyższego. Boki można było zrywać, kiedy sobie obaj docinali. Co prawda lieutenant miał słabszy koncept niż podwładny, więc też docinki kończyły się tęgim opeerem postawionego na baczność Browna. Biedaczysko zaciskał zęby i łypał bezradnie oczami, ale nie mógł nic powiedzieć, gdy tymczasem Hopkins wykorzystywał przewagę, jaką mu zapewniał stopień wojskowy i stanowisko służbowe. Żalił się im potem na „tego kurdupla” Hopkinsa, wzbudzając tym jeszcze większy śmiech.

Powrócił szybciej niż odszedł, oczywiście z rewelacyjną wiadomością: — Chłopaki! Ra-

127

dzik mówił, że ten japończyk, którego przetrąciliśmy, nadawał jakieś sygnały radiowe, coś jakby nasz kurs. Długo szwargotali. Peanie kazali mu atakować, żeby wy badać naszą siłę ognia.

— A nie wierzyłeś, jak ci mówiłem, że to Jokosuka „Glen”, zwiadowczy z japońskiego sensuikanu. Zaraz pewnie będziemy mieć tego drania pod stępką.

— Szkoda, że strzelaliśmy do tego samolotu — włączył się Shannon. — Przecież płył niemy pod neutralną banderą...

^^H

- Strzelaliśmy zgodnie z instrukcją. ' | H
- Tak, ale teraz już wiedzą, że jesteście uzbrojeni, i będą się bali wynurzyć. A jak wystrzelą torpedy, to na dwoje babka wróci i żyła — krakał. — Nie pomoże nam nawet ten 1 panamski kamuflaż. A nasz hydrolokator znów | nic nie wykryje. Kiedyż nam go wymienią? §
- Podobno już przyszły całe partie nowych | asdiców, ale najpierw dostaną destroyery, korwety i fregaty, potem długo, długo nic i na końcu my — wyjaśnił wszechwiedzący | Brown. — Pewnie zamontują w czasie następnego dokowania, a teraz przestań robić jej w spodnie — zgromił Shannona.
- Nawet jak ją trafi nas torpeda, to i tak nie zatoniemy, | bo drewno korkowe nas utrzyma, już ty się * nie bój. Prawda, Aleks?
- Prawda, prawda. Tylko że nasi panikarze muszą wyjść z siebie, żeby ci na podwodniaku uwierzyli, że z nami źle, i wypłynęli nas dobić.
- A wtedy zobaczymy, kto komu przewróci kręgle — zawołał Brown. — Wydusimy te pluskwy!
- Nie mów hop — pohamował go Aleksan-

128

<jer. — Oni też ostatnio zmądrzeli, okręty-pułapki to cholernie przestarzały wynalazek.

- Ale wciąż jeszcze skuteczny — Brown był świeżo o tym przekonany.
 - Kto dożyje, ten zobaczy, kolego Brown — te wątpliwe słowa wypowiedział Duck, znany załozce jako zawodowy stary kawaler. Przy swoich pięćdziesięciu pięciu latach trzymał się jeszcze krzepko i wyglądał na czterdzieści pięć. W cywilu był ponoć kucharzem. — Ale ja na miejscu szefa zaatakowałbym bombami głębinowymi, po co czekać biernie na cios torpedą, lepiej samemu być psem niż zajęcem...
- Brown, uważający siebie za lepszego stratega niż Duck, spojrzawszy nań z pogardą i z taką samą pogardą ocenił poglądy taktyczne byłego kucharza: — Co wy możecie wiedzieć o tych sprawach, kolego Duck, wy, którzyście całe życie wiosłowali tychą po zupie? — zakończył złośliwie, jako że nie był dziś w humorze.
- Jacy wy jesteście ordynarni, Brown — w głosie Ducka skupił się cały niesmak, jaki nagromadził w sobie od lat eks-kucharz, warząc i smakując potrawy dla innych. — W waszym małym ciałku skupiła się widać wszystka złość naszego parszywego świata...
 - Co? — śmiesznie nastroszył się Brown. — Taki z ciebie kaznodzieja, staruszkule? Ale nic dziwnego, twoją specjalnością w cywilu był z pewnością peklowany ozór i mózdzek z jajami, dlatego jesteś taki wyszczekany i przemądrzały...
 - Cha, cha, cha! — zaśmiał się hałaśliwie Duck. — A wiesz, że z przyjemnością wyparzyłbym ci ten jęzor i zapeklował, a i doł-
 - Synowie marnotrawni

żył nieco kurzego mózdzku do twojej pustej mózgowicy. Kto wie, czy po takim zabiegu nie zostałbyś australijskim... Napoleonem. — I ze zwycięską miną odwrócił się do Browna plecami. Ten zaskoczony chrząknął tylko, przełknął ślinę i... całkiem go zatkało. Rżeli ze śmiechu. Pierwszy raz widzieli coś takiego — Brown nie potrafił wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Starzejesz się, chłopcze — pomyślał z rozbawieniem Aleksander.

Wreszcie bucuki ogłosiły odbój alarmu i w ten sposób przerwały chwilę hańby starszego marynarza Browna. Na stanowisku pozostał tylko jak wyrzut sumienia wachtowy marynarz Shannon. Patrzył za odchodzącymi z żalnością, zbliżała się bowiem chwila najprzyjemniejsza z najprzyjemniejszych na okręcie: fasowanie rumu i obiad. I wszystko to bez niego.

Przy drzwiach spiżarki, gdzie przechowywana była beczka z codzienną racją rumu, stała już grupka zaaferyowanych marynarzy, ktoś bowiem rozpuścił pogłoskę, że ze względu na upały dowódca zakazał wydawania grogu, co poważnie zaniepokoiło kilkunastu okrętowych ochlapusów. Słychać było narzekania, że w ten sposób ogranicza się swobody obywatelskie, narusza konstytucję i „King's - Regulation”, i różne takie brednie, wypowiedane półzartem. Niektórzy zgryźliwie twierdzili, że byłoby to wielkie draństwo, bo nawet Biblia nakazuje spragnionego napoić, a poza tym lżej się umiera po pijanemu, a i o czyn bohaterski dużo łatwiej. Ale sygnał „Serve out spirits”, wyniesienie beczki na pokład i pojawienie się oficera, podoficera prowiantowego z pomocnikiem i dyżurnego

marynarza — osób, które codziennie odprawiały to bachusowe nabożeństwo — uspokoiły najbardziej rozpalone głowy. Przed rozpoczęciem ceremonii pękaty, krwistoczerwony podoficer prowiantowy, bosman Peters, palnął krótką mówkę: — Chłopcy! Dowódca prosi tych, co mają słabe głowy, aby teraz, w czasie upałów, nie pili od razu całej racji, lecz rozdzielili ją i ciągnęli po trochu.

— Rozumie się — zamruczeli uspokojeni.

Pomocnik Petersa, chudy i żyłasty mat, sprawnie rozdzielał napitek. O macie tym opowiadano, że na palcach jednej ręki mógł zliczyć te dni żywota, w czasie których był trzeźwy. Podobno nie jadł nic, tylko pił. Ciekawe, że na okręcie oprócz funkcji prowiantowego nieetatowo spełniał jeszcze rolę siostry miłosierdzia, czyli sanitariusza — chyba tylko dlatego, że zawiadywał tak uniwersalnym lekiem na wszelkie dolegliwości, jakim był rum.

Chyżo mknęło się do pomieszczeń, aby tu — już bez skrępowania obecnością innych, w swoim gronie — goniąc szklaneczkę pod wwiercający się natrętnie w nozdrza smakowity zapach obiadu.

Tym razem nie dane było go dokończyć. Kiedy zajęli się krwistym befsztykiem, specjalnością okrętowego koka, i wokół słychać było sapanie i szczęk pracujących zapamiętałe zębów, nastąpiło to, czego od dawna się obawiano: głuchy huk i potężny wstrząs, szum wdzierającej się wody, jakieś mrozące krew w żyłach

wrzaski i natrętnie wwiercająca się w oszalały ze strachu mózg świadomość, że oto za chwilę człowiek zginie w sześciu ciasnego pomieszczenia okrętowego, odcięty na

131

zawsze od powietrza i słońca. Jakby dla spotęgowania grozy zgasło światło. W ciemnościach, przy brzęku strącanych naczyń, w łoskocie walących się stołów i ław miotali się i po omacku cisnęli do trapów wyjściowych. Ktoś wył jak potępieniec, inny klął soczycie, jeszcze inny próbował sprawnie pokierować ewakuacją, ale niełatwo było opanować panikę.

Wypadali na zalany słońcem pokład, oszołomieni, pokrwawieni i kulejący. I tu dopiero trzeźwieli.

Torpeda przyszła z prawej burty, trafiła w grodzie między maszynownią i ładownią rufową. „Curcuma” doznała z miejsca przechyłu, który na szczęście nie zwiększał się — drewno korkowe zapewniało dostateczną pływalność. Groźny był tylko pożar w maszynowni — wybuch paliwa mógł bowiem być sojusznikiem Japończyków i dokonać tego, czego nie zdołali oni. Z luku maszynowego wydostawali się na wpół uwędzeni ludzie, wielkimi haustami łykali pozbawione czadu powietrze i znów znikali pod pokładem. Zastępca dowódcy lieute-nant Durban posłał im na pomoc sekcję pożarową z grupy awaryjnej rufa.

Wydawało się, że chaos spowodowany trafieniem trwa z godzinę, a minęły dopiero trzy minuty. Zabrzmiał sygnał alarmu bojowego i tupot biegnących na stanowiska ludzi zwiastował, że HMAS „Curcuma” przystąpiła do wykonywania swojej właściwej roli — pływającej pułapki. Rozpoczął się akt pierwszy swoistej wojennej komedii czy też tragedii, bo to na jedno wychodziło. Pierwszoplanową rolę odegrać miała grupa ludzi określana kryptonimem „załoga A”, lepiej znana pod mianem

132

„grupy panikarzy” — „panic party”. Widzem miał być nie byle kto, bo sam japoński okręt podwodny. Musieli swoją rolę zagrać tak, aby Japończycy byli święcie przekonani, że statek ledwie trzyma się na wodzie, a oszalała ze strachu załoga w pośpiechu go opuszcza. Dobre odegranie aktu pierwszego gwarantowało wynurzenie się po pewnym czasie „żółtego sub-marina” celem dobicia tonącego handlusa i postrzelania sobie do rozbitków. „Rozrywka” ta, praktykowana w ramach walki z nudą i monotonią podwodnego pływania, była wynalazkiem hitlerowskich podwodników, chętnie widziano ją jednak i w cesarskiej marynarce, oczywiście tylko wtedy, kiedy ta była górą. Ale w tym tkwiło ryzyko. Na wynurzenie oczekiwała bowiem grupa ludzi, zwana „załogą B”. Obsadzała ona artylerię okrętową i w drugim akcie tej tragifarsy rozgrywała całą akcję, z reguły niszcząc łatwowierny i nieostrożny okręt podwodny. Załoga „Curcuma” odegrała tę sztukę z powodzeniem już dwa razy. Czy uda się po raz trzeci? — zastanawiali się wszyscy, od dowódcy okrętu po pomocnika kucharza. Jako że do trzech razy sztuka!

Na razie produkowała się „panic party”. Około piętnastu ludzi biegało po pokładzie w wielkim zamieszaniu, część z nich wspinała się nawet na maszty, co było lekką przesadą, kilku spuszczało z pokładu szalupę ratunkową, podciągając ją, to znów opuszczając i jeszcze raz podnosząc, jakby nie mogąc się zdecydować, czy można powierzyć życie tak kruchej łupinie. Wreszcie zwodowali ją i po

sztormtrapie jęli się do niej gramolić. Robili to bardzo ślamazarnie i niezdarnie, ale... ja-

133

pończyk nie wypływał. Ktoś uruchomił syrenę. Buczała żałośnie, przesyłając światu ostatnie pożegnanie od tonącego statku.

Artylerzyści przy działach zastygli w oczekiwaniu, choć chętnie wyskoczyliby ze skóry, pożar stawał się coraz bardziej groźny i coraz więcej ludzi trzeba było skierować do jego gaszenia. Lecz jak to zrobić właśnie teraz, kiedy japończyk mógł się lada moment wynurzyć? A ten jak na złość nie wypływał. — Co się stało draniowi? — denerwowali się wszyscy. — Czyżby coś wyniuchali?

W szalupie ujęto wreszcie wiosła w garść — ruszyła naprzód, dumnie przedefilowała wzdłuż burty, pokręciła się trochę przed dziobem, po czym przeszła na stronę zawietrzną. Wyglądało to wszystko zupełnie normalnie, tym bardziej że buchający z maszynowni dym skutecznie maskował pozostałych na okręcie, nic więc nie powinno budzić obaw japońskiego dowódcy.

Aleksander, Brown, Duck, Shannon i mrukliwy Money (o którym Brown złośliwie twierdził, że może nic nie mówić, bo samo nazwisko mówi za niego) tkwili przy pierwszej trzyca-lówce. Robili to zawsze w czasie polowania na podwodnych piratów, bo w normalnym alarmie bojowym obsadzali dziobową czterdziestkę. Teraz, przyczajeni przy swojej „grubej Bercie”, jak ją nazwał Brown, niecierpliwie wyglądali pojawienia się okrętu-widma. W pysku „Berty” spoczywał już pocisk burzący, pozostałych dziewiętnaście wyglądało z otwartych parków amunicyjnych. Wysoka fałszbur-ta chroniła działo przed przedwczesnym zdemaskowaniem.

Upał już nieco zelżał, zachmurzyło się,

134

a wiejąca świeża morka zaczęła przeganiać dym z pokładu. Stał się teraz nisko nad falami, do reszty zaciemniając pole widzenia. „Curcuma” powoli dryfowała, ustawiając się coraz bardziej dziobem do miejsca, w którym spodziewano się ujrzeć japończyka.

— Fajnie — cieszył się Brown — w razie czego my pierwsi weźmiemy go na muchę.

— Cicho tam! — warknął zdenerwowany Aleksander. — Wytrzeszczać dobrze ślepie, może coś zobaczycie. Oddam swoją kolejkę rumu temu, kto najpierw dojrzy.

— Mało!

— To podwójną...

— Coś mi się widzi, jakby wiatr się wzmagał — zauważył Duck. — Ta duchota wróży coś niedobrego. Pewno huragan, a wtedy z nami... koniec. Nie utrzymamy się na wodzie i zeżrą nas rekiny na kolację.

— Przestań krakać! — Aleksander, jako dowódca stanowiska, czuwać musiał nad nastrojami podwładnych. — Za wcześnie jeszcze na podzwonne. Lepiej uważaj, żeby ci japy nie rozwalili łba

pociskami. A o huragan się nie martw. Co ma wisieć, nie utonie!

— Ładnie mi wróżysz na stare lata — zamruczał Duck.

Czekali dalej. Polowanie na człowieka ma wiele wspólnego z łowami na grubego zwierza, a od myśliwego poza odwagą i dobrym okiem wymaga przede wszystkim cierpliwości. Szalupa z „rozbitkami” kręciła się wkoło okrętu, nie mogąc się zdecydować na odejście. A że falowanie stawało się coraz silniejsze, znosiło ją wciąż dalej i dalej w bezmiar oceanu.

Minął już dobry kwadrans, kiedy przydrep-

135

tał do nich śmiesznie pochylony lieutenant Hopkins.

— No co, chłopcy, życie jeszcze?

— Melduję posłusznie — odpowiedział za wszystkich Brown — że nie było rozkazu umierać...

— Brown jak zwykle ma dobry humor — zameldował Aleksander nieco speszonemu Hopkinsowi.

— Właśnie słyszę jego głos, bo osobę trudno dojrzeć — odciął się oficer.

Brown nie lubił pozostawać dłużnym, więc zaraz odparował:

— Czemu kulił się pan, idąc do nas, panie lieutenantcie? Sądził pan, że japy coś dojrzą? Zupełnie niepotrzebnie, fałszburta ma pięć stóp wysokości i może pan wyprostować się na całą długość, a jeszcze dobrych parę cali zostanie w rezerwie...

Hopkins spiorunował go wzrokiem i już otwierał usta, aby zdruzgotać niesfornego podwładnego, kiedy furie puściły jego włosy. Machnął tylko ręką, jakby opędzał się od natrętnego moskita.

— A niech cię tam, Brown — mruknął zrezygowany. — Dobrze, że macie humor. Jak pójdziemy na dno, zostaniecie nadwornym komikiem Neptuna. — I poważnie już dodał: — Uważać, chłopcy! Dobrze celować i nie strzelać — tu pogroził palcem Aleksandrowi — bez mego rozkazu, pamiętaj!

Obrócił się na pięcie, przez chwilę jakby wahał się, czy pójść za radą Browna, czy nie, w końcu schylił się jednak i szeroko rozstawiając nogi, aby przewyciężyć przechył, pomaszerował na śródokręcie. Trącili się łokciami: jak zawsze niepoprawny.

i

136

I

Brown triumfował: — Słyszeliście, jak mu przysrałem? Całkiem stracił koncept. Zupełnie zbaraniał. Moje górą!

— Zobaczmy, czy przy japach też będziesz taki zuch! — powiedział Aleksander, zaś Duck dodał złośliwie: — Ot, kłopoty ludzi małych...

— Co ci się nie podoba? — najeżył się „mały człowiek”.

— Patrzcie, przestało dymić — zauważył Shannon, rozładowując w ten sposób nadciągającą burzę w szklance wody.

Widocznie maszyniści uporali się już z pożarem, bo dymienie było znacznie mniejsze i zaraz wszyscy poczuli się różnie. Ugaszenie pożaru stwarzało szansę na pomyślne zakończenie całej awantury.

Znienacka zaczęło padać i po chwili cały świat utonął w strugach deszczu, a właściwie ulewy, która falami nachodziła na „Curcumę”. Chłodziła rozpalone żarem głowy i nadbudówki, ale powstała ściana wodna, skutecznie oddzielająca od siebie obu przeciwników. Parskali i prychali w strugach wody, źli już na upartego i nieufnego japończyka.

— Dlaczego nie wypływa? Przecież to nie fair play wobec nas.

I właśnie w takiej przerwie między dwoma falami ulewy ujrzeli na wodzie cielsko wynurzającego się potwora...

— Jest! — Brown wypowiedział to słowo zdławionym szeptem.

— Tylko spokój! Jaka odległość?

— Na oko z piętnaście kabli.

— Dobra. Poczekamy, jak się całkiem wynurzy. Żeby tylko ten cholerny deszcz nie spięrzył nam całej roboty...

Faktycznie, po chwili nowa fala ulewy za-

137

ciemniła horyzont. Kiedy przeszła, ujrzeli znów stalowego rekina. Całkowicie wynurzony, mocno dymiąc z rur wydechowych, szybko zbliżał się do swojej ofiary. Jego szaro-oliwkowy, potężny kadłub zlewał się prawie z tłem morza. Był to duży okręt podwodny typu „1-8”. Zgrabnie wykonał zwrot, prezentując się w całej bojowej krasie. Stoczerdzie-stomilimetrowe działo, obsadzone przez drobne postacie w granatowych kombinezonach, groźnie szczyrzyło się na „Curcumę”. Na kiosku, ozdobionym białymi hieroglifami, widoczne było — również wycelowane w nich — działko przeciwlotnicze.

— No, to cześć, chłopaki, będziemy mieli ładną przeprawę — Brown zaczął się żegnać przed walką. — Nie miejcie do mnie żalu, jeśli komu załazłem za skórę, ale taki mam charakter...

Przerwali mu: — Dobra, dobra, nie pieprz tyle. Na spowiedź się zebrało karaluchowi... Idź, Hopkinsa proś o przebaczenie. Pójdiesz do piekła, jak nie ustrzelisz tego japa, nie znasz najnowszych rozkazów

świętego Piotra?

- Skurwysyny! Nie bluźnijcie w godzinę śmierci...
- Ty ośle kwadratowy, eunuchu trzebiony tępym nożem, to nie wiesz, że i w niebie jest mobilizacja przeciw „Osi”? Jeśli umrzesz jak tchórz, to twoją duszę wyrokiem polowego sądu niebieskiego rozwałą pod jaką chmurką...
- Niech was cholera zdusi, aleście wymyślili... Moja szkoła!

Aleksander nie słuchał ich bezmyślnej gadaniny, podszytej strachem. Nałożył słuchawki. Niepokój, drążący go dotychczas, przycichł. Odczuwał niemal zadowolenie, że „to” już na-

138

deszło. Za parę minut wszystko się rozstrzygnie. Za parę minut będzie żył lub też znajdzie kres swej drogi. Myślami pobiegł do Lucy, potem wspomniął rodzinną Gdynię, matkę i... Polskę. Wraz z nim to wszystko przestanie istnieć, odejdzie razem z nim na wyspę umarłych. Drgnął, bo w słuchawkach zachrypiało i głos Hopkinsa podał dane do wstrzeliwania. Wziął się w garść. Co będzie, to będzie — pomyślał — ale łatwo nas nie dostaną! Ostatni rzut oka na podwładnych i błyskawiczna analiza ich czynności. Brown — zamkowy, ten nie nawali; Shannon — ładowniczy, niezły duet; Duck i Money — wręczyciele, jeden odbiera pociski z podajnika, drugi donosi Shan-nonowi, nie powinni zawieść; zaś okular celownika czeka na niego. A tak! On będzie rozgrywał całą partię. Półgłosem, jakby bojąc się spłoszyć przeciwnika, zaczął wydawać komendy...

— No, wszystko powinno grać — powiedział na koniec. — Tylko pamiętać: ruszać mi się jak w ukropie, od naszej szybkostrzelności zależy nasze życie!

— Damy radę — ożywił się Brown. — Tylko ty, Aleks, nie nawal...

Shannon zwolnił trzymacze fałszburty. Teraz nastąpiło to najgorsze. Choć zdawało się, że trwało wieki niemal, rozstrzygnęło się w kilku minutach.

Rozpoczęli Japończycy. Nim padła komenda do otwarcia ognia, działko na kiosku zajaz-gotało. Japończyk strzelał w szalupę z „rozbitkami”.

— A to skurwysyn! — zaklął Brown. Chociaż spodziewali się tego, jednak tak jawne naruszenie prawa międzynarodowego

139

wstrząsnęło nimi. Aleksander, oburzony do głębi duszy, nie czekał rozkazu Hopkinsa, tylko skinął na Shannona i ten z hukiem obalił fałszburte. — Ognia! — ryknął nieswoim głosem. Pierwszy był za długi. Przeleciał nad kioskiem i wytrysnął w górę słupem wody. Prawie w tej samej chwili huknęła stoczerdzie-stka. Gruchnęło w burtę na wysokości ich stanowiska. Zatrzęsło tak silnie, że omal się nie powywracali.

— Do cholery! — trzeszczało w słuchawkach Hopkinsowym głosem. — Kto pozwolił strzelać?

— Jeden zero dla japa — ¡ wymamrotał Aleksander.

Teraz piekło zaczęło się na dobre — strzelała już cała artyleria „Curcummy”. Aleksander zdał słuchawki i przywarł do celownika. Wiedział, że rozpoczynał pojedynek na śmierć i życie z celowniczym japońskim. Kto szybciej wprowadzi poprawkę, kto szybciej odpali, ten wygra...

— Pal! — wrzasnął.

Dulnęło i lufa cofnęła się, wypluwszy swój śmiercionośny ładunek. W celu! Trafili w hangar wodnosamolotu.

— Jeden jeden — szepnął Aleksander i ze zgrozą pomyślał, że jeśli teraz Japończyk trafi, to skończą się wszystkie troski.

— Szybciej, dranie! — ryknął na swoich. — Ładuj!

Lecz Japończyk zgórował. Jego pocisk uderzył w kolumnę masztu, ogłuszył ich i obsypał odłamkami. Ktoś przeraźliwie krzyknął, ale Aleksander nie miał nawet czasu spojrzeć kto. Ważne było, że on żył i mógł wprowa-

140

dzić następną poprawkę. Machinalnie zarejestrował w świadomości okrzyk Ducka: — Trafili mnie! — i zdławione Shannona: — O rany! Money! — Zawzięcie manipulując pokrętle, obniżał elewację. — Dobra, no to za... Polskę! — Czuł już całym sobą, że wygrał ten pojedynek i chciało mu się śpiewać z radości.

— Pal!

— Robi się! — wrzasnął Brown. On też chyba czuł, że wygrali.

Grzmotnęło, głucho szcęknięła oporopowrót-nik i pocisk poszedł. Kiedy rozwiął się obłok wybuchu, ujrzeli rozbite działo i leżących wokół niego ludzi.

— Hura! — wrzasnęli z uciechy. Przechytrzyli śmierć!

— Dwa dwa — szepnął Aleksander. — No, śmierć nie była mi sądzona. A ty przegrałeś, chłopie — pomyślał o japońskim celowniczym. Poszli teraz na całego — czwartym i piątym zapalili hangar, szósty poszedł już gdzie indziej, bo... szybkostrzelne działo przeniosło teraz cały swój ogień na nich. Pociski rykoszetowały, napełniając powietrze jęklwym stękanie, ich gwizdy przypominały wycie potępieńców (powszechnie mniema się, że tak właśnie powinni oni wyć). Otrzęśli się z zaskoczenia i przeszli na ogień ciągły, waląc zawzięcie po kiosku, aż działo całkiem zamilkło. Czy z przyczyny ich właśnie pocisku? Trudno powiedzieć, bo w ten kiosk tłukły już wszystkie działa i kaemy „Curcummy”. Zaraz też zadymiło potężnie, więc japończyk dał za wygraną i... zawrócił.

— Huraaa! Ucieka żółty sukinsyn...

Na pożegnanie Hopkins posłał mu kilkanaście pocisków, uzyskując dwa czy trzy trafienia miło!

141

w kadłub. Jap zwiewał,

aż się... dy-

— No, niech się zapali wodór, to nie chciałbym być w ich skórze — paplał Brown. — A w ogóle to nieźle daliśmy im w dupę, co? Nie zechcą już wojować...

Uniesienie bitewne mijają i Aleksander, przytomniejąc, rozejrzył się po stanowisku. Duck, błąd jakiś, przykucnął na parku amunicyjnym.

— Co ci?

— Drasnęło mnie w ramię — wyszeptał zbielejącymi wargami. — A Money...

— Shannon, zaprowadź go na opatrunek!

— Nic mi nie będzie, do wesela się zgoi.

— Nie marudź, to rozkaz — Aleksander był rzeczowy. Podeszedł ostrożnie do leżącego Money[^]. Odłamkiem rozbiło mu czaszkę, spod hełmu sączyła się krwawoszara masa.

— Do diabła! Jemu już nic nie pomoże. W milczeniu ściągnęli hełmy z głów.

— Biedaczysko! — użalił się nad nim Brown. — To on tak krzyknął! Co za ironia losu! Zawsze za życia milczał, a przemówił w godzinie śmierci. Dobrze, że wyspaliśmy tym draniom za niego.

— Nigdy nie wiadomo, co komu sądzone — westchnął Aleksander. — Ale że też nie macnęło nikogo więcej...

Zaskrzeczało w słuchawkach, zamilkł więc i słuchał.

— Hopkins przekazuje od starego gratulacje za strzelanie.

— To ten kurdupel jeszcze żyje? — zdziwił się nieszczerze Brown.

— Wadzi ci, co?

— Mam swoje powody. To gównno było... —•

142

ale nic więcej nie zdążył dodać. Pokład stanął dęba w huku potężnej detonacji.

Zapomnieli o przeciwniku i to ich zgubiło — „stalowy rekin” ukąsił boleśnie torpedami z rufowych wyrzutni i... „Curcuma” dosłownie rozpadła się.

Nawet nie bardzo wiedzieli, jak znaleźli się w wodzie. Wokół przewalały się tonące szczątki okrętu, który dotąd był im domem.

Aleksander rozpaczliwymi ruchami ramion i wściekłymi kopnięciami nóg starał się jak najdalej odplłynąć od potępieńczego wiru, który zdawał się łączyć powierzchnię oceanu z jego dnem — wyglądało to tak, jakby Neptun wabił tonących żeglarzy do siebie na dalszą służbę.

— Raz...ej raz... — stękał, zagarniając potężnymi ruchami wodę. Za nim sunął Brown i kilku innych.

— Co... to... było? Co... to... było? — bełkotał, zachłystując się, Brown.

Aleksander zwolnił nieco. W głowie tłukło się natrętnie: a jednak śmierć nie chce nas wypuścić spod kosa...

Przemagając strach, wydyszał:

— Torpedy. Dwie lub trzy...

— Co teraz?

— Ocaleni! Jesteśmy ocaleni! Patrzcie, patrzcie! — wydierał się ktoś obok. — Shan-non!

To, co wskazywał, przerastało najśmielsze oczekiwania. Na wodzie unosiły się... szalupy ratunkowe. Nie chciały iść na dno wraz z „Curcumą” i teraz miały przynieść swoim ocalenie.

Ciężko wygramolili się na pierwszą — Aleksander, Brown, a potem Shannon. Brown, wy-

143

prychawszy się z wody, przeprowadził z miejsca rozpoznanie.

— O rany! — zawołał ucieszony. — Jest żelazna racja żarcia i wody na tydzień!

* Aleksander i Shannon pochwycili wiosła i nacisnęli mocno. Zbliżali się do grupki topielców, zawzięcie taplających wodę.

— Nie wszyscy razem, nie wszyscy! — pokrzykiwał Brown, kiedy kilkanaście rąk chwyciło jednocześnie za skraj burty. — Wywalą nas, skurwiele...

Niektórzy legli zaraz na dnie szalupy, ciężko dysząc, otwarłszy szeroko usta — wymoczone ludzkie ryby; kilku zachowywało się jak w szoku, miotając się i wykrzykując coś bez sensu. Ci, co już doszli do siebie,

porwali za wiosła.

Łowili tak bez końca — rybacy Piotrowi. Nikt już nie patrzył za japończykiem. Kiedy Aleksander przypomniał sobie o nim, dojrzał tylko nikłą smugę dymu na horyzoncie.

Połów trwał nadal. Doszli jakiegoś faceta, który kurczowo trzymał się drewnianej kraty z podłogi w umywalni. Na kracie zaś, omal jej nie zatapiając, spoczywała pokaźna blaszana bańka, z wyglądu pełna.

- To Bell! — rozpoznał go Shannon. — Sanitariusz i prowiantowy.
- Mamy lekarstwo — ucieszył się Brown. — Czuję, że w bańce jest rum!
- No, to bierzmy, ale samą bańkę. Lekarza lepiej splawić, za bardzo zawzięty na ten cenny płyn.
- Ale, spróbuj oderwać go od bańki! Przyszał się do niej jak pijawka. Trudno! Musimy wyciągnąć i tę „rybkę”...

Nie oni jedni wpadli na taki pomysł — po

144

- Ech, ty mądralo — sapnął Hopkins i aby sobie ulżyć, pokrzykiwał na wioślarzy:
- Ej raaaz... Eeej raz...

Nastrój był bardzo podły. Śmierć okrętu i części jego załogi spadła na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Zawsze liczyli się z tym, ale żeby wszystko skończyło się tak nagle... W tę żalostną, pełną rozpamiętywań ciszę wdarło się jakieś stłumione pokrzykiwanie. Zaczęli nasłuchiwać.

- O, tam! Człowiek! Zielone dziesięć... Prędeż, bo utonie!
- Cisza! — wrzasnął Hopkins. — Obie naprzód!

W odległości około kabla od nich, bezwładnie unoszony przez fale, przewalał się człowiek. I wtedy wszyscy przypomnieli sobie o szalupie, zatopionej przez japońskiego kae-mistę.

- To „panikarz” — zauważył jak zwykle bystry Brown. — Chyba... żyje?

Zmaltretowany marynarz trzymał się kurczowo beczutki z wodą, wczepiony wzrokiem w zbliżające się ocalenie.

- Ale przytomniak! — dziwili się. — Jakby wiedział, że woda nam się przyda...
- Przecież to Gregory! — wykrzyknął Aleksander. Znał tego typu z drużyny bosmańskiej — miał on chyba najdłuższy nos na okręcie. Rozbitek kurczowo chwycił się rzutki.
- Trzymaj beczkę, bo ucieknie. Drugą ręką, drugą! — wydzielali się.

Ale jemu było to najzupełniej obojętne, chyba żadna siła nie oderwałaby go od zbawczej rzutki.

Ociekającego wodą wciągnęli do szalupy, następnie wyłowili beczułkę.

146

! — Ot, ironia losu — śmiał się Shannon. — Rozbitkowie ratują rozbitka.

Tymczasem ten ostatni dyszał ciężko, potem zaczął bełkotać coś bez ładu i składu.

— Bel, daj mu rumu! — rozkazał Hopkins. Gregory wychylił czarkę jednym tchem, nawet się nie skrzywił.

— On specjalnie tak papłał, bo swoim pijackim nochalem wyczuł rum — przygadał mu Brown, ale kazano mu być cicho, żeby Gregory mógł mówić. Łypiąc oczami, zaczął chrząkać, mrużyć, jękać się. Dopiero druga czarka przywróciła mu władzę w języku. Niewiele im zresztą powiedział. Kiedy Japończycy zaczęli strzelać, a powietrze wypełniło się świstem pocisków i krzykiem zabijanych, padł plackiem na dno łodzi, pochwyił beczkę w objęcia i tak pozostał. Czuł, jak padają na niego zabici i ranni, był zlanym krwią, ale nawet nie draśnięty. Tonąca szalupa pociągnęła go za sobą, ale wypłynął i — ciągle trzymając się beczki — pozostał na wodzie. Czy jeszcze ktoś ocalał, nie wie, ale zdaje mu się, że nikt. Zresztą więcej uwagi poświęcił obserwacjom, czy gdzieś nie widać rekinów. — Strasznie się bałem — oświadczył — ale fajnie wgrzaliście temu japowi. Tylko za wielki drań, żeby pójść na dno od naszych trzycalówek. Ale wypali się pewno do cna... Kiedy i wy zaczęliście tonąć, całkiem straciłem nadzieję, że przeżyję. Ale Bóg łaskaw...

— Lepiej nam podziękuj, Bogu jeszcze będziesz miał czas dziękować, jak kitę odwalisz.

— O ile nie pójdzie do piekła...

— Ciekawe — przygadał im Hopkins — okręt zatonął, zginęło tylu ludzi, a wam wesoło...

147

Za wszystkich odpowiedział oczywiście Brown: — Cieszymy się, że żyjemy, panie lieutenantie...

Podeszły do nich pozostałe dwie szalupy. Berwick wykrzykiwał przez tubę:

— Trzymamy się wszyscy razem! Tędy płynie Prąd Pasatowy Południowy w kierunku SW, powinien nas znieść na Nowe Hebrydy. Za kilka dni może do nich dotrzemy. Teraz spróbujmy ustalić straty, bodaj w przybliżeniu... Spisywać nazwiska i podać do mnie... Wywiesić bandery... Racjonować żywność i wodę... To wszystko! Good luck!

Sformowali szyk torowy — Berwick, Dur-ban i Hopkins — miniaturowa flota, ruszająca na podbój oceanu.

— Znów się bawimy w wojsko, co, panie lieutenantie? — spytał Brown.

— Przecież nie przestaliście być żołnierzem!

— Ciekawe, czy topić się będziemy na baczność i w dwuszeregu? — mruczał niezadowolony.

Ocalałem — pomyślał Aleksander. — Widocznie śmierć nie była mi jeszcze przeznaczona. A może to tylko szczęśliwy przypadek?

„Stalowy rekin”, mocno dymiąc, znikł za horyzontem.

3. Robinsonowie XX wieku

Wokół nich roztaczał się bezmiar oceanu. Do najbliższej grupy wysp — Nowych Hebrydów — było około 150 mil morskich, szansa

148

na przetrwanie więc, stosunkowo niewielka, ale istniała. Wszyscy pragnęli żyć, a ponieważ ocalili z najgorszego, wydawało się, że ich przyszłość ułoży się pomyślnie. Ocean nie wydawał się już groźnym wrogiem, ale szerokim gościńcem, po którym mieli dotrzeć do ocalenia. Byle tylko pogoda dopisała, byle nie zahaczył ich swym skrzydłem huragan. To bowiem oznaczałoby już tylko jedno: zagładę. Na razie przestwór Pacyfiku, szarzejący nadciągającą nocą, wzbudzał zaufanie. Falowanie utrzymywało się w granicach 3—4°B przy prawie bezwietrznej pogodzie. Szalupa unosiła się łagodnie w górę, po czym nie mniej łagodnie opadała w dół, znów wznosiła się i znowu opadała. Ranni czuli się przy tej chwiejbie słabo, a i zdrowi nie bardzo. Na rozkaz Hopkinsa postawiono żagle, wiatr wypełnił je ledwo dostrzegalnie. Otuchy dodawała im obecność dwu pozostałych szalup, utrzymujących się w zasięgu widoczności, ale należało sądzić, że nie potrwa to już długo. Zapadający szybko zmierzch i falowanie wód niebawem rozproszą je po oceanie. Która z nich dotrze do lądu — nie wiadano, ale panowało powszechne przekonanie, że ci, którzy go zobaczą, na pewno przeżyją.

Na szalupie z wolna zaprowadzano porządek, podzielono się na wachty przy sterze i żaglach, Bell prowizorycznie opatrzył rannych, ułożonych na wymoszczonym hamakami dnie łodzi. Próbowano dokonać podziału żywności i wody, ale ze względu na zmierzch przełożono to na dzień następny, bo i tak nikt nie miał apetytu. Jęki rannych powiększały tylko ogólne przygnębienie. W ponurym nastroju witano pierwszą noc na oceanie. Przygotowano się do

149

sztormowania: wyrzucono za burtę dryfkotwę, wykonaną z worka marynarskiego przez O'Malley'a, zrzucano żagle, naszykowano sprzęt do wybierania wody. Zasnęli wreszcie, poprzy-krywani, czym kto miał, zmordowani psychicznie i fizycznie, ale były to sny niespokojne. Przeżywali w nich ponownie to wszystko, co przeszli na jawie. Sny te niczym potworne zmyły obsiadły ich szalupę. Czasem ktoś ze śpiących stęknął boleśnie, a inny nagle tym obudzony, bluznął stekiem wyzwisk, potem wszystko cichło i tylko plusk fal zwiastował ponowne objęcie wachty przez Morfeusza. Przed samym świtem dopadła ich ulewa. Choć trwała krótko, przemoczyła wszystkich

do suchej nitki. Klnąc, wybierali wodę z szalupy —! zziębnięci, niewyspani, szczękający zębami, godni pożałowania. Brown, któremu było zawsze wszystko jedno, wyskoczył w ubraniu za burtę i chwyciwszy za linkę dryfkotwy, popłynął za szalupą. Początkowo sądzili, że zwariował, próbowali udzielić mu pomocy, ale powstrzymał ich Hopkins:

— Stop, stop! Ja go dobrze znam. To jakiś małpi kawał!

Istotnie, po pewnym czasie Brown wygramolił się, pokrzykując radośnie:

— Jaka ciepła woda! Jaka ciepła woda! Jak w wannie!

Hopkins poczuł się w obowiązku wyjaśnić ten wybryk podwładnego i nastroszywszy się, groźnie syknął:

— Brown, idioto! Czemu skakaliście za burtę?

— Melduję, że schroniłem się przed deszczem.

— Cooo? Wy chyba całkiem zwariowaliście?

150

— Ja? Wcale nie, sir. Niech pan spojrzy, jaki pan mokry, a i wy wszyscy wyglądacie, jakbyście wyszli spod prysznic, i trzęsiecie się z zimna...

— No, a wy? — Hopkins wydawał się być zgnębiony tą durną logiką. — i A wy sądzicie, że wyglądacie inaczej?

— Ja też jestem mokry, ale ja się kąpałem i jest mi ciepło...

— Dureń! — sapnął Hopkins i machnął ręką zrezygnowany.

Uśmiechali się blado — potrzebna im była odrobina humoru. Tylko Hopkins siedział skwaszony, jakby niezadowolony z tego, że Brown zawsze miewa takie głupie pomysły. Bell zaproponował, aby wydać po czarce rumu dla każdego, co przyjęto z entuzjazmem. Wobec powszechnego aplauzu Hopkins musiał się zgodzić. Po raz pierwszy pociągnęli alkoholu z bańki Bella. Smakował jak w najlepszym barze i rozgrzewał prawidłowo. Ponieważ do świtu pozostało nieco czasu, powyżymali mokre ubrania, ponownie naciągnęli je na siebie, gdyż — jak wiadomo — na własnym ciele wysycha najlepiej, i legli, gdzie kto mógł. Naj-wytrwalsi jeszcze rozmawiali, wspominając jakieś rzeczywiste lub urojone historie, lecz i ich zmorzył w końcu sen. Tylko ranni cicho pojękiwali. Ocean chyba również zasypiał, bo zrobiło się całkiem spokojnie. Świtało. Zapowiadał się piękny dzień.

Dziennik pokładowy HMAS „Lucy” * prowadzony przez Aleksandra Kendelewicza,

* odnaleziony przez lieutenanta Durbanu w czasie rewizji jeńców japońskich na wyspie X archipelagu Banksa w dniu 17 października 1943 roku.

151

matą Royal Australian Navy Volunteer Reser-ve, z wyboru załogi: nawigatora, bosmana i sternika rzeczonoego okrętu, rozpoczęty dnia: 12 października 1943 roku zakończony dnia:

12 października

Dziś ocean był dla nas łaskawy — ciepło i woda jak lustro. Ltn. Hopkins zarządził odprawę dla naszej' zacnej' załogi. Jednogłośnie wybraliśmy go dowódcą, tzn. ten jeden głos to jego własny. Oświadczył nam, że nadal jesteśmy marynarzami króla i „King's Regula-tion” nadal obowiązuje, a w świetle regulaminu on jako najstarszy stopniem jest dowódcą. Na szczęście nikt nie był przeciwny, bo za bunt na okręcie... Mnie wybrali sternikiem, nawigatorem i bosmanem okrętowym jednocześnie. Brown zgłosił się ochotniczo na kucharza, co mocno nie podobało się nowemu dowódcy, ale że Duck jest ranny i nie może nic robić, musiał się zgodzić. Tak więc Brown pod okiem Ducka będzie nabierał praktyki kulinarnej. Biedne te nasze żołądki! O'Malley został arty-lerzystą, Bell — lekarzem, sanitariuszem i kwatermistrzem. Wioślarzami mamy być wszyscy po trochu. Cała załoga zdecydowała, aby nasza łajba nosiła miano „Lucy”. Osobiście jest mi z tego powodu przyjemnie, że szalupa nosi imię mojej dziewczyny. Brown docina mi, że jestem rogaczem, niby dlatego, że tyłu chłopca z Hopkinsem na czele ujeżdża moją Lucy. Wytłumaczyłem mu, że dla kolegów robiło się nie takie rzeczy. Zarzuca mi więc stręczyciel-stwo. Zrobiliśmy zestawienie wszystkich zapasów — nie jest tak źle. Żywności starczy nam

152

na dobry tydzień, wody chyba też, o ile gorąc nam nie dokuczy, mamy dwa galony rumu (dla wybrednych smakoszków) i całą apteczkę medykamentów. Na uzbrojeniu posiadamy: 1 lewis, 3 lee-enfieldy, 2 webleye. Amunicji do lewisa — 3 magazynki, do karabinów po 3 łódki, do rewolwerów po 2 paczki. Na wypadek jakiejś przygody jest tego diabelnie mało. Według spisu załoga „Lucy” wynosi 1 plus 11, w tym trzech rannych. Shannon mówi, że jesteśmy jak apostołowie, którym zabrakło Chrystusa, ale mnie się wydaje inaczej — jesteśmy jak dwunastu zbójów z „Powrotu taty”. A z nawigacją to już jest wprost skandalicznie. Przyrządy — zero, mapy — zero. Co prawda Hopkins w swoim kalendarzyku miał mapkę Oceanu Spokojnego w skali 1:75 000 000, a jego zegarek jest podobno dość dokładny, ale to już wszystko. Na szalupie jest też kieszonkowy kompas. O'Malley skonstruował coś w rodzaju logu. Zebrawszy to do kupy, normalny człowiek bałby się wypłynąć na Zatokę Gdańską, a my chcemy sforsować Pacyfik. Ale że podobno wiara przenosi góry, więc i my wierzymy w szczęśliwy koniec naszej przygody. Wiemy już, że Prąd Pasatowy Południowy niesie nas z prędkością dwóch, trzech węzłów w kierunku zachodnim, skręcającym na południowy. Ustaliłem na podstawie oświadczenia Hopkinsa miejsce zatonięcia „Curcummy”. Oczywiście współrzędne są bardzo przybliżone, wynika z nich jednak, że za trzy, cztery dni, jeśli nie natrafimy na jakiś tajfun, powinniśmy zahaczyć o Nowe Hebrydy. Pozostaje nam tylko czekać i łudzić się. Humory dopisują, ranni też niewiele narzekają. Ponieważ rekinów do tej pory nie widać, kąpaliśmy się trochę. Woda

153

bardzo ciepła. Kończę już, bo się zmierzcha. Według moich obliczeń oddaliliśmy się od miejsca katastrofy o jakieś 50 mil. Pozostałych szalup ani widu, ani słyhu. To było do przewidzenia, że się pogubimy.

Idziemy pod żaglami. Ustaliliśmy, że rum wydawać się będzie tylko dla rannych.

13

Październik;

Mieliśmy piękną tropikalną noc. Księżyc, gwiazdy, fosforescencja morza — niezapomniany widok. Z Duckiem nie wszystko jest OK. Ręka spuchła jak bania, ma gorączkę, majaczy. Zdecydowaliśmy się operować go. Właściwie zdecydował tak Bell, bo on jedyny ma trochę pojęcia o sprawach medycznych. Operacja ma polegać na wyjęciu odłamka i oczyszczeniu rany. Dobrze, że w apteczce była morfina, skalpel i zwykłe nożyczki. Pacjent, nieświadom tego, co go czeka, przypominał zarzynanego barana. Przyrządy wyjąłowiliśmy nad palnikiem maszyny spirytusowej i w rumie. Potem Bell wypił ten rum, aby mu się ręce nie trzęsły (tak twierdził). Asystowali „chirurgowi” Brown (ale rumu nie dostał) i Hopkins. My wszyscy byliśmy niemymi świadkami tej jatki. Ja miałem wachtę przy sterze, zresztą nie mogę patrzeć, jak szlachtują ludzi. Operacja udała się nadspodziewanie. Rdzawy odłamek japońskiego granatu przechowywać będziemy jako talizman. Bell wycisnął ropę, oczyścił ranę i zabandażował — szło mu to wcale zręcznie. Nad wieczorem Duckowi ustąpiła gorączka. Bell puszy się jak paw. Obawiamy się, że teraz będzie chciał nas wszystkich operować, a obaj pozostali ranni aż drżą ze stra-

154

chu. Na szczęście stan ich nie jest aż tak tragiczny — Johnson ma złamaną lewą nogę (Bell pociesza go, że jutro się nią zajmie), a Calloway rozległe oparzenie na prawym boku i udzie. Hopkins kazał wydać Bellowi pół kubka rumu w nagrodę — aż przykro słuchać jego przechwałek. Brown omal nie wypadł za burtę w pogoni za latającą rybą, podobno miało to być urozmaicenie naszego menu. Na obiad upitrasił jakąś podejrzaną zupę z puszek-(wmawiał nam, że to żółwiowa), ryż na słodko (skawalony) oraz otworzył puszkę z kompotem. I wtedy wybuchła bomba, z tej racji, że w dwu puszkach było piwo, chociaż na nalepkach stało jak wół, że jest to kompot ananasowy. Delektowaliśmy się tym smakołykiem (po dwa łyki na głowę), a rozochoczone bractwo rzuciło się do otwierania następnych puszek z kompotem ananasowym. Niestety, Hopkins kategorycznie wkroczył do akcji i skończyło się na zamiarach. Bunt nie wybuchł, choć nie brakło szemrających. Ale dyscyplina jeszcze obowiązuje. Brown twierdzi, że to cud z tym piwem. Mówi, że pewnie Neptun polubił nas i podrzucił te puszkę, abyśmy nie tracili marynarskiego fasonu. Hopkins wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie polubił tylko jednego z nas, właśnie Browna, a reszty nie, stąd tylko te dwie puszkę. Brown zgodził się z tym wywozem, bo — jak nam się zwierzył pod przysięgą — jest święcie przekonany, że jeśli już Neptun miałby kogoś polubić, to właśnie jego pierwszego. Na odwrotnej stronie nalepki puszkę od konserw wykreśliłem powiększony odcinek mapki Hopkinsa (oczywiście pi razy oko) i w ten sposób odkładam pozycję zliczoną. Wynika z niej, że musimy zawadzić o Nowe

155

Hebrydy, a raczej o ich wierzchołek. Są to Wyspy Banksa, mała grupka, niczym grudki muszowego łajna, i aby jej tylko nie przegapić. Jeśli się z nimi rozminiemy, to następnym

ładem będzie Australia. A do niej możemy dotrzeć jedynie w roli nieboszczyków, gdyż wy-zdychamy z głodu. Cały czas idziemy pod żaglami, do tego niesie nas prąd. Otucha w sercach, humory dobre. Po obiedzie dzień gospodarczy — toaleta „Lucy” i prace krawieckie przy własnej garderobie. Nad wieczorem śpiewamy, co kto potrafi. Zapada zmierzch. Według moich obliczeń zrobiliśmy dziś ponad 60 mil. Wyspy Banksa już blisko — będzie jakieś 40—50 mil. Należy jednak wziąć poprawkę na dokładność tych obliczeń, a raczej na ich niedokładność. Dzień nie był jednak pechowy wbrew trzynastce, chociaż... Hopkins zainteresował się, co ja tam wypisuję, wyraźnie chciał to przeczytać, ale wytłumaczyłem, że piszę listy do swojej Lucy, i dał spokój. Brown zaofiarował się z wyszukaniem mi pękatej butelki na te listy...

14 października

Życie rozbitka na szalupie ma swoisty, niepowtarzalny urok. A swoją drogą chętnie bym z niego zrezygnował. Sto pociech mamy na przykład przy załatwianiu czynności fizjologicznych, ale nie o tym chciałem pisać. Puścił nam się bujny zarost — jeszcze kilka dni i przypominać będziemy prawdziwych wikingów. Dziś — rekiny. Pełno tych drani wokół nas, wprost obrzydliwość patrzeć. O'Malley mówi, że warto by rozgonić to bractwo z naszego lewisa. Podobno pojawienie się rekinów

156

wokół rozbitków nie wróży nic dobrego. Martwimy się, że przyjdzie rozminąć się nam z Wyspami Banksa. Smith, który kiedyś łowił różne stwory wodne dla muzeum oceanograficznego, twierdzi, że niewielkiego rekina można upolować gołymi rękami. Wystarczy dobrze uchwycić go za płetwę grzbietową i poderwać do góry. Wtedy jest on całkowicie bezradny i można z nim robić wszystko bez żadnych obaw. Ale jakoś po tym teoretycznym wstępie nie kwapił się praktycznie tego zademonstrować, może dlatego, że te, które nas otoczyły, wcale nie wyglądają na małe. Najbardziej krewkiego zdzielił Shannon wiosłem po łbie, aż pękło na pół. Hopkins wyżył się na nim za to. Brown upiera się, że obecnie rekiny nie powinny być dla nas niebezpieczne. Tyle jest teraz ścierwa ludzkiego w morzu, że nie są głodne, raczej chyba dziwią się nam, że jeszcze żyjemy. Może ma rację. Nigdzie ani smużki dymu, horyzont wprost nieprzyzwoicie czysty. Od rana krąży nad nami albatros. Ten potężny ptak dodaje nam otuchy — zwiastuje bliski ład. Nie zawsze się to sprawdza, ale raźniej uchwycić się tej nadziei. Na obiad jedliśmy gulasz wołowy z sucharami, zupę ryżową oraz kompot ananasowy. Tym razem cud się nie powtórzył. Trzeba przyznać, że Brown pitrasi coraz lepiej. Widać pogróżki pomogły. Po obiedzie konserwacja broni, bo rzuciła się rdza. Czyścimy więc zawzięcie. Hopkins powiedział, że w przyszłości za taką broń ukarze O'Malleya aresztem. Wieczorem dalszy ciąg gawęd. Od wczoraj wprowadziliśmy zwyczaj opowiadania przed snem swoich najweselszych przeżyć. Zaczęliśmy według listy i jako pierwszy opowiadał Brown. Łgał niemiłosiernie, a najgorsze, że cały czas

157

powoływał się na mnie, jako rzekomo naocznego świadka. Ponieważ się powtarzał, setnie znużył słuchaczy. Nocą mieliśmy obaj wachtę i Brown zwierzył mi się, że łgał dlatego, aby wzbudzić zazdrość u Hopkinsa. Dzień pod względem pogody był nienadzwyczajny — pochmurno. Zrobiliśmy około 50 mil.

Jeśli znam się choć trochę na matematyce, to Wyspy Bank-sa powinny być tuż, tuż...

15 października

Hura! Wyspa!!! Wyspa na horyzoncie! Naprawdę! Ocaliliśmy więc... Później opiszę to wszystko dokładnie, bo teraz... teraz się cieszę!

...Wyspa pojawiła się nagle. Pierwszy spostrzegł ją mat Bell. Świtało. Zmordowani ludzie leżeli pokodem, nawet wachta spała, gwiżdżąc na przepisy regulaminu. Bell nie mógł spać. Organizm, pozbawiony codziennych dawek alkoholu, zdradzał nadmierną energię i nie dawał spokoju swemu właścicielowi nawet we śnie. Bell czuł się podle — obudził się, odczuwając potężne ssanie w żołądku. Leniwie rozejrzał się dookoła, obojętnie zlustrował śpiących, parsknął śmiechem na widok chrapiącego Hopkinsa, ziewnął potężnie, a następnie wystawił rękę za burtę i zaczerpnął wody. Spryskał nią sobie twarz, wytarł się, odchrząknął i splunął z pewną nawet elegancją. W bladym świetle poranka ocean wydawał się ołowiany i spokojny jak śpiące dziecko. Dzień zapowiadał się bezchmurny i znudzony Bell chciał już na powrót zamknąć powieki i po-drzemać, kiedy dojrzał coś, co wywołało jego

158

żywe zainteresowanie. Wydało mu się, że na horyzoncie pojawił się statek. Wczepił się wzrokiem w tamtą stronę, nie wierząc oczom. Chyba mającę — myślał. — Czyżby to... delirium? Ale nie, wtedy podobno widzi się białe myszki, a to mi wygląda chyba na ...wyspę! Gorączkowo zaczął szarpać Hopkinsa:

— Panie lieutenantcie, ziemia! Wyspa na horyzoncie! Wyspa!

Zaspany Hopkins groźnie warknął: — Co wy bredzicie, Bell? Chyba się schlałeś! Bez mego zezwolenia ruszałeś rum, tak? — Ale rozejrzawszy się i stwierdziwszy naocznie, że to jednak wyspa, ich ziemia obiecana i wymarzona, za którą tak tęsknili w ciągu minionych dni, wzruszył się bardzo. Przełamując skurcz szczęk, wydusił z siebie: — Ziemia! — Potem po raz drugi, już nieco głośniej: — Ziemia! — Aż wreszcie ryknął na całe gardło:

— Pobudka! Ziemia na kursie! — I zaczął szarpać najbliżej śpiącego. Bell dopomagał mu w tym dzielnie, tak że po chwili wszyscy już wpatrywali się w ciemny kontur na horyzoncie, a potem zaczęli wrzeszczeć i wiwatować. Nawet ranni wyraźnie się ożywili. Bell czuł się jak bohater. Brown porównał go do chłopca z „Santa Marii”, który pierwszy dostrzegł Amerykę. Ponieważ Hopkins nie był Kolumbem, skończyło się to wszystko na potężnym zbesztaniu wachtowych, którzy śpiąc snem sprawiedliwych, przegapili wyspę. Wachtowi, mocno zmieszani, zamilkli, ale w obliczu nowych wydarzeń dano im prędko spokój. A wyspa wciąż rosła w oczach...

Dopiero koło południa zbliżyli się do niej na tyle, że mogli dokładnie ją obejrzeć. Wyrastała z dna oceanu jak wielka pięść, wyciąg-

159

nięta groźnie ku niebu. Wierzchołek był rozdwojony i połączony wąską granią, na której srebrzyły się promienie słoneczne. Tonęła w zieleni palm kokosowych i krzewów. Lornetka krążyła z rąk do rąk i każdy dorzucał radośnie jakiś przeoczony szczegół ich nowego domostwa.

— No, z głodu tu nie umrzemy — pocieszał się „kok” Brown. — Tyle tu palm kokosowych...

— A i wypić będzie co — entuzjazmował się Bell. — Znam pierwszorzędny przepis na domową produkcję wina palmowego.

— Ciekawe, czy będą tu kobiety? — frasował się rudy Irlandczyk O'Malley, a kiedy to mówił, czerwieniał jego gruby kark.

— Wszystko będzie, nie martwcie się — Hopkins był pełen optymizmu. — Obyśmy tylko szczęśliwie wylądowali.

Aleksander był nieco zdziwiony. W obliczu nowej przygody wszyscy zapomnieli o wojnie i o zagładzie okrętu. Wracali zwykłe, codzienne sprawy. To dziwne, jak człowiek szybko zapomina o ciężkich przeżyciach. A może tak jest lepiej — pomyślał uspokojony. Nie chciał mu się pisać dziennika, postanowił odłożyć to na później, po wylądowaniu. Wraz z innymi pa- J trzymał na coraz bliższą wyspę. Już teraz do- i strzegł, że z lądowaniem nie pójdzie im łatwo. <i Pomiędzy nimi a wyspą znajdowała się rafa | koralowa, wystające rumowisko, o które rozbiły się z łoskotem fale przyboju. Hopkins zafrasowany stwierdził, że będą musieli opłynąć wyspę, szukając dogodnego miejsca do lądowania.

— Prawdopodobnie rafy nie będzie od strony południowej i tam wylądujemy. No, brać

160

się tego za wiostą, bo inaczej prąd zepchnie nas na rafę.— I wydał komendę: — Do zwrotu przez dziób!

Aleksander siadł przy sterze. Kilkoma potężnymi uderzeniami wiosł dopomogli wiatrowi i powoli zaczęli odchodzić w kierunku południowo-wschodnim. Hopkins cieszył się jak dziecko:

— Odejdźmy trochę w lewo, a przestaniecie się męczyć. Prąd zniesie nas obok wyspy, a kiedy osiągniemy jej brzeg południowy, reszta będzie już fraszka. Daj mi rumpel! — zwrócił się do Aleksandra. Ten oddał mu z chęcią, a ponieważ lornetka dotarła obiegami właśnie do niego, zaczął szperać zachłannym wzrokiem po wyspie. Borykając się z prądem, odchodził w bok od zdradzieckich raf.

W szklach lornetki wyspa wyglądała obiecująco — masa zieleni, palmy, krzewy, pnącza, kolorowe kwiaty — po prostu okruch raj, rzucony na bezmiar oceanu. U jej podnóża żółciła się plaża i Aleksander pomyślał, że właściwie nic nie miałby przeciw temu, aby tu właśnie przeczekać do końca wojny. Faleza urywała się gwałtownym uskokiem i opadała w morze z wysokości ponad stu stóp, natomiast dalej ku południowi obniżala się. Rafa osłaniała wyspę od strony północno-wschodniej. Myszując lornetką po zwalach koralowca, Aleksander ze zdumieniem stwierdził, że gdzieś tam zakiełkowała i tu roślinność.

Kiedy tak smakował te cuda przyrody, zauważył, że wyrwa między koralami przywalona jest jakimś

szarym, na wpół zatopionym cielskiem. A to ci heca! Wieloryb wpadł na rafę! Ale cielsko wieloryba jakoś dziwnie przypominało mu coś, co chyba niedawno oglądał.

— Synowie marnotrawni

161

— Do jasnej cholery! — zaklął i zdjęty przerażeniem, oddał lornetkę Hopkinsowi. — Czyżby jednak przeznaczenie?

— Co jest, Kendel? — zdumiał się Hopkins, biorąc ją i przekazując mu w zamian rumpel.

— Ten zasrany... japoński pod wodniak — wyjąkał.

— Co? Gdzie?

— Tam, na rafie! Ooo, tam!

— Poczekaj... Rzeczywiście... Tak jakby kadłub zatopionego okrętu podwodnego. Ale może to nie ten japończyk, może ktoś inny?

— Myślę, że to ten sam. Oni znali ten rejon i wiedzieli, gdzie mogą się skryć.

— Co za pech! Na pewno dranie obserwują nas w tej chwili i szykują się na przyjęcie nas.

Szalupa pełna była zgiełku. Spotkanie z Japończykami burzyło plany ich spokojnej egzystencji, tak już dobrze obmyślane, że żal było je porzucać. Brown, znęcając się nad obiadem, perorował:

— Mamy pecha, bo nie złożyliśmy ofiary Neptunowi. Trudno, samiśmy sobie winni.

Inni sądzą, że wrak podwodniaka jeszcze o niczym nie świadczy. Przecież rozbił się on o rafę i na pewno z załogi niewielu ocalało. A przedostać się z rafy na wyspę też niełatwa sprawa. Jednym słowem rozpoczęło się ogólne gdybanie. W końcu wszyscy ucichli, oczekując j na decyzję Hopkinsa — on jest dowódcą, niech on się martwi. Hopkins, widząc wlepione w siebie spojrzenia, w pierwszej chwili stracił węgę, ale opamiętał się i już spokojnie rozpoczął: — To niełatwa sprawa. Jeśli obawiamy się japońców, musimy płynąć dalej. Żywności star-

162

czy nam chyba na cztery, pięć dni. Jeśli natrafimy na inną wyspę, to dobrze, ale jeśli nie natrafimy, zginiemy z głodu na oceanie. Chyba że podejmie nas z wody jakiś statek lub wodnosamolot. Jeśli zaryzykujemy i wylądujemy na wyspie, to albo napotkamy japońców, albo nie. Ale weźcie pod uwagę, że tu jest żywność, woda, a i nasi ranni łatwiej dojdą do siebie. I szanse na przetrwanie są duże. Decydując się na lądowanie, musimy zachować wszelkie środki ostrożności, tu chodzi o nasze życie. Wybierajcie więc! — zakończył.

— Tu nie ma co wybierać — oświadczył za wszystkich Brown. — Spróbujemy wylądować, zobaczymy wtedy, kto mocniejszy.

— A inni, co myślą? — I Hopkins kolejno pytał każdego o zdanie. Różnie odpowiadano, ale jedno było pewne: lepiej po bohatersku umierać, walcząc z wrogiem, niż tchórzliwie przed nim uciekać.

— Dobra! W takim razie lądujemy — zdecydował Hopkins: — O'Malley, rozdzielić broń i amunicję! Dla mnie webleya.

Brown ustawił na dziobie lewisa, karabiny poszły na prawą burtę, a rannemu Johnsonowi przydzielono lornetkę i kazano bacznie obserwować. Ale poza gęstwiną drzew nic nie widziano. Tymczasem prąd niósł ich łagodnie wzdłuż wyspy.

W milczeniu przetykano obiad, nawet żarłoczny O'Malley stracił apetyt i nie zebrał o dokładkę. Widocznie i jemu udzieliła się psychoza niebezpieczeństwa. Hopkins intensywnie nad czymś rozmyślał, potem zdecydował się, zapytał cicho Aleksandra:

— Słuchaj, Kendel, a może by tak opuścić

163

banderę? Po co przedwcześnie mamy odkrywać swoje karty? Jak ty myślisz?

— Opuścić banderę? A co, chce pan podnieść japońską?

— No nie — zmieszał się Hopkins — ale oni często tak robią.

— My i oni to duża różnica. Niech wiedzą, z kim mają do czynienia. A poza tym regulamin obowiązuje nadal.

— Ty jak zwykle lubisz brawurę — westchnął Hopkins, ale było w tym westchnieniu więcej uznania niż nagany. — Ech, wy, Polacy, zupełnie jak my, Australijczycy, a tu trzeba mieć chytryść węża. W końcu jednak honor Australijczyka wziął górę nad chytryścią węża i „union jack” nadal dumnie powiewał na drzewcu.

Po dwóch mniej więcej godzinach dotarli do południowego krańca wyspy. Podeszli do niego bardzo blisko w obawie przed zniesieniem na ocean. Należało teraz szybko wśliznąć się w „cień” wyspy, aby nie odpaść od niej. Resztę drogi trzeba było przejść na wiosłach, ponieważ w cieniu wyspy „zdechł” wiatr. Odetchnęli z ulgą — nie było tu żadnych raf, faleza schodziła łagodnie prawie do poziomu oceanu. Ogromna plaża jakby zapraszała do lądowania. Należało się spieszyć, według bowiem wyliczeń Aleksandra zaczynał się już odpływ, a ponieważ nie znali wysokości jego fali, mogli się natknąć nieoczekiwanie na podwodny próg skalny i rozbić szalupę. Zrzucano żagle i wszyscy chwycili za wiosła. Brown, aby skoordynować ich ruchy i zachęcić do maksymalnego wysiłku, dzikim głosem zanucił shanty. Uderzyli o wodę — raz, dwa, trzy, aż zaskrzybiało w dulkach. Odpowiadali na zapiew krótko, tyl-

164

ko tyle, ile trzeba było, aby zagarnąć wodą piórem i jednym szarpnięciem całego ciała wyrzucić ją w tył.

Oh, whiskey is the Uje oj a man Whiskey! Johnny! I drink it out of an old tin can Whiskey jor my Johnny!

Brown improwizował dalej:

Oh, whiskey is the love oj a gentleman Whiskey! Johnny! I drink it out of a saucepan Whiskey jor my Johnny!

Wiosłowali ciężko. W cieniu wyspy prąd tworzył liczne wiry utrudniające lądowanie. Walczyli więc zawzięcie, aby dojść do tej ziemi obiecanej. Wtórowała im shanty:

Oh, whiskey is the hart oj an ojjicial Whiskey! Johnny! I drink it out of a great pail Whiskey jor my Johnny!

Plaża zbliżała się cal po calu, wreszcie wpłynęli w pasmo spokojnej wody. Odetchnęli.

— Sondować dno! — ryknął Hopkins.

Shannon wyrzucił ołowiankę, a Brown groźnie wymierzył lewisa w głąb tajemniczej wyspy.

! — Dwadzieścia pięć stóp... dwadzieścia... piętnaście — dobiegał głos Shannona. Coś się wreszcie działo po tej monotonii pływania.

— Ta wyspa nie sprawia wrażenia zamieszkaanej, sir — zameldował Johnson, chyba najbardziej zdyscyplinowany członek załogi.

— Obserwować dalej!

165

— Ay, ay, sir!

— Piętnaście stóp... piętnaście... siedem... siedem... pięć... pięć... — mierzył Shannon.

— Basta! Wiosła złość! Kendel, Shannon i O'Malley! —> ryknął znów Hopkins i uśmiechając się przepraszająco, dodał: — Jesteście tacy wysocy, więc będziecie holować szalupę na plażę...

— Ay, ay, sir — mruknęli obaj, a Shannon dokończył:

— Cztery stopy... cztery... trzy... — i cisnął ołowiankę na dno szalupy. Skakali kolejno za burtę, zapadając się po pierś w ciepłej wodzie przyboju. Dno było piaszczyste. Chwycili podane im cumy i pociągnęli. Brown pocieszył ich:

— Ciągnijcie śmiało, chłopcy, bo niechby tylko ktoś ruszył się na brzegu, to zrobię z niego sito.

Na płyciźnie wyskoczyli wszyscy z wyjątkiem rannych i szczęśliwie wtarabanili szalupę na stały ląd. Spod stóp umykały spłoszone kraby. Ostrożnie wytaszczyli z łodzi rannych i ułożyli ich w cieniu nadbrzeżnych palm. Ale Hopkins był innego zdania:

— Zabierzcie rannych spod tych palm, durnie. Nie wiecie, że orzechy lubią spadać na łby? Nie chciałbym dostać takim kamyczkiem w głowę...

— Patrzcie, jakie piękne kwiaty! — wydierał się ktoś.

Zachowywali się jak gromada dzieci na wycieczce w słoneczny letni dzień. Niektórzy rozbijali orzechy, których tu było mnóstwo, i raczyli się ich chłodnym mlekiem. Widać przeszedł tędy huragan, bo niektóre z palm utraciły swoje korony, a ich złamane pnie błys-

166

kały w słońcu bielą świeżego drewna. Brown rzucił się na ziemię, wrzeszczał coś bez sensu, całując ją i tarzając się po niej. Hopkins patrzył na to pobłaźliwie, jakby i on zapomniał o niebezpieczeństwie. A cel istotnie stanowili doskonały — sami na pustej plaży, porosłej tylko z rzadka palmami. Do najbliższej ściany zieleni mieli ze sto jardów. I ta błogosławiona cisza. Słyszał było tylko przytłumiony szum oceanu, świergot ptactwa i ciche zawrodożenie wiatru w koronach palm. Aleksander szturchnął rozwrzeszczanego Browna:

— Chodź! Weźmiemy erkaem i pójdziemy na zwiady. No co tak patrzysz? Chyba nie straciłeś rozumu w tej bandzie szaleńców?

Ale Brown był jakby nie z tego świata.

— Ja wykonuję tylko rozkazy! — wypalił.

— Taaak? Zaraz ci to załatwię. Panie lieu-tenancie — zaczepił Hopkinsa — chyba nie myśli pan, że już niebezpieczeństwo za nami?

Hopkins nie lubił, kiedy mu w ten sposób zwracano uwagę: — Nie panikujcie, Kendel! — zaczął surowo. — Gdyby tu byli Japończycy, dawno już by nas wystrzelali w czasie lądowania. Ale macie rację, ubezpieczenie trzeba wystawić. Weźcie ze sobą Browna z lewisem i poszperajcie po okolicy. Gdybyście napotkali japońców, alarmować nas strzałami. Trzy pojedyncze w górę i wycofywać się, ale nie na nas, tylko w bok, aby się wystawili pod nasze uderzenie ze skrzydła. Zrozumieliście?

Aleksander jakoś nie bardzo pojmował. Pomyślał sobie, że Hopkins jest lepszym artylerzystą okrętowym niż dowódcą plutonu piechoty. Mruknął coś, co równie dobrze mogło być potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

— Macie zegarek? Tak? A więc powrót o

167

trzeciej. A my postaramy się przygotować wszystko do drogi. Wyszukajcie jakieś dobre miejsce na obóz — rzucił na pożegnanie, kiedy dziarsko odmeldowali się.

Ruszyli na uginających się od długiej bezczynności nogach. Szli wzdłuż ściany buszu, bacznie ją obserwując, a jednocześnie obawiając się zanurzyć w jej gąszczu. Po

kilkudziesięciu krokach napotkali wyrwę zieleni. Dali w nią nura i zaszyli się w gąszczu. Sforsowawszy go, weszli w strefę lasu palmowego. Zapach był tak odurzający, aż zakręciło im się w głowach. Co chwila przypominali jeden drugiemu o ostrożności, podejrzliwie spoglądając na wierzchołki palm, czy aby nie ma tam jakiegoś ukrytego japa. Ale poza ciężkimi gronami owoców nic nie było widać. Tylko ptaki śpiewały, a przechodzące na drugą stronę nieboskłonu słońce igrało świetlnymi refleksami pomiędzy pniami drzew. Nie czując wcale zmęczenia, poszliby tak jeszcze dalej, gdyby nie Brown, któremu ta cisza wydała się podejrzana. Przystanęli.

— Czuję się jakoś niewyraźnie — zaczął. — Jakby za chwilę miało mnie spotkać coś bardzo niemiłego. W ogóle zdaje mi się, że w powietrzu zawisło nieszczęście, nie sądzisz?

— Spietrałeś się, stary. To nerwy i bujna wyobraźnia.

— Ehe, tobie tak samo nieswojo, tylko zadajesz sobie fasonu. Ja dalej nie idę. Za bardzo odbiliśmy od swoich, jeszcze zabłądzimy. Która godzina?

— Druga trzydzieści. Masz rację, musimy wracać, bo nie trafimy do naszych i przez pomyłkę wylądujemy w obozie japońskim.

— Ty też jednak wierzysz, że oni tu są?

168

— A coś ty myślał? Nie tylko wierzę, jestem o tym najzupełniej przekonany. Ale nie zagaduj, lepiej ponieś lewisa...

— No, to wracajmy, ale inną drogą, bo na starej mogą czekać japy. Ale ciężki drań — stęknął, ujmując karabin.

Z wielkim trudem wydostali się na plażę i idąc nią, doszli wreszcie do grupy, znajdującej się już w pogotowiu marszowym. Szalupy nigdzie nie było widać, tak dobrze ją zamaskowali. Hopkins był mocno zniecierpliwiony.

— A więc na zachodzie bez zmian — stwierdził sentencjonalnie, wysłuchawszy ich raportu. — Szkoda, że nie znaleźliście dobrego miejsca na obozowisko. Musimy się pośpieszyć i przed zachodem znaleźć jakiś nocleg, bo tu w nocy mogą ściągnąć Japończycy. Wy dwaj pójdziecie jako szpica przodem, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt jardów od nas. Idźcie powoli i dokładnie się rozglądajcie. W razie czegoś podejrzanego strzelać. Broni mamy mało, więc ten lewis musi starczyć na was dwu. Jasne? Odmaszerować!

Aleksander pomyślał, że Hopkins wydaje coraz bardziej sensowne polecenia, i to sprawiło mu jakąś drobną satysfakcję. Ruszyli początkowo starym szlakiem, wolno, ze względu na rannych, potem znaleźli na wpół zarosłą ścieżkę. — Czyżby tu byli kiedyś ludzie? — zdziwił się Brown. Ścieżka, zataczając łagodnie meandry, wyprowadziła ich wreszcie na rozległą polanę. Spenetrowali ją, potem jej okolicę, ale nic

podejrzanego nie zauważyli. Dali znak swoim, a sami zajęli stanowisko w krzakach na samym skraju. Kolumna rozbitków powoli wkraczała na polanę. Smith

169

i Gregory nieśli Johnsona na prowizorycznych noszach, wykonanych z nawleczonych na długie kije dwu bluz marynarskich, na tyle niedoskonałych, że zsuwał się z nich ustawicznie, klnąc z cicha. Reszta tej osobliwej karawany obładowana była niczym wielbłądy. Należało podziwiać poświęcenie Ducka i Callowaya, niosących jakieś drobne paczki, aby tylko ulżyć kolegom. Kolumnę zamykał, trzymając w ręku nabity karabin, Hopkins.

— Udało nam się — zauważył radośnie Brown. — Nie musimy nieść żadnych klamo-tów. Wiesz co? Gdybym był japońskim dowódcą, tę właśnie polanę wybrałbym na miejsce zasadzki.

— Całe szczęście, że nim nie jesteś. Chociaż masz rację, miejsca tu sporo, a wkoło krzaki. Cholera, żeby już wreszcie przeszli tę polanę, byłbym spokojniejszy.

— Ale się wloką, doszli dopiero do połowy.

— Co chcesz, z rannymi nie tak łatwo... Umilkli. Nagle rozległ się gwizd jakiegoś ptaka. Trel jego przechodził od tonów wysokich do niskich, to znów wysokich.

— Co to za skowronek? — szepnął zdławionym głosem Brown i... w tym momencie zajazgotał karabin maszynowy. Zawtórowała mu palba z broni ręcznej. Cały las napełnił się nieoczekiwanie zgiełkiem walki.

— Japy! — wrzasnął Aleksander. — Przegapiliśmy skurwysynów! — Padł, zarepetował i wystrzelał po przeciwnych zaroślach cały magazynek. Z jakim skutkiem — nie wiedział. Za to Japończycy strzelali do nich jak do kaczek. Kto nie zginął w pierwszych sekundach walki, ten ranny starał się skryć za jakąkolwiek, choćby mikroskopijną osłoną.

170

Ogień japoński sparaliżował wszelką obronę. Jeszcze chwila i strzały umilkły. Tylko wrzask spłoszonego ptactwa zagłuszał ciszę. Spojrzeli po sobie.

— To... już... chyba... koniec! Wszystkich wytlukli, żółtki przeklęte, wszystkich. — I Brown zajęczał płaczliwie przez zaciśnięte skurczem szczęki. Aleksander założył nowy magazynek i zarepetował. Pomyślał, że jego życie będzie drogo kosztowało synów kraju wschodzącego słońca.

— Ale dlaczego my żyjemy? — dziwił się Brown.

— Nie mam pojęcia. Pewnie jeszcze nie czas na nas...

— Lepiej zwiewajmy!

— Dokąd? Poczekaj. Zaraz się wyjaśni...

Z zarośli, tam skąd przyszli, zaczęli wysuwać się na polanę ;— najpierw niepewnie, potem coraz śmielej — drobni ludzikowie w marynarskich mundurach.

— Już wiem, dlaczego żyjemy — domyślił się Aleksander. — Japy szli za nami cały czas, szukając okazji do wykończenia. Ta odkryta polana stała się grobem dla naszych. A my dwaj jako szpica zostaliśmy po prostu przegapieni...

— Co chcesz? To są marynarze i nie mają pojęcia o walkach na lądzie — „usprawiedliwia” ich Brown. — Patrz, teraz sami włożą nam pod lufę. Podpuść ich bliżej...

Na polanie znalazło się sześciu Japończyków, inni posuwali się chyba skrajem. Cała szóstka zaczęła gmerać przy zabitych. Ktoś chyba żył jeszcze, bo marynarze zaszwargo-tali między sobą, a potem — i to było najstraszniejsze — dobili go bagnetami. Nieludz-

171

ki skowyt umierającego świdrował w uszach aż do bólu, ale raptem urwał się w łoscocie strzałów. To Aleksander nie wytrzymał i plunął ołowiem po rabusiach. W pełzających po ziemi bił pojedynczymi strzałami, wykrzykując mściwie po każdym: — To za Shannona! Za O'Malleya! Za Ducka! Za Johnsona! A to za Hopkinsa... Podnieśli się raptownie. — Wiejmy!

Runęli, gniotąc z rozpędu krzewy, depcząc kwiaty, objijając się o pnie drzew. Za nimi kule ze świstem cięty gęstwinę. Gnali tak, że płuca omal im nie pękły z wysiłku. Wreszcie, zdyszani jak konie po gonitwie, przycupnęli za zwalonym pniem i odpoczywali zmordowani. Przybliżające się strzały zorientowały ich, że pościg tuż, tuż.

— Uciekaj, Brown, ja ich zatrzymam — wychrypiał Aleksander, zdecydowany na pewną śmierć.

— Nie, Aleks, ty masz dla kogo żyć, ty uciekaj, a ja ich zatrzymam — nie ustępował Brown.

— Jestem starszy stopniem i stanowiskiem, więc daję wam rozkaz. Starszy marynarz Brown! Uciekajcie natychmiast!

— Nie pieprz, stary! Wiesz, że takiego rozkazu nie wykonam.

— Dobrze, chcesz zdychać, to zostań. Robisz to, oczywiście, z tak zwanej przyjaźni, prawda?

— Uhum...

Strzały umilkły, tylko szelest krzewów wskazywał, że przedzierają się przez nie ludzie. Pierwszy Japończyk wyszedł niespodziewanie wprost na nich. Po prostu zarośla roz-

172

chyliły się i wysunął się z nich marynarz

O szerokiej twarzy i zdziwionych oczach.

1 z tym zdziwieniem powędrował w zaświaty.

— Zabierz mu karabin — rozkazał ściszym głosem Brownowi, który z lekkim ociąganiem podbiegł do zabitego i wyszarpnął mu z ręki broń.

— Brown, uważaj!

Drugi Japończyk już mierzył do niego, ale Brown strzelił pierwszy, prawie nie celując, z biodra. Raz, potem drugi. Zawahał się, czy brać karabin zabitego, w końcu szarpnął i trzymając broń w obu rękach, pognął w stronę Aleksandra. I takim go Aleksander zapamiętał na zawsze, albowiem skosił go z pistoletu maszynowego trzeci Japończyk, z wyglądu podoficer. Cały czas miał przed oczami biegnącego Browna i jego wykrzywioną z bólu twarz, w chwili kiedy dosięgły go kule.

Poczuł na twarzy lzy. Moja kolej... Ostatni pocisk dla mnie — pomyślał i nacisnął spust.

Znalazł się oko w oko z czterema Japończykami. Dwu padło już z jego ręki, kiedy nagle z przerażeniem usłyszał głuchy stuk iglicy. Nacisnął spust raz i drugi i ze zgrozą uświadomił sobie, że nie ma amunicji. Poderwał się, kolbą lewisa odbił bagnet Japończyka, zdzielił go w pierś i obalił, drugiemu, składającemu się już do strzału, cisnął erkaem w twarz i skoczył w bok, w zarośla. Huknęły strzały, ale on biegł nadal, na oślep, czując, że jeszcze żyje. Przedarł się przez gęstą kosodrzewinę i potknąwszy się o coś zniecka, runął jak długi. Wściekły podniósł się błyskawicznie i... oniemiał. Przed nim stało z wymierzonymi peemami dwóch oficerów japońskich. Niższy

m

z nich, w cienkich okularach, stojący tuż przy nim, krzyknął „Hands up!” i Aleksander, wyczuwając, że prawdopodobnie nie mają zamiaru od razu go zabić, powoli uniósł ręce.

Okularnik podskoczył do niego i szybko obmacał po całym ciele. Potem kopnął w pośladek i wbijając lufę w krzyżę, pchnął w stronę drugiego oficera. Aleksander sapnął ze złości, splunął, zmierzył groźnie swego prześladowcę, aż tamten się przygarbił i zaskrzeczał coś po japońsku, po czym z podniesioną dumnie głową ruszył naprzód. Przybliżająca się twarz drugiego oficera kogoś mu przypominała. Wpatrywał się w tę uśmiechniętą fizjonomię uporczywie, niemal nachalnie, bo przyciągała jego wzrok jak magnes. Aż przypomniał ją sobie i zadrżał. Tę uśmiechniętą gębę, te oczy błyszczące żądzą rnodu już gdzieś widział — ależ tak, nikt inny, tylko on!

Przed nim stał w mundurze kapitana marynarki... znajomek z Osaki, były kadet Tanaka!

4. Okruchy sprawiedliwości

Trybunał składał się z pięciu ludzi. Przewodniczył najstarszy stopniem Tanaka, oskarżycielem był drugi oficer, w okularach, ten z polany, osobnik o tyle w tym towarzystwie interesujący, że Aleksander mógł się z nim dogadać po angielsku. Dwaj ławnicy to starsi podoficerowie o szczeciniastych głowach i

wystających kościach policzkowych. Piątym było podejrzane indywiduum o nijakiej twarzy, opatrzonej pod nosem czarnym, przystrzyżo-

174

nym wąsikiem. Jak się później Aleksander zorientował, typek ten spełniał rolę obrońcy. Jego obrońcy. O dziwo — mówił dość biegle po angielsku, chociaż czasem wypadało to bardzo śmiesznie z racji złego akcentowania, przez co niektóre wyrazy uzyskiwały całkiem inny sens. Rozprawa sądu polowego odbywała się w szałasie, pokrytym liśćmi palmowymi. Ponieważ nie było tam ścian bocznych, zachodzące słońce rzucało krwawe refleksy na twarze obecnych. Stół sędziowski stanowiły dwie pokryte brezentem skrzynie, leżała na nim jakaś książka, zapewne ocalała z okrętu regulamin. Tanaka od czasu do czasu wertował jego pokryte hieroglifami stronic. Wysoki sąd siedział na czymś w rodzaju ławy, natomiast oskarżonemu zezwolono łaskawie kucnąć na pokrytej liśćmi ziemi. Za jego plecami stało dwu wartowników, z bagnetami na karabinach.

Rozprawa rozpoczęła się od długiej przemowy okularnika. Wartownicy kolbami dali znak Aleksandrowi, że należy wstać. Wstał więc i tępo wpatrzony w siedzących przed nim ludzi, obojętnie słuchał nie znanej mu gardłowej mowy. Nagle drgnął... Oskarżyciel zaczął mówić po angielsku, potem znów po japońsku i dalej już w obu językach na zmianę, chcąc widocznie zaoszczędzić sobie czasu i całą sprawę skończyć przed zachodem słońca. I tak dowiedział się Aleksander, że tylko dzięki niezmierzonej łaskawości i rycerskości cesarskich marynarzy oraz ściśtemu respektowaniu przez nich umów międzynarodowych nie został zabity na miejscu za to, że z bronią w ręku napadł na nich. Armia i flota japońska niosą światu nowy, sprawiedliwy ład i porządek,

175

dlatego przeszkadzanie im w tej wielkiej dziejowej misji będzie surowo tępione. Napaść Aleksandra na marynarzy japońskich — jako rozbój, sprzeczny z postanowieniami konwencji haskiej i genewskiej — zostanie ukarana zgodnie z literą prawa międzynarodowego, którego gwarantką jest między innymi oczywiście i armia japońska. Oskarżyciel zdaje sobie sprawę, jak potoczyłyby się losy Aleksandra, gdyby to on był Japończykiem i wpadł w ręce żołnierzy na przykład angielskich lub amerykańskich. Zamordowaliby go z zimną krwią na miejscu przestępstwa. Oni zaś, to znaczy Japończycy, nie uczynili tego — Aleksander zostanie skazany prawomocnym wyrokiem sądu polowego, któremu przewodniczy kapitan cesarskiej marynarki wojennej Tana-ka — w tym miejscu oskarżyciel skłonił się przewodniczącemu, który raczył łaskawie od-kłonić się. Twarz Tanaki pozostawała w cieniu, podczas gdy twarz oskarżonego czerwieniała się w promieniach słońca. Aleksander zauważył, że przewodniczący wpatruje się w niego z dużym zainteresowaniem, jakby sobie coś usiłował przypomnieć. Życzył mu więc w duchu, aby ogarnął go mrok niepamięci, wiedząc, że sytuacja stałaby się wręcz groźna, gdyby Japończyk odzyskał pamięć. Brednie oskarżyciela puszczał mimo uszu, uważając je za przejaw zakłamania wymiaru sprawiedliwości. Zastanawiało go, dlaczego odgrywiają przed nim tę komedię — widać chcieli zachować pozory sprawiedliwości, bandyckiej sprawiedliwości Silniejszego. W końcu, zatraciwszy się w kwiecistej oracji, oskarżyciel przerwał, siadł i otarł czoło. Następnie monotonnym głosem zaczął zadawać po japoń-

sku pytania, które podejrzany obrońca tłumaczył na angielski, jak umiał najlepiej.

— Nazwisko i imię?

— Czy mógłbym wiedzieć, na co to jest potrzebne? — odpowiedział pytaniem na pytanie Aleksander. Obrońca zaczął to tłumaczyć, ale oskarżyciel, bardziej bystry w angielskim, z grzecznym uśmiechem wyjaśnił, że jest to potrzebne do sporządzenia akt sprawy, a poza tym Aleksander stoi przed prawomocnym sądem, który prowadzi rozprawę zgodnie z obowiązującą procedurą.

— Nie widzę, żeby ktoś ją protokołował — Aleksander zwrócił się do przewodniczącego. — Żądam protokołowania!

Tanaka popatrzył na niego uważnie, potem udając, że nic z tego nie rozumie, zażądał wyjaśnień od oskarżyciela. Dłuższą chwilę rozmawiali ze sobą, po czym Aleksander dowiedział się, że brak papieru jest główną przeszkodą w tym względzie, poza tym sprawa jest na tyle oczywista, że obejdzie się bez protokołowania. Pocieszono go jednakże, że wyrok otrzyma na piśmie, po angielsku. Uspokoił się więc i sam zapragnął ożywić trochę tę komedię sądową. Na razie postanowił dowcipnie odpowiadać na pytania.

— Nazwisko i imię? — powtórzył obrońca--tłumacz.

— Aleksander Kendelewicz — powiedział, wyraźnie akcentując końcową część nazwiska, choć w Australii używał go w formie skróconej: „Kendel”. Zabrzmiało to jak syk węża, aż oskarżyciel skrzywił się, usiłując wymówić je prawidłowo, i zrezygnowany machnął ręką.

— Wiek?

12 — Synowie marnotrawni

i

177

— Trzydzieści lat.

— Przynależność państwowa?

— Związek Australijski.

Pokiwali głowami. Wszyscy. Nawet ci nie znający języka angielskiego, i Aleksander upewnił się tylko, że cały trybunał w mniejszym lub większym stopniu musi nim władać.

— Wyznanie? — tak chyba należało rozumieć następne pytanie, ale w ustach tłumacza zabrzmiało ono jak „stodycze?” i Aleksander z głupia frant odpowiedział, że owszem, zjadłby kawałek czekolady. Oskarżyciel spojrział na niego surowo, po czym powtórzył pytanie już poprawnie, dodając: — Niestety, mylicie się, tu nie herbaciarnia, ale jeżeli oskarżony nie chce, może nie odpowiadać na to pytanie.

Oskarżony nie chciał.

- Miejsce zamieszkania?
- Ta wyspa. Jestem rozbitkiem! Oskarżyciel pokiwał ze zrozumieniem głową

i zadał następne pytanie:

- Cywil czy wojskowy?
- Wojskowy.
- Jaki stopień? Odpowiadać!
- Mat.

Oskarżyciel wyraźnie ożywił się.

- Jaka jednostka?
- Tajemnica wojskowa — wypowiedział te słowa tak, jak go uczono, chociaż język świerzbiał go, aby się pochwalić, że był członkiem załogi okrętu-pułapki. Wprawdzie byłaby to z jego strony nieostrożność i chyba naruszenie dyscypliny wojskowej, ale w chwili obecnej nie miało to znaczenia — sprawa wyroku była już z pewnością i tak przesądzona.
- To dlaczego oskarżony nosi ubranie cywilne zamiast munduru?

178

Aleksander zastanawiał się dłuższą chwilę. Postanowił być ostrożny:

- Pływałem w marynarce handlowej i na czas wojny statek mój wraz z całą załogą został zaczerterowany przez marynarkę wojenną. Uważam się więc za żołnierza, choć nie noszę munduru.
- No tak... — oskarżyciel ucieszył się, zaprzestał pytań i wdał się w dłuższy dyskurs z przewodniczącym. Widocznie sformułowali jakiś taki akt oskarżenia, bo okularnik powstał i zaczął dawać upust swej swadzie krasomówczej:
 - Mat Aleksander Kendele... — tu zrobił głęboki wdech i wycisnął ze swego gardła jakiś chrapliwy gwizd, coś w rodzaju „iich” — stoicie przed sądem wojennym cesarskiej marynarki wojennej oskarżeni o to, że dnia piętnastego, dziesiątego miesiąca, osiemnastego roku Siowa dokonaliście bandyckiego napadu na wykonujących swoje obowiązki marynarzy japońskich, w wyniku czego zginęło siedmiu, a zranionych zostało trzech, w związku z czym popełniliście przestępstwo z artykułu — tu głos jego zawisł w powietrzu — z artykułu... — oskarżyciel wyraźnie nie był pewien, który artykuł dopasować do tego przypadku, prawdopodobnie z prawem wojennym niewiele miał wspólnego — sto siedemdziesiątego pierwszego, paragraf... — strzelił na chybił tra-ft* — piętnasty wojskowego kodeksu karnego armii japońskiej — wybrnął wreszcie i ciężko westchnąwszy, kontynuował: — za co grozi wam kara śmierci! Ponieważ w czasie dokonywania przestępstwa występowaliście bez munduru, sąd odrzuca wasze tłumaczenie i nie będzie traktować was jako żołnierza, ale jako

osobę prywatną, która dopuściła się morderstwa z pobudek natury osobistej, a nie jako przedstawiciel strony walczącej. Z tego też powodu nie możemy traktować was jako jeńca wojennego, ale musimy traktować jako uzbrojonego bandytę. Sąd z góry oddała wszelkie spodziewane wasze tłumaczenia. Czy macie coś na usprawiedliwienie waszych czynów?

Swoje* oskarżenie zakończył, wytrzeszczając wprost do niemożliwości oczy przez szkła okularów, bo mroczyło się. Aleksander patrzył na niego nieprzytomnie, a w podświadomości błędziło natrętnie pytanie: „Czy nie wylądowałem przypadkiem gdzieś w domu wariatów?” Pojął, że cała ta rozprawa to szyta grubymi nićmi farsa, perfidna farsa, jaką mogli ob-myśleć tylko ci przewrotni piraci, farsa, która jego miała wprowadzić w błąd, a ich usprawiedliwić i rozgrzeszyć. Uśmiechnął się więc szeroko, choć wszystko wzburzyło się w nim na te podłe łgarstwa, a zamordowani koledzy stanęli w oczach jak żywi.

— Wysoki sądzie — zaczął powoli, rozkręcając się coraz bardziej — jest mi bardzo przykro, że przeszkodziłem dzielnym marynarzom japońskim w wykonywaniu ich chwalebnych obowiązków. To, że zajmowali się właśnie wykańczaniem moich kolegów, jest niewątpliwie w oczach wysokiego sądu sprawą drugorzędną. Ale proszę mieć wzgląd na mój jeszcze młody wiek. U nas mawiają, że młody to głupi, i dlatego zrobiłem bardzo źle i obecnie tego żałuję... — Przerwał, bo dojrzał coś jakby grymas zdziwienia na ich twarzach. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, wsłuchany w śpiewną mowę tłumacza. Połknęliście haczyk, sukinsyny — pomyślał i dokończył:

__ Jeszcze raz powtarzam, że mocno żałuję

tego, iż... wystrzelałem was tak mało! Byłbym bardzo zadowolony — dokończył pośpiesznie, aby nie dać im przedwcześnie ochłonać — gdyby i wysoki sąd w całym swoim składzie znalazł się w wykopanym przeze mnie dla waszych nieboszczyków dole, dole, do którego wykopania skutecznie mnie zachęciliście — tu potarł się po zbolałym karku i plecach, umilkł i z przyjemnością wpatrzył się w twarze siedzących.

Było już chyba po osiemnastej, bo zaczynało mrocznieć i zachodzące słońce rzucało ostatnie błyski. Do sąłaśu wniesiono kilka latarek akumulatorowych. W ich dość silnym świetle widział Aleksander złowieszczo uśmiechnięte twarze Japończyków. Tanaka powoli dźwignął się, ujął latarkę i podszedł do niego. Oświetlił mu twarz i z dziecięcą ciekawością wpatrywał się w nią, jakby chcąc wyjaśnić jakąś dręczącą go zagadkę. Aleksander zadrżał, ale Japończyk, kręcąc głową, powrócił po chwili na swoje miejsce. Nim usiadł, zamienił kilka słów z oskarżycielem. Ten, błyskając szklami okularów, zasyczał:

— Oskarżony jest nie tylko niegrzeczny, ale i złośliwie ubliża sądowi. Tłumaczmy to sobie strachem, który ogarnął go na myśl, że oto przyjdzie mu odpowiadać za nieczne czyny. Sąd oddała ten stek niedorzeczności i bezmyślnych uwag, ale ostrzega, że więcej obrażać się nie pozwoli. Czy oskarżony to rozumiał? A teraz przewodniczący sądu, pan kapitan Tanaka, pyta, czy oskarżony nie mógłby przypomnieć mu, kiedy i gdzie się ostatnio widzieli, gdyż twarz oskarżonego wydaje mu się znajoma...

Powiedzieć czy nie? Nie! Bo wtedy mnie na pewno zabiją. A może? Przecież i tak mnie zabiją. Więc nie? Cholera, w jaki sposób opanować ten narastający strach przed rozpoznaniem? Chyba tylko tupetem i bezczelnością. Przełknął ślinę i już śmiało odpowiedział:

— O ile mnie pamięć nie myli, to z panem kapitanem widziałem się właśnie wtedy, kiedy ośmieliłem się przeszkodzić w zbożnej pracy japońskim marynarzom...

— Dość! — ryknął okularnik, nie dając mu dokończyć. — Oskarżony swoim zachowaniem obraża majestat sądu. Nawet zuchwałość przekłętego johna bulla winna mieć swoje granice. Udzielam oskarżonemu upomnienia — i skinął ręką. W tej samej chwili Aleksander uczył tępy ból w okolicach nerek i padł jak długi na pokrytą liśćmi ziemię. To wartownik zdzielił go kolbą.

— Wstać! — wrzasnął okularnik. Kiedy, niezdarnie gramoląc się, powstał, na twarzach składu sądzącego dostrzegł uśmiechy zadowolenia. Sukinsyny!

Znów przemówił oskarżyciel, tym razem bardzo słodko:

— Przykro nam, że musieliśmy uciec się aż do takich metod. Mam nadzieję, że oskarżony weźmie pod uwagę to ojcowskie upomnienie i okaże skruchę na przyszłość. A teraz przystępujemy do dalszego ciągu rozprawy.

Aleksander, który dopiero teraz złapał jaki taki oddech, wydusił z siebie:

— Jeśli sąd zastosuje jeszcze kilka takich „ojcowskich” upomnień, to obawiam się, że nie doczekam jej zakończenia.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się oskarżyciel. — Ale to przecież wasza wina. Jak bę-

182

dziecie grzeczni i taktowni, przyrzekam wam, że się to więcej nie powtórzy. Słowo japońskiego oficera — umilkł i rozejrzał się z triumfem dokoła.

Oskarżony skrzywił się z niesmakiem. Słowo japońskiego oficera? Zwykły patos pomieszany z brutalnością, cynizmem i zakłamaniami. Nie wytrzymał i palnął ze złością: — Może już dość tej komedii?

— O co chodzi? — zdumiał się Japończyk.

— Eeech, o nic. Zadawajcie mi następne pytania, byle prędzej.

— Dobrze — zgodził się oskarżyciel, pochylając się w stronę Tanaki, który coś mu szeptał na ucho. — A w jaki sposób znaleźliście się tu, na wyspie?

— Dopłynęliśmy szalupą, ponieważ statek nasz został storpedowany.

— Kiedy, gdzie i przez kogo?

— Kilka dni temu gdzieś na oceanie jakiś podwodny pirat wsadził nam w burtę torpedę... — Zauważył,

jak podejrzliwie wpatrują się w niego, i uczuł pewnego rodzaju dumę. Czyżby już domyślali się wszystkiego? Jeśli tak, to nie warto chyba ukrywać tego, że to on wraz z innymi zniszczył japońskiego pod-wodniaka, ich okręt. Z lektury książek przygodowych wiedział, że męstwo okazane w walce wzbudza szacunek nawet u wrogów. Ale jak będzie teraz? Pytanie zadawał poprzez oskarżyciela sam Tanaka.

- Czy statek wasz płynął pod banderą pa-namską?
- Nie wiem, nie patrzyłem na flagsztok.
- Ale potem, po storpedowaniu, podnieśliście banderę wojenną Imperium Brytyjskiego?

183

— Oczywiście! — Aleksander zdecydował się już na wszystko. — Chcieliśmy, żeby przeciwnik, polujący na bezbronne statki, wiedział, z kim ma do czynienia. Zresztą przekonał się o tym w ogniu naszych pocisków.

Jego obrońca zaczął coś dukać, zająkując się, zaś Tanaka aż zazgrzytał zębami z wściekłości. Opanował się jednak. Pozostali patrzyli w zdumieniu to na siebie, to na Aleksandra, który pod ciosami kolb znów zwałił się na ziemię. Ale Tanaka nie pozwolił go dalej bić. Trzeba dodać, że wartownicy zrobili to ot tak, z rozpaczy za utraconym okrętem. Tanaka pytał dalej, aby się ostatecznie upewnić.

- Czy storpedowanie nastąpiło w miejscu o koordynatach 172°10' długości geograficznej wschodniej i 12°5' szerokości geograficznej południowej?
- Chyba tak — rzucił mu nienawistnie Aleksander.
- Dlaczego posługiwaliście się banderą państwa neutralnego?
- A wy czemu strzelaliście torpedy do neutralnego statku?
- Ach tak... A jakie tam pełniliście funkcje?
- Artylerzysta.
- Rozumiem. To wy strzelaliście do nas!
- Oczywiście. Rozbiłem wam działo i trafiłem kilka razy w kiosk i kadłub — wypowiedział to z dumą, nic sobie nie robiąc ze wściekłych spojrzeń swoich prześladowców. — Mam pytanie do sądu — oświadczył.
- Sąd uchyla je. To my jesteśmy od tego, żeby pytać — powiedział okularnik i następnie, powstając, dodał:
- Sąd postanowił rozszerzyć zakres oskar-

184

żenią o paragraf — tu znów przez chwilę poszukiwał w pamięci odpowiedniego numeru — o paragraf trzynasty, dotyczący rozboju na morzu. Oskarżony jako członek załogi okrętu pirackiego, występującego ponadto pod banderą państwa neutralnego, winien być bez sądu niezwłocznie powieszony na rei...

— Powtarzam jeszcze raz — przerwał mu zezłoszczony Aleksander — jestem żołnierzem, walczyłem z wami uczciwie, po żołniersku, pod banderą wojenną i nie poczuwam się do żadnego rozboju. To wy jesteście piratami, bo napadliście na statek pod banderą neutralną, licząc na łatwy łup, a kiedy pokazaliśmy wam zęby, zmykaliście...

— Milczeć! Milczeć! — ryczał oskarżyciel. — Nic wam nie pomogą te potwarze rzucane na nas. Jesteście piratem! Gdybyście chociaż byli w mundurze, to można by uważać was za żołnierza, a tak jesteście tylko zwykłym zbójem morskim! Odbieram wam prawo głosu!

Ale zaraz musiał je przywrócić, ponieważ przewodniczący, pragnąc już zakończyć rozprawę, udzielił oskarżonemu ostatniego słowa. Aleksander rzucił swoim sędziom pogardliwe spojrzenie, chciał im powiedzieć coś miażdżącego, jakąś gorzką prawdę, która by ich zawstydziła, ale nic lepszego nie wpadło mu na język niż to:

— Tę całą waszą tak zwaną rozprawę uważam za nędzną farsę, a was wszystkich za szubrawców, kryminalnych oprychów i morderców.

— Dość! Sąd odbiera wam głos! Sędziowie nałożyli czapki i nie powstając z miejsc, zadecydowali o wyroku. Mówił Ta-iiaka, a okularnik tłumaczył:

185

— Sąd wojenny cesarskiej marynarki japońskiej na rozprawie w dniu piętnastym, dziesiątego miesiąca, osiemnastego roku Sio-wa uznał was winnym przestępstw z artykułu 171, paragraf 13 i 15 wojskowego kodeksu karnego i skazał na śmierć. W uznaniu waszego męstwa nie zostaniecie powieszonym — tu obaj uśmiechnęli się łaskawie. — Wyrok zostanie wykonany przez ścięcie mieczem jutro o wschodzie słońca. Na tym rozprawę uważa się za zakończoną. Wyprowadzić skazanego!

Aleksander patrzył zdumiony. Sąd bowiem pospieszył się tak bardzo, że obrońcy oskarżonego w ogóle nie udzielono głosu.

Wyszedł z szałasów prosto w mroki nocy.

5. Polowanie na człowieka

Leżał związany na dnie płaskiej rozpadliny skalnej. Płonące nie opodal ognisko rzucało w czerni nocy skąpą poświatę. Siedzący obok skulony marynarz dorzucał co pewien czas garściami suchych liści palmowych. Ognisko rozbłyskiwało wtedy jak wybuch granatu, aby po chwili znów przygasnąć i tylko jarzyły się w nim rozgrzane do czerwoności kawałki koralowca. W ich blasku bagnet na karabinie wartownika lśnił krwawo. Japończyk mruzczał coś do siebie sennie, rzucając ukradkowe spojrzenia na więźnia.

Świat oddychał parną tropikalną nocą. Tajemnicze szelesty, łopot skrzydeł i pohukiwanie jakiegoś ptaka, cykanie świerszczy, prze-

186

świtujące przez nisko nawisłe chmury ogniki gwiazd składały się na niezapomniany obraz pełen dziwnego uroku, obraz, na którego widok wstępują w człowieka nieznanne moce i chce się wtedy żyć — żyć pełną piersią. Aleksander chciwie wchłaniał w siebie ten widok, nawet pilnujący go wartownik wydawał się częścią składową tego obrazu przyrody, był wkomponowany w tło, tylko jego krwisty bagnet stanowił pewną dysharmonię, rażąco odcinając się od całości. Patrzył i ogarniały go smutne refleksje na temat wojny i przyrody. Obie stanowiły swoje przeciwieństwo. Tu wszystko rwało się do życia zaborczo, zachłannie i niepohamowanie. Wojna niszczyła ten pęd, znacząc swe przejście wypaloną pustynią, odorem spalenizny, rozkładem gnijących ciał. Przeklęta wojna. Przymknął oczy. Odczuwał bezbrzeżny smutek, że oto nadszedł kres wszystkiego. Wywijał się, jak mógł i umiał, tej wojennej śmierci, lecz jednak nie uniknął przeznaczenia. Dostał się wreszcie w jej łapska, które zmiażdżą go rano, rozedrą, a raczej pochwycą rękojęść krzywej szabli i... zetną głowę. Stanie się to o świcie. Wschód słońca, na który czeka cała przyroda — znamię ponownego odradzania się życia — dla niego będzie kresem ziemskiej wędrówki. Doprawdy ciekawa analogia — wschodzące słońce i śmierć. Przecież wschodzące słońce jest symbolem Japonii. Jemu przyniesie śmierć. A światu?

Był zmęczony. Ostatnia noc skazańca — jutro zobaczy Browna, Hopkinsa i innych. Czyżby to było możliwe? Czort wie, jak to jest w rzeczywistości po śmierci. Niedługo dowiem się sam — pomyślał z dziwnym spo-

187

kojem. Strach i napięcie nerwowe dawno jtr ustąpiły, pozostała tylko jakaś bolesna rezygnacja i pustka w głowie. Zaczął odczuwać nawet niechęć do świata, do siebie samego, do innych ludzi. Próbował dokonać pewnego obrachunku. Szkoda życia, to prawda, ale z drugiej znów strony czego tu żałować? Tej tułaczkiej niedoli, jaka przypadła mu w udziale? Srogiego wojennego losu? A może Lucy? Biedna Lu... Zostanie sama, ale chyba prędko się pocieszy. Tak zawsze bywa z kobietami. Niby nas kochają, aż tu nagle okazuje się, że wszystko było wielką pomyłką, że to nie ten. I zaraz znajdzie się inny, chociaż... przy powojennym niedoborze mężczyzn różnie może -się zdarzyć. To dziwne, ale miał do niej żal, że go pokochała. Dlaczego?

Jeśli kogoś było mu naprawdę żal, to matki. Kiedyś — jak to piekielnie dawno temu! ! — była mu wszystkim. Kochana staruszka — tyle lat, a ona pewnie ciągle jeszcze wygląda jego powrotu, który miał nastąpić najpóźniej za rok. I wciąż jeszcze myśli o nim jako o najdoskonalszym ze swych dzieci. Wszystkie jego wady zostały zapomniane, a przez pryzmat czasu i oddalenie stały się z pewnością zaletami. Przypomniawszy sobie, jak marzyli, że będą zawsze razem, że będzie jej podporą, kiedy siwizna przyprószy skronie... On trochę popływa, zbije mały kapitalik, będą żyli dostatnio i szczęśliwie... Eeech, marzenia! A stało się jakże inaczej. Dostatnie życie przy jego boku? Wprost śmieszne. Jeszcze przed wojną posyłał jej wprawdzie co miesiąc nieco funtów, a nawet od czasu do czasu jakieś zdjęcie z odległego atolu, ale to było wszystko. O rodzeństwie zaś prawie zapomniał. Na pewno

oboje wydorośleli i przyzwyczaili się do jego* nieobecności, jak on do ich braku. Pieski żywot. I już nie wróci do nich. Nigdy! Ale gdyby mógł jeszcze pożyć, to dla kogo? Dla matki i rodziny, dla Lucy czy może dla... ojczyzny, dla Polski?

Właściwie co to takiego ta ojczyzna? Zwykły frazes, pełen patosu, ale blady i niewiele mówiący. A przecież coś w tym jest, jakieś ukryte szaleństwo, opętanie... Z imieniem ojczyzny na ustach człowiek waży się na największe ryzyko, a umierając, myśli o niej i jest szczęśliwy, że oddał życie właśnie za nią. Ojczyzna — to ziemia, na której się urodził i wychował, rodzina, szkoła, koledzy, a jednocześnie przedstawiciele władz, partii politycznych, armii, policji... Zaraz, zaraz, czy to aby prawda? „Tam moja ojczyzna, gdzie mam pełny brzuch” — przecież niektórzy tak postępowali. To ci z fasady, sztandarowi, nie wszyscy co prawda, ale sporo spośród nich. Typki o giętkich kręgosłupach, uważające się za alfy i omegi, dranie wykorzystujący urojone zasługi, sitwy i koterie, skrywające szwindle wielkiego kalibru, za które przeciętni obywatele zgniliby w kryminałach, za tarczami gładkich sloganów, że wszystko to dzieje się dla dobra i w1 interesie ojczyzny... Tfu, 2 takimi gnojkami! Niewdzięcznicy, tak wiele dzięki niej zyskali, a teraz zepchnęli ją w bagno hańby i upadku, sprawili, że wymazana została z mapy Europy. Ma z nimi swoje własne porachunki — on, absolwent Szkoły Morskiej, „Latający Holender”, tułacz spod obcych bander, bez pracy we własnej ojczyźnie. Dotychczas była mu ona macochą. Czy miał w związku z tym Australię, która go

przygarnęła i której obecnie służy, uważać za swoją ojczyznę? Przecież brzuch miał pełny... Więc jak to się dzieje, że myśli jego bezustannie biegną ku tej, która była macochą, że pełno jej w jego sercu, myślach, we wszystkich poczynaniach? Za każde złe słowo o Polsce gotów był skoczyć do gardła. Jedna Lucy mogła sobie pozwolić na uszczypliwe uwagi o niej, ale była to przecież tylko głupia kobieta, którą kochał. Eeech, moja biedna Polsko, tak zawsze marzyłem, że będę cię bronił, jak ojciec i dziad, a przyszło mi oto umierać na nieznanym wysepce Pacyfiku. Nie zdążyłem jeszcze nic dla ciebie zrobić i nadszedł koniec. Nawet umrzeć nie mogę dla ciebie, bo ta moja śmierć jest ci niepotrzebna i w niczym nie ulży twej doli. Tak, zmarnowałem, życie... Czy nie lepiej było rzucić morze i pozostać tam w kraju jako najprostszy wyrobnik, ale na ojczystej ziemi, na swoim? Zresztą wcale nie musiałem rzucać morza, przecież mogłem rybaczyć na kutrze Konkiela... Ale mi to nie wystarczyło, zachciało mi się dalekich łądów, to i mam...

Tak się przy tych medytacjach rozżalił, że w pewnej chwili poczuł, jak łzy ściekają mu po policzkach. Zdumiało go to i zawstydziło. — Na Davy'ego> Jonesa! — zaklął. — Zrobiłem się straszny mazgaj. A w ogóle nawiedzają mnie myśli zbyt podniosłe. Ostatnie chwile skazańca powinny wyglądać zupełnie inaczej — wspomnienia osobiste, rodzinne, może próby szukania protekcji w zaświatach? Przypomniała mu się zabawna anegdotka o świętym Piotrze, kluczniku niebieskim. Nie zdzierzył i... parsknął śmiechem, aż zaniepokojony wartownik pochylił się nad nim. Aleksander ujrzał

wpatrzone w siebie czujnie błyszczące oczy i naszła go straszna ochota, aby chwycić tego drania za gardło, wyrwać mu karabin i zginąć z honorem, w walce, jak przystoi marynarzowi i Polakowi. Ba, ale jak pozbyć się więzów? Chwila wesołości minęła i znów zaczęła drążyć mózg natrętna myśl o... życiu. Ja muszę żyć! Muszę! — postanowił. — Jestem przecież potrzebny. Nowa Polska powstanie... Sami ją wywalczymy! I to taką, w której dla nikogo nie zbraknie pracy i chleba. Muszę żyć, aby o nią walczyć, muszę, muszę! Ale... co tu zrobić? Przecież jutro zabiją mnie ci przekłęci Japończycy. Wymordowali tylu naszych, co dla nich znaczy jeden więcej? Nic, pestka... Cholera, więc naprawdę mam umrzeć? Chyba jednak tak, bo... kto mi pomoże? Tanaka? Gdyby przypomniał sobie Osałę, pierwszy by mnie zastrzelił. Właśnie dlatego nie przyznałem się, że jestem Polakiem, żeby mnie za wcześniej nie poznał. Więc co zrobić? Liczyć na cud? Mocno to niepewne. Wprawdzie Chrystus chodził podobno po wzburzonych falach i cała Biblia pełna jest niewiarygodnych opowieści, ale dziś to się już nie zdarza. A gdyby tak jeszcze raz... — czepiał się rozpaczliwie cienia nadziei. — Boże, jeśli istniejesz, pomóż mi, spraw, abym ocalał, wtedy ślubuję ci... — gorączkowo rozmyślał, co by tu Stwórcy obiecać, ale wydało mu się to dziecinne i niepoważne. Chyba sprzymierzę się z diabłem jak Twardowski, a potem jak on się wykpię. Lucy z powodzeniem odegra panią Twardowską. I jak jeszcze! Ta dałaby radę choćby stu diabłom, a jeszcze jakby jej pomogła Betsy, to hoho! — uśmiechnął się cierpko. Ale diabeł nie wie, czemu sko-

191

jarzył mu się z Tanaką, więc sojusz z nim odpadł z przyczyn zasadniczych.

Z tych rozmyślań wyrwał go odgłos grzmotu. Dopiero teraz spostrzegł, że stało się strasznie parno. Z trudem oddychał, zaczęło mu dokuczać pragnienie. Jeśli lunie deszcz, napije się przynajmniej do syta.

Nadciągająca burza wydała mu się konsekwencją poprzednich rozmyślań, czymś nieznanym, niosącym za sobą nadzieję.

Do ogniska ktoś podchodził, bo wartownik poruszył się niespokojnie i dorzucił liści. W rozbłysku światła pojawiła się twarz Ta-naki.

Oficer pochylił się nad Aleksandrem. Błaski ognia igrały na guzikach jego munduru, i dystynkcjach, a na twarzy wywoływały istny teatr cieni. Lśniły drapieźnie wyszczerzone zęby, oczy rzucały groźne błyski. Aleksander aż zatrząsł się ze zdziwienia, kiedy ten spytał go najczystszą angielszczyzną:

— Skąd ja cię znam?

Chciałbyś to wiedzieć, drabie jeden — pomyślał — ale się figę dowiesz... — I roześmiewszy się wzgardliwie, całym wysiłkiem mięśni obrócił się na brzuch, wypinając się na Ta-nakę.

Japończyk w pierwszej chwili oniemiał, potem zaczął krzyżeć, tupać nogami, w końcu kopnął go z całej siły, a że wywołało to u skazańca tylko ryk śmiechu, zdumiony prześladowca, mamrocząc coś wściekle pod nosem, zamasyżuje odmaszerował. — Czeka, wystawię ja ci za to rachunek — wyszeptał więzień, ale zaraz się zreflektował, no bo rzeczywiście —> w jaki sposób pomści swoje krzywdy?

Ulewa spadła na obóz znienacka, zwyczajem

192

wszystkich ulew w tropikach. Po prostu lunęło z nieba i lało się przez kilkanaście minut. Ognisko zgasło, w ciemnościach słychać było tylko szum i plusk wody. Aleksander chłonał całym ciałem ożywczy deszcz, woda wdzierła mu się do gardła, uszu, oczu, spływała w fałdy ubrania. A deszczu wciąż przybywało i wkrótce niecka, w której leżał, zapełniła się niemal po wierzch. Przestraszył się. Czyżbym miał utonąć w tej przysłowiowej łyżce wody? Nikt się nim nie interesował. Wartownik zakrzyczał chrapliwie kilkakrotnie, z liściastych chatynek wybiegli ludzie i dalejże łąpać żyjeiodajny płyn, w co kto mógł. Wysepka nie miała własnych źródeł, słodka woda była tu rarytasem, więc każdy z Japończyków chciał zagarnąć jak najwięcej tej niespodziewanej manny. W świetle latarek elektrycznych krążyli po polanie jak świetliki, wychwytyując wodę w kanistry, bańki, garnki, a nawet w hełmy i wszelkiego rodzaju brezentowe pokrowce. Wartownik gorliwie pomagał swoim kolegom...

A wody wciąż i wciąż przybywało. Aleksander dławił się nią, z trudem utrzymując głowę ponad powierzchnią bajorka, w którym leżał bezwładny jak kłoda. To było straszne. Czyżby taką mu śmierć pisano? Miał zginąć utopiony jak najmarniejszy ze szcurów? Zaczął rozpaczliwie targać więzy i zdumiał się. Sznury, które dotąd boleśnie wrzynały mu się w ciało, po nasiąknięciu wodą przestały dokuczać. Krótki błysk nadziei. A nuż się uda? Dobrnął czołganiem na skraj niecki, wydzwignął nogi na krawędź skały i naprężwszy mięśnie brzucha, próbował wypełznąć z tej wodnej topieli. Zaczepił noskami

Synowie marnotrawni

193

gumowych butów o porośły mchem koralowy występ i szarpnął, podkurczywszy kolana, a ramionami usiłując podbić się w górę. Ale próba spełzała na niczym. Z szerokich cholew woda chlusnęła mu prosto w twarz. Włożywszy w próbę zbyt wiele wysiłku, poleciał do tyłu i na powrót chlupnął w bajoro jak śliwka w kompot. Prychając wodą, otrzeźwiał. Wydało mu się, że stracił zmysły i śni o czymś, co w jego warunkach graniczyło jeśli nie z upragnionym cudem, to w każdym razie z działalnością sił nadprzyrodzonych. Jego gumiaki zostały tam, na krawędzi niecki skalnej, wraz z więzami jako świadectwo lekkomyślności i niedbalstwa Japończyków. Chlu-począca w nich woda spełniła rolę doskonałego smaru, dzięki czemu zeszyły z nóg prawie bez oporu.

— Czary, jak Boga kocham — dławił się szczęściem i wodą Aleksander. Reszta poszła gładko i szybko. Wyszukał ostrą krawędź i nuże trzeć o nią więzami krępującymi ręce. Nic to, że wraz ze sznurem ciął do krwi własne ciało — radość z niespodziewanej wolności przyćmiewała ból.

Nareszcie... Pokonując drętwołę mięśni, chyłkiem uskoczył w zarośla, nie oglądając się za siebie. Siedemdziesiąt jeden procent powierzchni Ziemi to woda, a woda zawsze łaskawa dla marynarzy — pomyślał bez ładu i składu. Wodzie zawdzięczał ocalenie, a... komu wodę? Bogu czy diabłu? Kto sprowadził ten deszcz? Przypadek to czy przeznaczenie? A może sprawiły to modły matki albo gorąca miłość Lucy? Chyba nie jest czarownicą? — pomyślał zaniepokojony. Biegł teraz po omacku w górę, w

głęb palmowego lasu,

194

był dalej, ku zaroślom gęsto porastającym szczyt. Ulewa okazała się jego wspomniałym sojusznikiem, znikł jak człowiek-widmo. Po kilkunastu minutach szaleńczego biegu, kiedy nogi sflaczały mu zupełnie, musiał zwolnić. I wtedy właśnie usłyszał wystrzał. Pewnie spostrzegli moją ucieczkę — zestrachał się. — Ale mogą mnie teraz pocałować. Będą szukać jak igły w stogu siana — ucieszył się złośliwie.

Był naprawdę wolny. Uszczypnął się boleśnie w policzek, chcąc ostatecznie sprawdzić, czy to nie senne marzenie, i dalej piął się w górę. Jeszcze trochę... jeszcze... byle osiągnąć zbawczą linię krzewów. Dopiero kiedy zwarta ściana mokrej zieleni zamknęła się za nim, odetchnął z ulgą. Poczłł ogromne znużenie. Najchętniej rozciągnąłby się w strugach tego deszczu i spał ze dwanaście godzin. Wysiłkiem woli przemógł jednak zmęczenie i powlókł się dalej, potykając się co chwila, biczowany po twarzy gałązkami krzewów, co jednocześnie, zadając ból, trzeźwiły. Bose stopy, krwawiąc, sprawiały nieznośne cierpienie dopiero teraz, kiedy minęło podniecenie ucieczką. Gorączkowo wypatrywał miejsca, gdzie mógłby spocząć. Wreszcie ujrzał, bo ulewa urwała się równie nagle, jak się zaczęła, a ustępujące chmury odsłoniły lśniącą srebrem pyzatą twarz księżyca i ciemny wlot do jakiejś skalistej pieczary. Uspokojony przystanął. Mokre liście palm lśniły jak pokryte diamentami, leciuteńki wietrzyk igrał nimi, cicho szemrały spływające w dół strumyki. Nawet ów nieznany ptak ponownie pohukiwał...

Aleksander odetchnął pełną piersią. Był

195

wolny. Co za cudowne uczucie! Z bo jaźnią zajrzał w ciemną czeluść pieczary, ale po rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” bał się zapuścić w jej głąb, do tego jeszcze bosy. ; Siadł więc u wejścia, żeby pomyśleć co dalej i... zapadł w kamienny sen.

Obudził się gwałtownie. Leżał wyciągnięty aa całą długość w samym wejściu pieczary i zupełnie nie pojmował, skąd się tam wziął. W końcu, uświadomiwszy sobie swoją pozałowania godną sytuację, zerwał się. Ale dokoła panował spokój. Kwiaty hibiskusa pachniały odurzająco, a skryte w gęszczy ptaki wyśpiewywały swoje trele. Co za rozkosz! Padłszy aa murawę, przyknął oczy i oddał się marzeniom. A więc umknął swym prześladowcom i oto teraz przyjdzie mu żyć na tej wyspie jak Robinsonowi Crusoe. Zamiast ciemnoskórych ludożerców zagrażają mu ci współcześni, cywilizowani, z pewnością gorsi od tamtych. Właściwie powinni go« już chyba zacząć poszukiwać. Do licha! Trzeba uciekać dalej, na drugą stronę góry. Tylko... jak? Stopy poranione, bolące, w strupach krwi i błota — nie można polegać na nich jak na Zawiszy.

— A tom się urządził — jęknął. — Co za dureń ze mnie! W pośpiechu na śmierć zapomniałem o butach. Trzeba sobie zrobić przynajmniej jakieś łapcie.

Rozejrzał się wokół. Na widok ciężkich gron orzechów poczuł się strasznie słabiutko, tak go zassało w brzuchu. Wdrapać się na wierzchołek palmy nie miał sił, nawet nie myślał próbować. Na szczęście niedawna nawałnica nie ominęła i tego miejsca — Aleksander ujrzał pod palmami strącone kokosy, nie

całkiem jeszcze dojrzałe, wielkości ludzkiej

198

głowy, walające się bez żadnego poszanowania dla swojej wartości. Już dobierały się do nich gromadki krabów. Obowiązywało prawo silniejszego, więc bezlitośnie przegnał to tałałajstwo i z miną cezara wybrał sobie dwa największe.

__Przydałby się jakiś dziadek do orzechów — roześmiał się głośno. Miał dziś humor, nie ma co. Pochwycił odłamek skały, rozwalił nim wierzch skorupy, chciwie wypił słodkie mleczko i żarłocznie wyjadł miąższ. Z drugim owocem uporał się w tym samym tempie, dwa następne znikły już trochę wolniej, a z piątego zrobił sobie deser. Pokrzepiony obmył się w kałuży i opatrzył stopy, bandażując je strzępami koszuli. Nie mając zaufania do groty, zostawił ją i powlókł się w stronę szczytu. Im wyżej, tym było piękniej. Seledynowy przestwór oceanu opalizował w porannych mgiełkach, a przetykana różnobarwnym kwieciami zielenią oszałamiała swoją soczystością. Próbował spojrzeć w kierunku obozowiska Japończyków, ale zupełnie stracił orientację i w którą bądź stronę się zwrócił, mógłby przysiąc, że tam właśnie ono było. Zastanawiał się, co teraz robi Tanaka. Ucieczka wydała się pysznym psikusem, wyrządzonym temu skośnookiemu piratowi. Po dłuższej penetracji terenu odszukał wzrokiem daleko w dole prawdopodobne miejsce, z którego umknął Japończykom. Spostrzegł, że zaczyna się tam dziać coś niedobrego. Jego niepokój wciąż potężniał, ale przemógłszy chęć natychmiastowej ucieczki, wpatrzył się aż do bólu żrenic w ową zieloną terra incognita i dojrzał wreszcie to, czego się obawiał — drobne sylwetki uzbrojonych ludzi wytrwale

197

drapiące się w górę. Strach jakby zlokalizował się, przecucie nieznanego niebezpieczeństwa ustąpiło pełnej świadomości tego, co mu grozi.

Polowanie z nagonką — skonstatował z uśmiechem. — No to wiejemy, panie Aleksandrze! Zobaczymy, kto lepszy. — Uczucie nienawiści jakby odeszło na dalszy plan. Postanowił traktować swoich prześladowców jako rywali sportowych w wyścigu, którego główną nagrodą było jego życie. Ale skończyło się to tylko na dobrych chęciach, bo zwierzyzna — niestety — nie może serdecznie traktować swoich łowców.

— Gównu mnie złapiecie! — krzyknął dla dodania sobie otuchy i ruszył na szczyt. Wyszedł w końcu na płaską polanę, pełną zwalonych huraganem palmowych pni, liści i walających się orzechów, przebył ją błyskawicznie i za chwilę był już na szczycie, a właściwie pierwszym jego wierzchołku. — ¡ Uf! — odetchnął i naraz przypadł plackiem do ziemi, zorientowawszy się, że może być stąd doskonale widoczny przez Japończyków.

Widział ich. Posuwali się szybko szerokim półkołem, by w ten sposób uniemożliwić mu ewentualne wyminięcie łańcucha obławy i przyprzeć do przepaści. Teraz dopiero się o tym przekonał — przepaść rozdzielała oba wierzchołki szczytu. Ale był i most, jeśli tak można nazwać wąską grań, szerokości mniej więcej stopy i długą na jakieś pięćdziesiąt jardów. Po obu stronach tej drogi do nieba ziała czeluść

głęboka na sto stóp. Czas naglił, więc nie zastanawiając się, Aleksander ruszył naprzód. Stąpał wolno, płochliwie zerkając na ścieżynę, która paskudnie wydłużała

198

się. Tylko na nią, za żadne skarby na boki, bo mógłby go całkiem opuścić animusz. W normalnych warunkach pewnie cofnąłby się przed tą przeprawą nad przepaścią, a w każdym razie1 robiłby to dużo ostrożniej niż teraz. Mając do wyboru młot i kowadło, rwał do przodu jak linoskoczek, któremu złośliwy żartowniś groził odcięciem liny. Strach przed pogonią silniejszy był niż przed upadkiem w przepaść. Zbawcza gęstwina krzewów, porastająca drugi wierzchołek, była coraz bliżej, gdy wtem dojrzał coś, co sparaliżowało mu ruchy. Pośrodku grani widniała szczelina, a za nią głaz długi na dziesięć stóp, ledwie utrzymujący się przed runięciem w dół...

Cholera! I co teraz? — myśli kłębiły się w czaszce jak węże Laokoona, a pomysły wyprzedzały się nawzajem. Odwrotu nie było. Co robić? Przeskoczyć? Nie, to zbyt ryzykowne. Więc wracać?

Pomysły przychodzą znienacka, zwłaszcza w takich okolicznościach... Cofnął się, wybiegł na polanę, omiótł ją jednym spojrzeniem i z duszą na ramieniu — bo a nuż pojawią się Japończycy? — wyszukał wśród zwalonych pni jeden, dość giętki i wiotki, długi na trzy, cztery metry. Dźwignął go, choć omal nie wyrwało mu przy tym wnętrzości, i ciężko postępując, niczym baśniowy Wyrwidąb wstąpił ponownie na grań. Skąd wziął tyle sił — nigdy potem nie mógł dociec. Niemal jak wytrawny akrobata nasunął kłodę na chwiejący się głaz. Wykonał tę pracę już bez lęku, gdyż poczuł się jak za dawnych szkolnych, peesemowskich lat, kiedy to refował żagle na „darowskich” rejach. Choć na wszelki wypadek starał się nie patrzeć w dół, nie

199

mógł nie poklepać zmurszałego kamienia, gdy czołgając się po szorstkim pniu, przebywał najbardziej zdradziecki odcinek.

— He, he, staruszk, moje na wierzchu, ale nie rozpaczaj, dostaniesz swoją daninę. Zobaczysz, jaka będzie uciecha.

Wstał wreszcie, odetchnął głęboko, wstrzymał chęć zwalenia pnia w przepaść — bo mógł się okazać jeszcze potrzebny — i prawie biegiem przebył końcowy odcinek. Dopiero ustaliwszy trasę dalszej ucieczki, zawrócił, zwałił pień i zadowolony z siebie przykucnął, aby odsapnąć, bo siły go opuściły i przed oczyma wirowały świetliste spirale.

Nie zauważył schodzących z wierzchołka myśliwych ze skośnymi oczami. Dopiero na głośny krzyk jednego z nich porwał się i pognał w stronę zarośli. Huknęły strzały, jeden z pocisków smagnął go po gołym ramieniu, aż zawył z bólu. Zarośla kłuły dotkliwie, lecz przedzierał się przez nie zawzięcie. No, chyba dosyć! Ciekawość przemogła bo jaźń, więc znów podsunął się pod skraj przepaści i ostrożnie rozchylił liście. Jego prześladowcy weszli na grań. Pierwszy sunął niski, krępy bosman z przewieszonym przez pierś pistoletem maszynowym, za nim pięciu innych. Dwóch pozostało jako ubezpieczenie po drugiej stronie przejścia. Bosman kroczył powoli, nieustannie zerkając pod stopy. Był już w połowie

drogi. Za chwilę prawdopodobnie dojrzy obłuzowany głaz. Nie wolno do tego dopuścić. Kilku japońców na dnie tej czeluści dobrze by mi zrobiło, a Brown pewnie tam w niebie skakałby z radości! — pomyślał mściwie. Poderwał się raptownie i łamiąc w pędzie krzaki, jak deus ex machina wyskoczył na ścieżkę z okrzykiem;

200

— Hej, pieski, do nogi! Do nogi!

Japończycy na ten widok przystanęli, wydali gromki okrzyk i biegiem rzucili się w jego stronę. Aleksander wykonał rękami obelżywy gest („tu babcia koszyk nosi”) i wpadł w zarośla pełen niepokoju, czy aby głaz jest dostatecznie obłuzowany, żeby runąć. Ale głośny rumor, który właśnie nastąpił, i krzyk wyjaśniły sytuację. W porządku! Zaraz też rozpętała się gwałtowna strzelanina. Pociski ze świstem cięły gałęzie krzewów. Skulony, z duszą na ramieniu, ale z radością w sercu Aleksander odskoczył w bok, padł i zastanawiał się, co robić dalej. Wdrapywać się na szczyt byłoby szaleństwem — na nagim wierzchołku zostałby naszpikowany ołowiem. Należało obejść go poboczem, ale przedtem trzeba jeszcze rzucić choć jedno spojrzenie na swoje dzieło. O tak! Przez rozchylone gałęzie widać w grani okazałą wyrwę, a poza nią — skonsternowanych prześladowców, wycofujących się i z rzadka już teraz wysyłających na oślep pociski między krze. Myny mieli nietęgę, nie bardzo wiedzieli, jak z tego wszystkiego wybrnąć. Aleksander z satysfakcją stwierdził, że brakuje wśród nich krępego bosmana — pewnie łączył się właśnie z duchami przodków. Na razie więc polowanie przynosiło nagonce tylko straty.

Chcąc jeszcze bardziej pognębić i rozwścieczyć swych prześladowców, zebrał kilka kamieni i z wielkim rozmachem jął przerzucać je na tamtą stronę. Odpowiedziano strzałami, lecz Aleksander, cieszący się jak małe dziecko z wyrządzonego komuś psikusa, mknął już przed siebie po zboczu. Krzewy na przemian gęstniały, to przerzedzały się, aż wreszcie do-

201

tarł do skraju lasu palmowego. Zmęczony siadł, dysząc jak zgoniony pies, bo ileż może wytrzymać przeciętny śmiertelnik, nawet jeśli strach dodaje mu siły? Słońce stało w zenicie, zaczynało robić się gorąco i upał dodatkowo odbierał siły. Za kilkanaście minut, może za pół godziny, Japończycy mogli się pojawić znowu, zależnie od tego, jak szybko sforsują grań albo jakieś inne przejście, o którym nie wiedział. Należało uciekać dalej, aż na kraniec wyspy.

Wyczerpany organizm domagał się pić. Aby go oszukać, Aleksander zerwał nieco liści i zaczął żuć. Były kwaśne — przyniosło mu to chwilową ulgę. Wstał i pokonując nieludzkie zmęczenie, zagłębił się w las. Trzeba było wyszukać jakąś kryjówkę i zaszyć się w niej choćby tylko do zmroku, a w nocy obmyśli coś lepszego.

Pośród palm panował orzeźwiający chłód. Jakiś nieznaną ptak (skąd ich tu tyle? — dziwował się Aleksander) śpiewał swoje wwiercające się w uszy trele. Szedł coraz szybciej, byle przebyć ten las i wyjść na wysoką falezę brzegu. Spodziewał się, że znajdzie tam jakąś grotę, w której mógłby się ukryć. Zmienił też kierunek marszu, gdyż wydało mu się, że faleza wznosi się bardziej na północ.

Po kilkunastu minutach las się skończył. Aleksander wyszedł na zakrzewioną polanę. Tu przystanął i właśnie ją rozmyślał, którędy udać się dalej, gdy naraz huknął strzał i kula z głośnym plaśnięciem wbiła się w najbliższy pień, aż drzewo zadrżało. Runął jak długi, a że więcej nie strzelano, poderwał się i pognał wielkimi skokami, padając i znów się podnosząc. Biegł, aż zbrakło mu tchu, potem-^

202

niało w oczach, w skroniach biło młotami, a serce grzmociło jak działko szybkostrzelne. Wtedy wtulił głowę w trawy i postanowił już się nie podnosić, jako że ścięło go w kolanach niby kosą. Koniec! Koniec! Koniec! — tłukło się rozpaczliwie po głowie.

Powoli wracała przytomność i siły. Łykał wielkimi haustami powietrze, rozmyślając, jak to się stało, że jego prześladowcy tak szybko przedostali się przez grań. Muszę wiać chyba w tamtą stronę, — ustalił, z trudem dźwigając zmęczone ciało. Niebo jakby zaczynało się chmurzyć, coraz wyraźniej dobiegał szum fal — nieomylny znak, że kraniec wyspy tuż tuż. Las kończył się, drzewa rzedniały, tylko krzewów było dość dużo, karłowatych i rzadkich, za którymi, leżąc, można się było skryć. Błysnęła tafla wód — przecież to Pan Ocean!

— Thalassa! Thalassa! — chciał zakrzyknąć nasz bohater jak wojacy Ksenofonta, ale o ile dla nich widok ten zapowiadał kres udręki, jemu zwiastował dopiero jej początek. Bo co teraz może zrobić? Dokąd uciekać? Ostrożnie przybliżył się do krawędzi i spojrzał pod nogi. Znajdował się na falezie stromo opadającej w dół, na około sto pięćdziesiąt stóp. U jej podnóża fale rozpryskiwały się z hukiem o kamienie. Japończycy mogli pojawić się lada chwila, a wtedy znalazłby się w sytuacji uchwyconego w ogniowy pierścień skorpiona, ruszył więc skrajem falez na południe. Zląkł się> gdy spod stóp wystrzeliły mu w górę dwie fregaty. Widocznie uwiły tu gdzieś gniazdo. Nie miał czasu, aby je odszukać i pokrzepić się jajami, zresztą, podniecony pogonią i ucieczką, nie odczuwał głodu.

Obejrzał się i... upadł, odczołgując się za

203

najbliższy krzew. Do diabła! Z lasu wychodził patrol japoński, a bardziej w lewo — drugi. — O rany! — jęknął. Na zimno, błyskawicznie skalkulował swoje szanse. Pierwsza możliwość to poddać się lub dać zastrzelić, co było jednoznaczne. Druga — skoczyć w dół, a więc. samobójstwo. Trzecia — sforsować falezę. Alą jak? Gdyby tak mieć skrzydła... Ale nie był Ikarem.

Doczołgał się do skraju) i spojrzał w dół. Bardziej w prawo widać było... ależ tak, coś jakby ścieżynkę, ginącą wśród bloków koralowca oraz porastających je krzaczków i kępek traw. Ścieżynkę tak wąską, że można ją było uważać raczej za uskok skalny. Nie ma rady, trzeba ryzykować! Wprawdzie upadek w dół oznaczał dokładnie to samo co kula japońska, ale tonący brzytwy się chwyta. A on miał iskierkę nadziei, tedy pochwycił ją jak szaleniec, nie bacząc, że może zgasnąć mu w rękach.

Nie było czasu do stracenia, bo już go dojrzeli. Przerzucił więc nogi przez krawędź i ostrożnie stanął na zrębie, rękami chwytając się wypukłości skalnych. Pierwszy odcinek, najszerszy, przebył stosunkowo łatwo. Przylegając, a raczej przytrzymując się plecami skały, czuł jej wszystkie nierówności i ostre kanty.

Szedł wolno, stopa za stopą, niczym Hannibalowy stoń forsujący Alpy, starając się dotrzeć za wszelką cenę do wielkiego występu skalnego, pod którym nikła ścieżyna. Ochroniłby go on przed ostrzałem z góry, gdyż według obliczeń Aleksandra ścigający powinni właśnie dochodzić do krawędzi. Odetchnął z ulgą, gdy osiągnął tę wielką niczym wrzód narośl. Pod nią znalazł rozpadlinę, wy-

204

kuś czy po prostu półkę skalną. Przykucnąwszy tam, mógł się od biedy nawet przespać. Uspokojony pozwolił sobie teraz na spojrzenie w przepaść. Kamienista plaża zdawała się jak magnes przyciągać go do siebie, aż z trudem przemógł chęć skoczenia w dół. Kilkanaście sekund i byłoby po wszystkim, pozbyłby się wszelkich zmartwień i trosk. Głośno przetknął ślinę. Znów przypomniał sobie „Dar Pomorza”. Tam też niekiedy w czasie reflowania żagli, stojąc na percie, kiedy zerknął w dół, miał takie głupie chętki. Ale głos starszego oficera przywoływał go zawsze do porządku. Tu starszego oficera zastąpił głos sumienia.

To byłoby najłatwiejsze — pomyślał — ale okazałbym się tchórzem. Trzeba walczyć do końca! Jak już ginąć, to w walce albo kiedy wszystko zawiedzie — mięśnie, głowa, ręce i nogi. Do stu tysięcy diabłów! Jestem wszak polskim marynarzem! Ten nadużywany frazes jakoś go pokrzepił. Partię rozgrywać trzeba było dalej...

Ostrożniutko wysunął głowę i spojrzał w górę. Zza krawędzi falezy wyglądało kilka głów, uważnie gapiących się w dół. Nikt nawet nie próbował forsować ścieżki. Nie trwało to długo — jeden z Japończyków dojrzał go i wskazując palcem, zaczął wydawać gardłowe okrzyki, potem wystrzelił. Kuła śpiewnie zrykoszetowała, syjąc odpryskami koralowca. Inni poszli w ślady kolegi, starając się zająć jak najkorzystniejsze miejsce do prowadzenia ognia, ale głąz chronił skutecznie przed śmiercią-C13- Grzechot młócących wściekle pocisków i _gniewne pokrzykiwania strzelców kojarzyły się z jakąś obłądną litanią. Tropionemu nie

205

pozostało nic innego jak siedzieć w swoim schowku i czekać, aż napastnikom wyczerpie się amunicja. Widocznie nie mieli jej za dużo, bo wszystko urwało się nagle. Po ogniowej nawale cisza przeraźliwie zadzwoniła w uszach.

Co oni zamierzają? — zastanawiał się Aleksander. — Co ja zrobiłbym w tej sytuacji? Gdybym miał linę... No tak, pewnie spuszczą mi tu któregoś na głowę. Ruszając w pogoń, na pewno przygotowali się na takie niespodzianki. Dlatego tak szybko sforsowali grań — domyślał się. Na wszelki wypadek postanowił być gotowy na takie odwiedziny. Rozejrzał się po swoim wykuszu. Niektóre złomy skalne wydawały się jakby rozluźnione. Schwycił na próbę jeden i mocno szarpnąwszy, wyrwał okruch o wadze dobrych pięciu funtów. Doskonałe do obrony — skonstatował.

Sprężył się w sobie, nasłuchując. Z góry po okresie ciszy zaczęły dobiegać jakieś rytmiczne pokrzykiwania. Było oczywiste, że kogoś opuszczali na linie. Aleksander mocniej ścisnął kamień i zastygł w oczekiwaniu. Jakże dłużył się ten czas.

Wreszcie — alarm bojowy! Zdawało mu się, że ten drań jest już całkiem blisko. Wysunął głowę i... dojrzał

dwie majtające się nogi. Japończyk szukał dogodnego miejsca, żeby je oprzeć. W końcu stanął na narośli i wołał coś w górę do swoich, pewnie żeby mu poluzowali linę, a może coś innego, w każdym razie czuł się bezpiecznie i to go zgubiło. Aleksander wychynął z ukrycia i z całej mocy trzasnął jedną z tych nóg w piszczel. Niespodziewany ból spowodował, że wyznawca bogini Amateracu podskoczył i przy zbyt wyluzowanej linie runął w dół. Daleko nie poleciał,

206

bo lina działała hamująco, ale wstrząs pozbawił go na chwilę pełnej sprawności. Aleksander porwał go za dekolt bluzy, przyciągnął do siebie. Dojrzał przerażenie na twarzy tamtego. Uderzył. Raz, drugi, aż trysnęła krew. Japończyk ostonił się dłońmi, więc bił po tych dłoniach, machinalnie uderzał, cofał rękę dla wzięcia zamachu i znów uderzał. Przypominał w tym dzikie zwierzę, zapędzone w matnię i broniące się instynktownie, brutalnie, bez odrobiny litości. Jego ofiara krzyczała coś, czego nie rozumiał. Tłukł bez opamiętania, aż zwiśla bezwładnie. Wtedy przestał, chwycił za kołnierz i wciągnął do wykuszu. Spostrzegłszy za pasem długi, szeroki bagnet — prawdopodobnie narzędzie, którym miano mu zadać śmierć — ucieszył się. Wreszcie zdobył broń. Ścisnął linę, do której przywiązany był jego jeniec, zaparł się nogami i zaczął ciągnąć ku sobie. A że tamci na górze! również ją chcieli wybrać, po pewnym oporze, bojąc się, aby go nie przemogli i nie wyciągnęli jak borsuka z nory, przeciął bagnetem.

Nieprzytomnego Japończyka początkowo zamierzał zepchnąć ze skały, lecz po namyśle zrezygnował. Kucnął przy nim i ze wstrętem przyglądał się. Nie usiłował zbadać, czy jeszcze żyje — odczuwał tylko nienawiść, kiedy tak uzbrojony w bagnet oczekiwał wizyty następnego. Ale nikt się nie zjawiał, pewnie chcieli „wziąć go na wytrzymałość”, dlatego z upływem czasu samopoczucie bestii opuszczało go. Nie potrafił już beznamiętnie patrzeć na zmasakrowaną głowę, zaczęła budzić się w nim litość.

— Boże, co ja zrobiłem! — westchnął. — Jak łatwo pozbyć się powłoki cywilizacji

207

i przybrać postać mister Hyde'a. — Przetarł czoło, jakby chciał zetrzeć ten obraz z tablicy swojej świadomości, ale przekonany był, że to daremne. Na długo zachowa go w pamięci. Ja jego... Bo inaczej on mnie... Tak trzeba było!

Wciąż czekał i ta beczynność była najgorsza. Nie mógł ruszać dalej, aby nie zostać zastrzelonym, a przebywanie z półżywym czy też z półmartwym Japończykiem, na którym prawie siedział z powodu ciasnoty, stawało się nie do zniesienia. Czuł, że oszaleje, jeśli nie będzie miał pewności, że tamten nie żyje. Obcowanie ze zmarłym wrogiem wydało mu się bardziej bezpieczne, podczas gdy półżywy to zawsze wyrzut sumienia i mimo wszystko potencjalny przeciwnik. Choć to ostatnie było tylko prawdopodobne.

Wreszcie nie wytrzymał, schwycił nieszczęśnika za gardło i powoli wysunął głowę naprzód. „Nie rób tego! — ostrzegał głos wewnętrzny. — W ten sposób go zabijasz!” „Muszę, muszę! — usprawiedliwiał się. — Sprawdzam, czy tam, na górze, jeszcze pilnują...” „Morderca!” „Nie, nie! Ja się tylko bronię, naprawdę...”

Huk wystrzału przerwał ten pojedynek z sumieniem. „A słowo stało się ciałem...” Prawa skroń Japończyka buchała świeżą czerwienią...

— Dobrze pilnują sukinsyny. A tobie dziękuję, ocaliłeś mnie. Co za paradoks: Japończyk ocalił mi życie! — I zarechotał bezmyślnie. Po chwili przerwał zdumiony i przerażony: — Co za bydlę ze mnie! Czy kto inny w mojej sytuacji by tak postąpił?

Przemozna chęć zrzucenia trupa przezwycię-

208

żona została trzeźwą kalkulacją: najpierw ob-szukać go. To, co nie przyda się już umarłemu, może wybawić z opresji żywego. Kilka małych fajek, wyblakła fotografia, przedstawiająca grupę ludzi, jakieś dokumenty, mały woreczek z prażonym ryżem, pakiet opatrunkowy, wieczne pióro i kieszonkowa latarka--paluszek — to było całe żołnierskie bogactwo. Pantofle marynarza były za małe i z żalem je zostawił. Natomiast znalezionym pakietem opatrzył sobie stopy, a następnie owinął podartą bluzę. Włożył też na siebie pas z szeroką klamrą. To było wszystko, co zabrał zabitemu. Potem rozpruł woreczek i łapczywie wyjadł ryż do ostatniego ziarenka. Pokrzepiony zapadł w półdrzemkę lub też śnił na jawie. Wiedział, że nie powinien spać, całym wysiłkiem woli zmuszał się, aby otworzyć oczy, lecz nie był w stanie nawet poruszyć się, choć dobrze wiedział, że gdyby teraz zjawili się Japończycy, wybraliby go gołymi rękami. Ocknął się wreszcie i rozejrzał dokoła. Zapadał zmierzch. Ocean zszarzał, a ścieżyna ginęła już w mrokach nadciągającej nocy. Cholera, chyba przyjdzie mi tu nocować — zafrasował sv?. — A rano zdejmą mnie stąd lub poszatkują kulami tam z- dołu, z plaży. Spróbuję nawiać. I ty mi w tym pomożesz —< zwrócił się do zabitego.

Odczekał, aż się dobrze zmroczyło.

Ciemność ośmieliła go, choć nie pozbawiła uczucia strachu. Z dwu rzeczy był zadowolony; nie odczuwał już lęku przestrzeni, bo nic pod sobą nie widział, a i widoczność była tak niewielka, że nie ulegało wątpliwości, iż jego prześladowcy nic nie dojrzą. Żeby jednak pewność była stuprocentowa, Aleksander mu-

M — Synowie marnotrawni

209

siał odegrać małą mistyfikację. Pokonując bo-jaźń, wyrzał spod okapu. Krawędź falez rysowała się ostro na tle nieba. Świeciły już nieśmiało pierwsze gwiazdy, lecz księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Aleksander przycisnął się do ściany i stał tak, czekając, potem zniecierpliwiony zaczął pukać w skałę trzonkiem bagnetu tak długo, aż ocknęli się ci na górze. Usłyszał dziarskie okrzyki, błysnęły latarki, ale ich światło nie docierało do niego, a potem gruchnęło kilka wystrzałów.

— Teraz ty, przyjacielu. A spisz się dobrze... — Wydzwignął i cisnął z rozmachem ciało w przepaść, sam natomiast wrzasnął przeraźliwie, odpowiednio modulując głos. Nigdy nie przypuszczał, że spadający

nieboszczyk może wywołać tyle hałasu co ten. Z góry coś zakrzyczano, a przycupnięty Aleksander gorączkowo rozmyślał, czy fortel chwycił, czy też przejrzeni jego plan.

Wrzawa na górze stopniowo ucichła i Aleksander, stawiając wszystko na jedną kartę, spróbował szczęścia. Wysunął się ze swej nory i znieruchomiał, nasłuchując. Wokół panowała noc, szumiały rozbijające się o kamienistą plażę fale.

Po omacku, cisnąc plecami skałę, ruszył i brnął wciąż dalej i dalej, niemal centymetr po centymetrze, tą napowietrzną ścieżką. Początkowo widoczny ciemny kształt okapu wkrótce znikł mu z oczu, a on szedł ciągle naprzód, przerywając ten potępieńczy marsz krótkimi chwilami odpoczynku. Zatrzymywał się wtedy, słuchając z niepokojem tego, co działo się tam, na górze. W końcu utwierdził się w przekonaniu, że odeszli, bo nie padł

210

żaden strzał ani nie rozległ się żaden okrzyk. Był tak zdenerwowany i zmęczony, że nie miał siły nawet cieszyć się z tego. Teraz pozostał mu tylko jeden wróg — wysokość w sojuszu z nocą. Pot ściekał grubymi kroplami po twarzy, nogi drżały z wyczerpania, plecy, zdarte prawie do krwi od ciągłego szorowania po wypukłościach skalnych, piekły jak sto nieszczęść, a w głowie szumiało tak, że chwilami myślał, iż to ocean wtargnął mu do czaszki. I ten przyspieszony oddech... Wydawało mu się, że sapie jak lokomotywa, głośno i świszcząco. Chwilami chciał skoczyć w dół, ale opanowywał się i pełznął dalej jak olbrzymi pająk.

Szedł już bardzo długo, kiedy nagle wyczuł w skale jakąś wnękę. Już miał ją wyminąć, gdy nagle znalazł się bez oparcia pod plecami. Spróbował gwałtownie wyprostować się i niespodziewanie runął z wrzaskiem w tył. Fiknął kozła, uderzył boleśnie potylicą, aż w oczach zamigotała mu konstelacja Krzyża Południa, i... stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył wielką cytrynę księżycą, zaglądającą ciekawie do grotu, na której dnie leżał. Czuł się bardzo osłabiony nie tyle upadkiem, bo spadł z wysokości bardzo niewielkiej, ile poprzednimi przeżyciami, a zwłaszcza tą wędrówką. Dotychczas nerwy utrzymywały go w jakiejś takiej sprawności, obecnie, gdy niebezpieczeństwo minęło, stracił siły i leżał bezwładnie, nie będąc w stanie iść, a nawet powstać. Dopiero jakiś krab-trupojad poderwał go z tego upadku, tnąc potężnie w prawe ramię. Aleksander ryknął z bólu i machnął ręką tak szybko i silnie, że pewnie biedne krabisko nie wyszło cało z tej przygody.

211

Jął gorączkowo szukać po kieszeniach owej latarki elektrycznej, ale nie znalazł. Widocznie wypadła i potoczyła się gdzieś przy upadku. Zdawał sobie sprawę, że bez niej nie spenetruje grotu, ukląkł więc i gmerał rękami po omacku, lecz bez rezultatu. Zdesperowany postanowił iść dalej na wycucie. Zaciśnął dłoń na rękojeści bagnetu i wymacując stopami grunt, ruszył. Już po trzecim kroku nastąpił na coś twardego — widać szczęście go nie opuściło, bo ze zdumieniem podniósł swoją zgubę. Co prawda zgniół ją nieco, ale świeciła. Było to światło słabe, żółtawe, ale zawsze światło. Postanowił użyć jej tylko w razie rzeczywistej potrzeby.

Znów szedł wolno, potykając się o zalegający grotę złom skalny. Korytarz opadał stopniowo w dół i

stopniowo Aleksander przyśpieszał kroku. Ukąszone przez trupojada ramię piekło jak diabli, ale ból powoli rozpraszał się, w czym dopomagał Aleksander, śliniąc obficie to miejsce. Klął przy tym biednego skorupiaka, choć czuł, że ma względem niego dług wdzięczności za postawienie go na nogi. Kiedy minął zakręt korytarza, zarysowała się przed nim dobrze widoczna w ciemnościach jasna plama, zwolnił więc, bacząc się w nią wpatrując. Jednocześnie zauważył, że oddycha mu się lżej, jakby ktoś wpompował do groty potężną porcję świeżego powietrza. Zapalił la-larkę i w jej słabym świetle ujrzał na swej drodze ciemną wyrwę. Ostrożnie podszedł do niej, przykłęknął i spojrzał w dół. Co za wspaniałe powietrze! Aż go oszołomiło. Zorientował się, że jest to komin skalny, który kończył się na samej plaży. W świetle księżycy

212

widział wyraźnie jej jasny krąg, słyszał szum fal. Ściany komina pełne były występów, po których można się było poruszać, tym bardziej że jego średnica była niewielka, chyba ze trzy stopy. Aleksander zgasił latarkę, przeżegnał się i zaczął schodzić, orientując się na ową widniejącą w dole jasną plamę. Była to mordęga przerywana przekleństwami, kiedy uderzał się boleśnie w głowę, kblano czy łokieć, obrzydzeniem — kiedy dotykał gołym ciałem jakiegoś kolczastego czy gąbczastego stworu. Cieszył się, bo jasna plama plaży z każdą chwilą była wyraźniejsza, coraz większa i bliższa.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim komin skończył się i Aleksander wykonał desperacki skok z wysokości... aż siedmiu stóp, rozpryskując kamyki plaży. Podniósł się, jeszcze nie wierząc, że to już koniec wszystkiego, odetchnął pełną piersią, rozkoszując się rześkim powietrzem, potem ziewnął potężnie i przeciągnął się, nadwerężając swój układ kostny. Ale wszędzie królowała ciemność, tylko ocean lśnił księżycowym blaskiem. Uspokojony nieobecnością prześladowców Aleksander nie zwracał już na nic uwagi, zresztą nie miał ani siły, ani ochoty na jakiegokolwiek przedsięwzięcie. Gdyby patrzył uważniej, być może dostrzegłby w dali jeden, a potem drugi żagiel. Były to zdążające ku wyspie szalupy z „Curcummy”. Lecz on wsunął się tylko w jakiś załom skalny i tu natknął się na zniszczony kadłub starej łodzi. Wlaź do niej, wyciągnął się wygodnie i natychmiast zachrapał, me zdążywszy zastanowić się nawet, skąd się ona wzięła na bezludnej wyspie.

213

6. Pojedynku ciąg dalszy i

Kiedy spał smacznie, śniąc o wolności, szalupy z „Curcummy” podeszły do brzegów wyspy. Świt różowił zorzą horyzont i ocean wydawał się rozwartą muszlą perłopławu. Lieutenant Durban, wytrawny obieżyświat, który samotnie odwiedził niejedyn archipelag zagubiony na krańcach świata, nie uląkł się groźnej rafy, odszukał przejście i sforsował je, lądując na kamienistej plaży. Miał zdesperowaną załogę. W czasie tej odysei zmarło mu czterech rannych — pochowano ich w morzu. Pozostała siódemka, dobrze uzbrojona, pomyślnie dokonała desantu. W porannej mgłę nie zauważyli jednak wraku okrętu podwodnego. Podeszli pod falezę, wyciągnęli szalupę na brzeg, zamaskowali ją i rozłożyli biwak. Wyznaczony na wartownika zuchowaty Cormack czujnie wytrzeszczał oczy i wytężał słuch. Ale wokół panowała cisza.

Szalupa lieutenanta commandera Berwicka podeszła do wyspy od strony południowej. I tu lądowanie odbyło się pomyślnie. Wyszli na brzeg i z beztroską ludzi śmiertelnie strudzonych ułożyli się do snu. Wyznaczony — dla przyzwoitości raczej niż z konieczności — wartownik niedbale wpatrywał się w niebo, oczekując niecierpliwie na zmianę. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że od czasu do czasu zerkał bojaźliwie w ciemny gąszcz palmowego lasu. Bojaźń ta wynikała nie tyle z realnej grozy niebezpieczeństwa, ile z dziecięcych obaw przed czymś nieznanym, niematerialnym, co mogło mieć swoją siedzibę na tej bezimiennej, bezludnej wysepce. Tego, że są tu Japończycy, nawet nie przypuszczał.

214

Aleksander ciągle spał. Sen — ta odtrutka, ten odruch bezpieczeństwa organizmu, skutecznie likwidujący jad wczorajszych, iście piekielnych przeżyć — prócz swego uzdrawiającego działania miał również skutki uboczne. Regenerując siły, Aleksander stał się ślepy i głuchy na wszystko, co działo się dookoła. I to na długie godziny. Słońce wzeszło i mozolnie wspinało się na nieboskłon. Durban obudził swoich ludzi i ruszył na spotkanie z Berwickiem, a on spał nieświadomy, że tuż tuż czai się niebezpieczeństwo. Wreszcie instynkt czy też podświadomość uderzyła w gong alarmowy. Aleksander zbudził się, rozwarł szeroko oczy i niespokojnie popatrzył dookoła. Od oceanu wiał przyjemny wietrzyk, niosąc zapach ryb, wodorostów i wielkiej przygody. Ciągle jeszcze uśmiechnięty spoglądał przed siebie, ale uśmiech szybko zamierał, a na twarzy rysowało się coraz wyraźniej zdumienie, a potem przerażenie. Spoglądał bowiem w... otwór lufy wycelowanego w siebie pistoletu maszynowego, a poprzez muszkę i szczerbinę celownika widział skrzące się rozbawieniem skośne oczy Japończyka. Widok ten tak kłócił się z tym, co sobie zdołał już wymarzyć, że aż zaklął wulgarnie. Japończyk, uśmiechający się ni to grzecznie, ni złośliwie, coś mówił, a potem, widząc, że nie skutkuje, zaczął krzyżeć. Pewnie chciał, aby osaczony wyszedł z łodzi, ale Aleksander zlekceważył go. Wtulił się w chropowate, pełne zadziórów jej dno i zaciskając mocno powieki, gorąco pragnął, aby ta zjawa znikła i aby wszystko okazało się tylko koszmarnym snem. Kiedy ponownie otworzył oczy, do łodzi zaglądało już kilkanaście głów, które gremialnie powitały go

215

głośnym śmiechem. Chwycił za bagnet, lecz nie było go już za pasem. Natomiast poczuł, jak unoszą łódź w górę. Za chwilę leżał rozciągnięty na zwirowatym piasku.

Podnieśli go kopniakami i razami kolb, i pognali przed Tanakę. Japończyk aż zarżał radośnie na widok uciekiniera i Aleksandrowi stało się beziernie smutno, że cały jego wysiłek poszedł na marne. Zrezygnowany pocieszał się, że zrobił wszystko, co można było zrobić w tej paskudnej sytuacji. Nawet nie opierał się, kiedy krępowali mu ręce i wlekli na skraj plaży. Wczoraj wydawała mu się bardzo rozległa, dziś jakby skurczyła się. Przyptyw — zaświtało mu w głowie. — Zaczął się przyptyw. Ciekawe, jaka jest wysokość pływu? Pewno ze sześć stóp... Jednak przerwać musiał swoje hydrograficzne rozważania, gdyż brutalnie zmuszono go, aby ukląkł. Mały, krępy Japończyk z uśmiechem na ustach pracowicie wecował na szerokim pasie, rozciągniętym przez dwóch pomocników, krzywą szablę z długą rękojeścią. Spoglądał przy tym na Aleksandra z miną kota, który przed pożarciem myszy syci się jej widokiem. [

Tymczasem marynarze ustawiali się w dwuszeregu frontem na ocean. To miało być audytorium, przed którym klęczał on — skazaniec oraz przeżył się dumnie kat z szablą, wykonaną na podobieństwo samurajskich mieczy. Majestatycznie zbliżył się Tanaka z dwoma oficerami. Ten w okularach, przedwczorajszy oskarżyciel, wyjął z kieszeni świstek papieru, skomenderował „norę”, a kiedy dwuszereg zastygł w bezruchu, odczytał po japońsku, a potem po angielsku wyrok. Aleksander słu-

216

chał ciekawie, chcąc poznać jego motywy, a kiedy dowiedział się, że jako pirat brał udział w napadzie na cesarski okręt podwodny, splunął z obrzydzeniem i roześmiał się drwiąco, czego asysta wymiaru sprawiedliwości zdawała się nie zauważać. Okularnik tylko wzmógł tempo czytania, jakby uważał, że i tak zbyt długo zezwala się skazańcowi żyć po wczorajszych diabelskich historiach, dodatkowo go obciążających. Kat również niecierpliwił się i denerwował przed swoim premierowym popisem, za to Tanaka przypatrywał się Aleksandrowi ze szczególną uwagą, jakby chcąc, póki ten jeszcze żywy, wyjaśnić dręczącą go zagadkę. Wreszcie okularnik skończył czytać. Skazaniec spojrzął na migocący w blasku słońca ocean, na żółciejącą plażę i zieleń roślinności, a potem z niechęcią na swoich prześladowców. Z tego, że było ich tylko dwudziestu dwóch, odczuł ogromne zadowolenie. Co najmniej dziesięciu zatłukłem — ucieszył się mściwie. Wszyscy patrzyli teraz na Tanakę, który powoli skinął głową. Oficerowie odsunęli się, kat wykonał kilka ćwiczebnych zamachów szablą, a jego pomocnik zbliżył się ze szmatą, aby zawiązać skazańcowi oczy.

Aleksander westchnął głęboko, bo w żaden sposób nie mógł jeszcze pojąć, że za chwilę przestanie żyć, jego głowa potoczy się do stóp Tanaki, a ciało, z którego sprawności był tak dumny, stanie się bezużyteczną kupą mięsa. Muszę coś zrobić, muszę! Szybciej, bo zaraz będzie za późno, ten drań chce mi zawiązać °czy. Nigdy! — I wspaniałym unikiem zmylił katowskiego pomocnika raz i drugi, jednocześnie wołając: — Nie chcę! Nie wiążcie mi oczu!

217

Pomocnik był uparty, Aleksander również. Powstało zamieszanie, minuty płynęły, a o to przecież chodziło rozmyślającemu gorączkowo nad jakąkolwiek możliwością ocalenia. Pomocnik, popędzany okrzykami swego szefa, zdenerwował się i trzasnął skazańca pięścią między oczy. Kiedy rozjuszony chciał poprawić, dostał bykiem w podbrzusze i z jękiem padł na piasek.

— Nie wiążcie mi oczu! — ryczał Aleksander.

— Nie wiążać! ! ! — zdecydował Tanaka. I szybki, ukośny ruch dłonią: kończy! Nim kat uniósł w górę szablę, skazaniec wrzasnął: — Księdza! Dajcie mi księdza! Panie kapitanie, ja chcę księdza!

Tanaka podrywa dłoń w górę: — Stop! Czego znów chce ten Tommy? Ach, duchownego...

Podbiega zezłoszczony okularnik, omal nie dławi się.

— Człowieku! — wrzeszczy. — Skąd my wam weźmiemy księdza? Dość tych kpin! — Próbuje mitygować i zawstydząć: — Czy wy nie potraficie odważnie spojrzeć śmierci w oczy? Czy nie możecie

umrzeć dzielnie jak żołnierz?

- Mówiliście, że nie jestem żołnierzem, lecz piratem...
- Milczeć! Za chwilę ksiądz nie będzie wam potrzebny.

Tanaka kiwa z politowaniem głową. — Tchórz! — syczy i odwracając się, mówi wyraźnie: — Wykonać wyrok!

Tak więc wszystko na nic. Ale nie! Jest jeszcze jedno wyjście, ostatnie. I gdyby się udało... Musi! Teraz! Już!

- Taaanaakaaa! — takie brzmienie miały

218

chyba jerychońskie trąby. — Oobi! Pamiętasz Obi? — Az ochrypl z tego wycia i nagle roześmiał się niby szaleniec, widząc, jak zaskoczony Japończyk zatrząsł się i wlepił weń uważne spojrzenie. Niemal czując już wiszący mu nad karkiem miecz, Aleksander judził

dalej:

- Osaka! Pamiętasz? Znam ciebie i twoją tajemnicę...

Coś jakby olśnienie przemknęło przez twarz Japończyka, wyraźnie połknął haczyk. Zaintrygowany wstrzymuje rękę kata i jednym skokiem jest przy skazańcu. Uf, co za ulga. W głowie szumi, a język paple nieświadomie owe poplątane myśli:

- Poznałeś mnie już teraz? Pamiętasz, jak cię stłukłem w ciemnym zaułku, kiedy napadliście na mnie obaj ze swoim kumplem? Poszło o Obi, pamiętasz? Osaka, trzydziesty piąty rok...

Okazuje się, że kapitan świetnie zna angielski. Ale nie zawsze dobrze jest przypominać ludziom gorycz ich porażki. Twarz Tanaki mieni się na przemian wstydem i gniewem. Zastanawia się, do czego zmierza ten biały. To wyraźna prowokacja. A Aleksandrowi o to tylko chodzi, bo wtedy stanie się coś... Co? Sam jeszcze dobrze nie wie, ale przypuszcza, że to właśnie przyniesie mu ocalenie. Żeby lekarstwo przyniosło skutek, trzeba je dawkować z umiarem, a on wyraźnie przeholowuje:

- Obi! Miałem ją! Słyszysz? Miałem! Możesz mnie zamordować, ale hańby swojej nie zmażesz!

Takie wyznanie podobno silnie oddziaływa na prawdziwych mężczyzn. Rozwścieczony Japończyk cofa się krok do tyłu, twarz wy-

219

krzywią mu przeraźliwy grymas niczym maskę karnawałową, a usta wypluwają jakieś przekleństwa. Doskakuje do Aleksandra i uderza go w twarz, a potem, opamiętawszy się, staje doń plecami i kiwa ręką na kata.

— A niech to diabli — sapie sponiewierany Aleksander — nie udało się. A więc śmierć? — Ale jeszcze nie rezygnuje, podejmuje ostatnią próbę:

— Ty podły tchórze! Bijesz bezbronnego? — woła. — Gdzie twój honor oficerski? Chcesz zamordować mnie i w ten sposób ukryć swoją hańbę? Prawdziwy japoński oficer popełniłby harakiri, a ty jeszcze żyjesz, ty bandyto, w ciemnym zaułku z nożem umiesz dochodzić swoich racji... — Głos zamiera mu na wargach, bo wcale nie widzi skutków tej ognistej perory. Znow ogarnia go zwątpienie: na co i po co? Jak rozruszać to towarzystwo o azjatyckiej mentalności? Aha, już wiem...

— Ten wasz dowódca zhańbił mundur cesarskiego oficera — ogarnięty szaleńczą nadzieją zwraca się do milczącego dwuszeregu. — Jeśli to nieprawda, niech zaprzeczy!

W ten sposób zasiane zostało ziarno zwątpienia, choć nadzieja na jego zakiełkowanie była tak nikła jak ostrze szabli, które za chwilę miało mu spaść na kark. Sam już prawie nie wiedząc, co robi, wrzasnął na biorącego zamach kata: — Stój! Bo do reszty pogrzebiesz honor swego dowódcy!

I o dziwo! Kat wstrzymał cios i pytająco spojrzął na Tanakę. Zapewne nie mieściło mu się w głowie, że człowiek, o którego upomina się śmierć, może być tak elokwentny. Opuścił więc z trudem wyostrzoną broń i oczekiwał dalszych poleceń. Uśmiechał się nawet pod

220

nosem, mocno skonsternowany. Ci biali to naprawdę niepoważni ludzie, przecież im prędeż, tym lepiej, nawet nie poczułby bólu.

Sytuacja wreszcie kształtowała się po myśli Aleksandra. Teraz Tanaka stał się centrum zainteresowania. Patrzyli już na niego wszyscy podwładni, nawet ci nie znający angielskiego, zachodząc w głowę, co też takiego mógł zrobić ongiś ich dowódca, o czym wiedział ten Tom-my. Nawet okularnik chrząknął z zakłopotaniem, przetaił szkła i uważnie wpatrzył się w kapitana. Tanaka wahał się i to ocaliło Aleksandrowi życie. Przynajmniej na razie. Gdyby Japończyk nie zwracał uwagi na gadanie skazańca, tylko twardo kazał katu czynić swoją powinność, krzyki Aleksandra wzięto by za objaw strachu przed śmiercią. Ale ich dowódca się zawahał, a więc coś w tym musi być. Wszyscy wyciągnęli szyje i nadstawili uważnie uszu. Co teraz będzie?

— Pirat musi mieć honor, a oficer japoński nie? — judził wrzaskliwie Aleksander, czując wyraźnie, że ziarno padło na urodzajną glebę.

Tanaka rozmyślał nad czymś, potem gardłowym głosem wyjaśnił coś swoim ludziom, a następnie wydał jakieś polecenie. I oto stał się cud! Aleksander nie wierzy własnym zmysłom — podnoszą go, stawiają na nogi, przecinają więzy, a w zdrętwiałą rękę wciskają bagnet. Drugi taki sam bagnet trzyma Tanaka, który zrzucił czapkę i mundur i również błyska nagim torsem. Już mierzą się oczyma — dwaj zapaśnicy, którzy kończą przerwany przed ośmiu laty pojedynek.

— Zabiję cię — warczy wściekle Tanaka. Aleksander dochodzi do siebie. Nadzieja za-

piera mu dech tak skutecznie, że nic nie potrafi wydusić z gardła. Ale może to i lepiej. Teraz nie czas na słowa — potrzeba czynów. Na chłodno ocenia odległość, sprawność fizyczną przeciwnika, szuka błędów w jego zaciętrzewieniu. Jest już spokojny, może, dlatego, że wciąż jeszcze trudno mu zrozumieć to, co się stało. Przed chwilą zęgnął się z życiem, a teraz ma broń w ręku i czuje się jak Herkules przed wykonaniem dwunastu prac. Jest pełen uznania dla postępków Tanaki, choć nie ma pewności, czy na jego miejscu postąpiłby podobnie. Donkiszoteria Japończyka wydaje mu się wprost śmieszna. Toż to jakiś nowy Bayard — myśli. — Chociaż... zbyt przewrotny i okrutny, więc raczej romantyczny ronin przejęty ideami busido i zdający się na coś w rodzaju sądu bożego. Muszę tę partię rozegrać z korzyścią dla siebie i zabrać go ze sobą w zaświaty — postanawia. Radość uderza mu do głowy jak szampan — no bo jak się nie cieszyć, kiedy się jeszcze żyje i ma szansę zabić swego wroga? Japończycy patrzą na nich zdumieni, znikł gdzieś porządek wojskowy, otoczyli walczących kołem, patrzą i nie rozumieją. Ich dowódca dał wspaniały dowód wielkoduszności, pojedynkując się z tym białym jak równy z równym, zamiast kazać ściąć mu ten rozkudłany łeb, ale dlaczego to zrobił, nie mogą pojąć. Przecież to jest biały... A ci dwaj tymczasem machają bagnietami jak dotknięci amokiem, robią jakieś wypadki i kontr-wypadki, ale żaden jeszcze nie trafił. W gorączce walki nie zwracają uwagi na to, że przyptyw podnosi coraz wyżej poziom wody i plaża kurczy się coraz bardziej. Tymczasem Durban i jego ludzie prą na-

przód. Oni widzą wyraźnie, jak woda przybiera. Idą wierzchołkiem plaży, z niepokojem spoglądając na stromą falezę. Chociaż mają jeszcze dwie stopy przewagi, nie na wiele się to zda, jeśli fala przyptywu będzie większa. Nic jeszcze nie wiedząc, zbliżają się do miejsca niedoszłej egzekucji.

Tu zaś nastroje widzów i walczących osiągają punkt wrzenia. Aleksander musi zwracać uwagę również na swoje tyły, aby go jakiś podekscytowany kibic nie pchnął wprost na bagniet Tanaki. Cofając się, starannie unika zbytniego zbliżenia się do kręgu widzów. Ta-naka zaś, wyczuwając aplauz i poparcie widowni, nie daje mu wytchnienia. Kilkakrotnie bagniet Japończyka o ćwierć cala niemal mija twarz, pierś czy przedramię białego, Aleksander uchodzi tym ciosom intuicyjnie. Sam poluje na podbrzusze i żebra Tanaki, i czeka, aż tamten wyczerpie swoją furię — wtedy uderzy. Ale nie docenił przebiegłości przeciwnika. W pewnym momencie Tanaka pochyła się i... sypie mu żwirem prosto w oczy. Wprawdzie błyskawicznie odrzuca głowę, lecz zapomina o ręce. Ma chęć ryczeć jak zraniony lew, kiedy bagniet Japończyka tnie go po lewym ramieniu. Jaka szkoda, że zabrakło bursztynowego serduszka matki. Być może uchroniłoby go po raz drugi przed raną. Zaciska więc z bólu zęby, widząc przez łzy triumfujący uśmiech wroga. Nic to, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — myśli mściwie.

Ludzie Durbanda zwiększają tempo marszu — Prędzej, prędzej, byle dostać się jak najwyżej.

Aleksander krwawi. Jeszcze pięć minut tej walki, a utraci siły. Zaczyna popełniać coraz

więcej błędów, ale i zwinny Tanaka jest zmęczony i chyba tylko dzięki temu Aleksander jeszcze żyje. Ale

chcąc żyć nadal, trzeba coś zrobić. Coś skutecznego. I wtedy przypomina mu się śmieszna kreskówka z disneyowską myszką Miki. Przepysznie rzucała nożem do celu, tylko czy on potrafi tak samo zręcznie? Bo jeśli nie, to rozbroi się sam i... żadną siłą nie powstrzyma japa przed ciosem. Trzeba jednak spróbować, bo goni resztką sił. No to raz kozie śmierć... Odskakuje w tył, wygina się jak sprężyna i całą siłą zmęczonych mięśni z półobrotu ciska bagnet w nadlatującego Japończyka... Czy aby zdąży obrócić się ostrzem? — świdruje w mózgu natrętna myśl. I już oddycha z ulgą. Tanaka krzyknął i zwałił się w piach. W jego lśniącej od potu piersi tkwił bagnet.

Wśród widzów rozległ się głośny jęk zawodu — patrzą oszołomieni, nie wierząc w to, co się stało. Do rozognionego mózgu Aleksandra dociera pytanie: — Co teraz będzie?

Durban widzi już w dali stojącą na plaży grupę ludzi. Woła: — Chłopcy! To albo Berwick, albo Hopkins, mamy szczęście!

O kilka kroków od nich szumi ocean. Diabelnie przybiera ta woda. Naprzód! Tam, nad plażą, jest jakieś wzgórze, tam przeczekamy!

Nagle cisza pryska jak bańka mydlana. Ciężba ludzka złorzeczy Aleksandrowi tysiącem klątw. Kątem oka spostrzega on, jak okularnik podnosi pistolet. Szarpie głową w bok, czuje uderzenie potężnego młota. Zaszumiło, ciemne plamy zawirowały przed oczami, nogi śmiesznie zeszmaciły i... padł bez czucia.

Durban ze swoimi są oddaleni tylko o kilkaset kroków. Na odgłos wystrzału przystają

224

zaniepokojeni. Stojących w dali ludzi jest zbyt wielu jak na grupą Berwicka czy Hopkinsa, wyglądają raczej na dwie grupy razem. Czyżby już się połączyli? Ale w takim razie do kogo strzelają? I nagle podejrzenie zamienia się w pewność: — Chłopcy! To japy, mordują kogoś z naszych!

— Za mną w tyralierę! Skokami naprzód! — komenderuje Durban.

Ale trudno jest rozwinąć się w tyralierę, kiedy woda podchodzi coraz wyżej, a! plaża zaczyna przypominać wąski chodnik Uliczny. Mimo to biegają, padają, dalej biegają, wykorzystując do skrytego podejścia cień rzucający przez fale.

Wreszcie i Japończycy zauważyli grożące im wodne niebezpieczeństwo. Podnieśli Tanakę i szybkim krokiem ruszyli w kierunku panującego nad plażą wzgórza, aby tam się schronić. W zamieszaniu nie widzą jeszcze ludzi Durbanda. Zwłoki Aleksandra zostają jako pamiątka i świadectwo niedawnej tragedii. Woda podnosi się coraz wyżej i sięga już po nie. Japończycy ruszają kłusem. Ostatni biegnie okularnik. Ogląda się, ma wątpliwości, czy skazaniec na pewno nie żyje. Dotąd przecież wychodził z wszelkich opresji. Zatrzymuje jednego z podoficerów, każe mu zawrócić i na wszelki wypadek dobić leżącego. Podoficer zostaje w tyle, ociągając się podchodzi do nieboszczyka, wyciąga rękę z pistoletem i... zamiera ze zdziwienia. Aleksander odzyskuje bowiem przytomność, unosi się na rękach i siada. Patrzy zdezorientowany na stojącego nad nim Japończyka, któremu woda sięga już kostek. Wygląda potwornie z tą twarzą zlaną krwią. Czuje w ustach jakąś miazgę, gardło

ma zawałone skrzepami krwi, pluje nią, wymiotuje. Podoficer wzdryga się, nie potrafi wystrzelić do tego na wpół umrzyka, zresztą zauważył już Australijczyków i przeciw nim kieruje broń, krzyżąc ostrzegawczo na swoich. Była to jego ostatnia czynność. Nadbiegający Durban ładuje weń pół magazynka swego stena, drugą połowę posyła za oddalającymi się Japończykami. Teraz tamci z kolei otwierają ogień, zmuszając lieutenanta i jego ludzi do zalegnięcia na zalewanej przypiływem plaży. Dalszy pościg staje się niemożliwy. Pociski świszczą tak gęsto, że nie można unieść głowy i dzięki temu Japończycy zdołali oderwać się od swoich prześladowców i dotrzeć do zbawczego wzgórza. Durban, mokry i ubłocony, podczołguje się do Aleksandra.

— Przecież to Kendel! — woła. — Chłopie, co z tobą? Gdzie Hopkins? — A widząc, że jednak się nie dogada, pyta tylko: — Żyje?

Aleksander kręci przecząco głową.

— Japończycy? Kiwnięcie potakujące.

— Ach, dranie! Zabieramy go i w nogi, bo nas przypiływ zatopi.

Ogień japoński ustał już, więc podpełzli pod skraj falezy.

— Patrzcie, tu leży łódź — bystrooki Durban pierwszy dojrzał starą szalupę, w której Aleksander spędził noc. — Połóżcie w niej Kendela, a reszta trzymać się wkoło, może jakoś przetrwamy.

Wody mieli już po kolana.

— Panie lieutenancie — pyta przerażony Cormack — czy on wyżyje?

— Na razie żyje, a co będzie dalej, kto może wiedzieć? Hej, Kendel, a gdzie reszta

z waszej szalupy? — Durban jest niezmordowany w tym badaniu, ale daremnie. Aleksander traci przytomność.

__ Chłopaki, z nim jest bardzo źle — stwierdza autorytatywnie Cormack. — Już długo nie pociągnie...

__ Nie kracz, jeszcze się okaże — strofuje

go Durban. Wody mieli już po pas. Trzymali się więc kurczowo szalupy oraz kęp traw i krzewów, porastających zbocza falezy, aby fala nie zniosła ich na ocean. Broń wrzucili do mocno przeciekającej łodzi i tak czekali. Jeśli przypiływ dalej będzie się zwiększać, to szanse na przetrwanie mieli raczej niewielkie. O Japończykach, usadowionych na wzgórzu, na razie musieli zapomnieć, ale wszyscy wiedzieli, że gdy woda opadnie, a oni szczęśliwie przetrwają, walka rozpocznie się na nowo, bez żadnych

kompromisów. A tak ich diabelnie mało. Gdzie się zawieruszył Berwick?

Przyptyw doszedł im do piersi i jakby się zatrzymał, co zaczęło ich napawać nikłą nadzieją. Trzeba wytrwać za wszelką cenę — jeszcze godzinę, a może tylko kwadrans lub pięć minut. Diabli wiedzą, jak wysoki jest ten pływ.

Aleksander ocknął się znów. Patrzył, nic nie rozumiejąc z tego, co się działo. Kilku ludzi kurczowo trzyma się łodzi, w której leżał. Swoi! Uśmiechnął się do nich. Ale dlaczego tyle wody? Aha, przyptyw. Żeby ich tylko woda nie zniosła. Trzymają też jego szalupę. Kochane chłopaki... Ale przecież niedaleko stąd jest komin skalny, a tam — ocalenie. Próbuje im to powiedzieć, ale z ust wydobywa się tylko bełkot. Nie rozumieją. Unosi głowę. Z trudem poruszając obolałym

227

językiem, wypluwa z ust skrzepy krwi. Jakie to obrzydliwe... — Komin! Komiii skalny — bełkocze niewyraźnie. Widać coś z tego zrozumieli, bo Durban, wyciągając szyję, pyta nerwowo: — Gdzie? Pokaż!

Ręką ważącą chyba z tysiąc funtów wskazuje, że tam, dalej. Ciągną go z pluskiem. Szum w głowie zmusza go do położenia się. Nie jest w stanie im wskazać. Słońce świeci prosto w twarz. Zamyka oczy. W głowie szumi tak, że już nie wie, czy to ocean, czy pulsująca krew. Wszystko dziwnie obojętnieje, zapada w bezwład. Słyszcy jednak i czuje, jak wytrwale go holują.

— Gdzież ten przeklęty komin? — denerwuje się Durban.

I już doszli. Westchnienie ulgi, jakby zdjęto im z karków bezmierny ciężar.

— Ho, ho, ale dziura — dziwią się, spoglądając w czerniejący nad ich głowami otwór. — Prawdziwa droga do piekła, a tymczasem my chcemy do nieba — żartują.

Podsadzają Cormacka, który podciągnąwszy się na rękach, z ciekawością zagląda do środka. Potem ostrożnie opuszcza się w dół.

— Cholernie ciemno — stwierdza beznamiętnie. — Żebyśmy tylko nie wleźli w nią na wieki wieków — powątpiewa. — W tę górę.

Durban jest odmiennego zdania.

— Przecież Kendel musiał tędy złązić, bo skąd by znał ten komin? — wyjaśnia. — Złaziłeś tędy?

Aleksander kiwa głową. Jest szczęśliwy. Mogę teraz umierać — myśli pogodnie. — Oni są ocaleni. — Ale nagle strach mrowi mu grzbiet: Jak oni się wydostaną z tego komina?

228

Chyba nie tą drogą, którą ja przyszedłem? Trzeba im to wszystko wyjaśnić. Tylko jak? I... najlepiej... byłoby... teraz... zaraz... Ooo... ten cholerny szum w głowie...

Nie czuje już, że pochwycili go za ramiona i ciągną w górę. I Traci przytomność, myśląc z żalem, że jednak nie zdążył im powiedzieć, dokąd wiedzie droga przez komin.

A oni tymczasem, natężając wszystkie siły, wytrwale wciągali go tam, gdzie — wierzyli — czekał ich ratunek. Wciągali, nie zwracając uwagi na to, że, być może, ciągną już nieboszczyka.

Bo prawdziwi ludzie morza nigdy nie zostawią swych towarzyszy w biedzie.

7. Daleka jest droga do Polski

Aleksandrowi zdziwił się już pobyt w amerykańskim szpitalu wojskowym w Suva. Minęło kilka tygodni, w czasie których sprawił wiele kłopotu lekarzom i pielęgniarkom. Wreszcie jednak pokonał śmierć i obecnie przechodził okres rekonwalescencji. Nie pamiętał, w jaki sposób się tu znalazł. Siostry mówiły, że przyleciał samolotem z Vila. Ale skąd się wziął w Vila? Z tym większą niecierpliwością oczekiwał wieści ze świata. Zbliżało się Boże Narodzenie i myślami często wracał do kraju. Wilia, opłatek, strojna choinka, wygwieżdżone mrozem niebo, śnieg chrzęszczący pod stopami—to było najmiłsze, najpiękniejsze wspomnienie świąteczne z dalekiego kraju. A tu nic nie zapowiadało nadchodzących świąt. Upały,

229

deszcze i znów upały — lato zbliżało się wielkimi krokami. Śniegu tu nikt nie widział, a lód... owszem, pijało się z ginem. Zamiast choinkowych świerczków królowały pierzaste palmy.

Wydawało się Aleksandrowi, że całkiem skapcanieje w tym upale. Na towarzyszy niedoli mało zwracał uwagi. Zresztą czy mogli mu powiedzieć coś więcej, niż sam przeżył? Pełno tu przebywało rannych z Kolombangary, Bou-gainville i Choiseul, a ich opowiadania były tak podobne do siebie, jak ich zabandażowane głowy i kończyny: dżungla, Japończycy i znów dżungla. Jeśli zaś trafił się jakiś marynarz, to opowiadał według nieco innego stereotypu: morze, Japończycy, rekiny i znów od początku to samo. I tak cały dzień. A wieczorem wszystko rozpoczynało się od nowa. W snach przeżywano minione bitwy, ranni wyli, krzyczeli zawzięcie lub radośnie, umierali i znów się odradzali, a rankiem snuli się posępni i źli na siebie, że nie mogą zapamiętać przebytych koszmarów.

Jedyną dla Aleksandra przyjemnością, jeśli to tak można nazwać, były rozmowy z doktorem Wagnerem, Amerykaninem polskiego pochodzenia. Ten stary chirurg wyglądał jak typowy rzeźnik, ale serce miał pełne dobroci, a wyblakłe niebieskie oczy śmiały się przyjaźnie do świata. Kiedy dowiedział się, że Aleksander jest Polakiem, otoczył go wszechstronną opieką. Mimo sześćdziesięciu lat oko i rękę miał pewne, sam operował Aleksandra i śmiał się czasami, że jest jego najdroższym pacjentem. Najdroższym, ponieważ wstawił mu zamiast części podniebienia platynową płytkę, a po konsultacji z dentystą również

230

piąć złotych zębów w miejsce wybitych pociskiem. Z tym podniebieniem były zresztą niezgorsze hece. Przez trzy tygodnie po zabiegu karmiono go różnymi płynnymi papkami przez nos. Rolę przewodu

pokarmowego spełniała długa gumowa rurka, tkwiąca w lewej dziurce organu powonienia. Ten sposób spożywania posiłków wcale go nie zadowalał, gotów był zniechęcić się do jedzenia, ale organizm buntował się przeciw temu i Aleksander był torturowany trzy razy dziennie. Czasem budził się z wrzaskiem w środku nocy, bo śniło mu się, że liczbę posiłków zwiększono mu do sześciu. Dzięki -Wagnerowi — a może dlatego, że przyplątała się do niego jakaś tropikalna gorączka, połączona z zakażeniem krwi — przeniesiono go do izolatki, gdzie przez siedem dni borykał się ze śmiercią. Trzykrotnie robiono mu transfuzję krwi, zanim ostatecznie śmierć odeszła od jego łóżka. Teraz już szybko przychodził do zdrowia, sny miał spokojne i niezgorszy apetyt. Rany goiły się i tylko blizny przypominały niedawne przygody. Przesunięto mu łóżko pod okno i mógł teraz stale wpatrywać się w seledynowe wody cieśniny Kandavu. Leżał więc i patrzył na ten na nowo odzyskany świat. Pacyfik zmieniał swoje barwy jak kameleon, ale przeważnie był pusty, jeśli nie liczyć kolorowych żagli fidżijskich rybaków, wypływających lub wracających z połowu. Aleksander wpatrywał się weń z taką nadzieją, że aż kłuły go z bólu źrenice, ale wymarzony statek czy okręt wojenny, który przywiózłby mu jakieś wiadomości, nie nadpływał. Wysłał pięć listów do Lucy, lecz odpowiedzi nie było. Czyżby nie dotarły? A może zdradziła i już zapomniała o nim?

231

Niepokoił się i nudził. Czytywał trochę powieści wojennych i z niecierpliwością oczekiwał godzin wieczornych, bo wtedy wpadał do niego Wagner. Gawędzili ze sobą do późna w noc, po angielsku oczywiście. Chirurg przeżył wiele. Była to jego druga wojna światowa i po raz drugi ręce miał pełne roboty.

— Kiedy ci ludzie nareszcie zmądrzeją? — denerwował się. — Chłopcze, gdybyś tyle co ja nababrał się w ludzkim mięsie, miałbyś wszystkiego dość! Czasem żałuję, że zostałem chirurgiem, ale kiedy widzę, jak mój skalpel przywraca ludzi do życia, cieszę się, że nim jestem.

Często pokpiwał sobie z nie wyjawionych zgryzot Aleksandra. — Chłopcze — mówił — kobiet po wojnie nie będzie brakować, a twoje blizny dodadzą ci tylko uroku. Kobiety uwielbiają dzielnych wojowników. I nie myśl bez końca o poległych kolegach i o tych Japończykach, których zabiłeś. Jesteś żołnierzem, a w walce nie ma wyboru. Jedni giną, aby \ drudzy mogli żyć, takie jest prawo wojny.

Tym bardziej że my walczyliśmy o słuszną sprawę, o to, aby jakiś fuhrer czy mikado nie zrobili z wolnej ludzkości niewolników. Więc przestań się tym wszystkim zadreć i wracaj do zdrowia. Po wojnie trzeba będzie świat .od nowa urządzić. Polska potrzebować będzie takich jak ty... i

Drugą bliską mu osobą była kobieta — siostra miłosierdzia Reve Nabogibogi, rosła dwudziestosześcioletnia Fidżijka o czekoladowej skórze, oczach jak węgle, kędzierzawych włosach i olśniewająco białych zębach. Prawdziwa melanezyjska piękność, oswojona, o wdzięcznych i powabnych ruchach. Mówiła

232

biegle po angielsku i Aleksander od czasu do czasu ucinął sobie z nią pogawędkę. Początkowo rozmawiali tylko na poważne tematy, jak to zwykle bywa, kiedy partnerzy nie znają się jeszcze na tyle, aby pozwolić sobie na intymne zwierzenia. Dziewczyna zaczęła od opowieści o własnym kraju. Dzięki niej poznał cały urok archipelagu z jego florą i fauną oraz ludzi, z ich ziemskimi problemami. Kiedy Reve dowiedziała się, że jest Polakiem, nabrała doń więcej zaufania. Ośmieliła się nawet skrytykować rządy królewskiego gubernatora wysp. I tak dowiedział się, jak to dzielni potomkowie sir Francisa Drake'a, stosując starorzymską maksymę „divide et impera”, napuszczają na siebie wzajem dwie nacje archipelagu — Hindusów i Fidżijczyków, a kiedy sytuacja staje się wręcz nie do zniesienia, wkraczają z urzędu jako mediatorzy. W ten sposób urabiają sobie przed światem opinię niezastąpionych na wyspach, bo gdyby ich nie było, to kto wie, czy Fidżi nie ogarnąłby płomień jakiejś gigantycznej nocy św. Bartłomieja. Aleksander pełen był podziwu dla jej dojrzałości politycznej, logiki rozumowania i dowcipnych sformułowań. Kiedy opowiadała o problemach swojego kraju, jej twarz nabierała tak niezwykłego uduchowienia, a oczy jarzyły się takim blaskiem, że Aleksander chciałby patrzeć i patrzeć na nią bez końca. A była przy tym dziewczyną tak pociągającą... Nazwał ją nawet w myślach Joanną d'Arc Mórz Południowych. Potem zaczęli rozmawiać o sprawach bardziej osobistych. Re-ve stawała się wtedy jakaś łagodna, miękka, cechy trybuna ludowego znikwały, a na krawędzi jego łóżka siedziała pełna powabu kobieta,

233

już nie uduchowiona Joanna, ale zmysłowa i pełna rozkosznych obietnic Afrodyta. Wstrząsały nim wtedy tajemne dreszcze i krew niemal gotowała się, aż piekły świeżo zabliznione rany. Nic dobrego z tego nie wyniknie — często, strofował się w duchu — opanuj się. A przecież jednak — konkludował — wniosek wypływa stąd pozytywny, bo jeśli tak ci się chce kobiety, to znaczy, bratku, że zdrowiejesz, a jeśli zdrowiejesz, to... wyzdrowiejesz. Co było do dowiedzenia. — Tu pukał się znacząco w czoło i dodawał: — Ale we łbie coś ci się pokiełbasiło lub pokiełbasi z całą pewnością.

Pewnego razu, nie panując już nad sobą, a może chcąc się sprawdzić, czy starczy mu odwagi i czy wszystko wróciło już do normy po przeżytych fizycznych katuszach, zrobił coś, czego potem wstydził się sam przed sobą. Reve opowiadała mu o sobie, mocno ożywiona, uśmiechnięta, niemal bezbronna, siedziała tak blisko... Znienacka porwał ją w ramiona i zaskoczona, a może nawet i przerażona takim obrotem sprawy, zaczął łapczywie i zachłannie całować — w twarz, oczy, usta, W odkrytą szyję, głęboki dekolt... Upajał się zapachem zdrowego kobiecego ciała, chłodnego mimo upału i tak niewiarygodnie twardego, tak krągłego, aż upił się zupełnie. Nie panując nad zmysłami, obalił dziewczynę, przygniótł sobą, zaczął zdzierać z niej szpitalny fartuch... Wargami wpił się w jej usta, pewnie i dlatego, by nie krzyczała, i... na tym się wszystko skończyło. Znienacka potworny ból przeszył mu czaszkę, przestrelone podniebienie i szczęka rozpały się takim żarem, aż rozbłysło mu w oczach, zaszumiało. Zdawało

234

mu się, że leży po potężnym nokaucie. Kiedy wreszcie zaczął coś widzieć, dojrzał zapłakaną Reve, aplikującą mu jakiś zastrzyk. Niemał nie czuł ukłucia.

— Ty głuptasie — gładziła go po skołatanej głowie — nigdy już nie zostanę z tobą sam na sam. Nie zdajesz sobie sprawy, co mogłeś narobić... Nie chodzi o mnie, chociaż zachowałeś się bardzo niegrzecznie, tu chodzi o twoje zdrowie. Czy wiesz, czym by się to mogło skończyć? I to przeze mnie...

Coś jeszcze mówiła, ale Aleksander nic już nie pojmował. Całe ciało ogarniało przyjemne znużenie — dawały o sobie znać dobroczynne skutki zastrzyku. Ani się spostrzegł, jak zasnął.

Po tym przykrym doświadczeniu miał uczucie moralnego kaca i był nawet wdzięczny Re-ve za to, że unikała jego izolatki, a jeśli już przyszła, to rozmawiali wyłącznie służbowo. Dobrze pojmował ten chłód i starał się nie patrzeć w jej oczy, a kiedy nie wytrzymał i wreszcie rozżalonym spojrzeniem zaczął prosić ją o przebaczenie, nie zniosła tego błagalnego wzroku i wybiegła zmieszana. To spojrzenie dopowiedziało mu wszystko, czego nie chciały powiedzieć usta. I znów zaczął roić o tym, że Reve mogłaby zostać jego kochanką. Kalkulował już ostrożniej, dobrze wiedząc, że na kochanka on sam jeszcze jest za słaby. Ale za miesiąc...

I tak dzięki Reve i Wagnerowi czas zaczynał biec coraz szybciej. Z Wagnerem przeprowadził kiedyś Aleksander dziwną rozmowę, która wzburzyła go wewnątrz, a jednocześnie zmobilizowała do realizacji nowego przedsięwzięcia.

235

Był piękny wieczór, srebrny księżyc zaglądał do izolatki. Wagner rozparł się naprzeciw Aleksandra w fotelu i swoim zwyczajem powoli cedził zdania. Rozmawiali o Polsce — o tej, która była i która będzie znowu, co do tego obaj nie mieli żadnych wątpliwości. Nagle chirurg zaczął strofować go, a Aleksander, przyzwyczajony wprawdzie do żartobliwie ironicznego sposobu mówienia Wagnera, zaczął tego, co mówił tamten, słuchać z pewnym zawstyżeniem.

— Właściwie co ty tu robisz? Nie w tym szpitalu, oczywiście, ale w Oceanii? Czego szukasz? Jesteś Polakiem i twoje miejsce tam, w Polsce! No, co tak na mnie patrzysz? Że niby ja też jestem Polakiem, co? Ano, jestem. Popeniłem w młodości błąd... Zresztą kiedy wyjeżdżałem z Krakowa, o Polsce nawet wróble nie ćwierkały, a jej świetnej przeszłości uczyliśmy się z płócien pana Matejki. Kiedy Polska powstała, marzyłem, by do niej wrócić. Lecz, wstyd mi o tym mówić, tylko marzyłem, a życie potoczyło się inaczej. Żona, dzieci, sprawy materialne, odkładało się ten wyjazd na później, wciąż na; później. Potem przyszedł kryzys, straciłem pracę i pacjentów i chcąc nie chcąc, wróciłem do wojska, bo tu były szanse wegetacji. Nie przyszło mi to łatwo, ale pomogli znajomi, jeszcze z kampanii francuskiej, z wielkiej wojny, jak się o niej mówiło. Miała to być, nawiasem mówiąc, ostatnia wojna w dziejach ludzkości. Ale obecnie mamy już drugą, jeszcze większą, a ile jeszcze będzie? Trudno powiedzieć. No, ale ad rem. Jak wiesz, z wojska niełatwo się wyrwać, sądzę jednak, że chyba by mnie zwolnili z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego, a wte-

236

dy byłbym panem swego losu. Niestety, pech: znów wojna. Lecz marzenia nie zmieniły się, wierz mi. Czasami śnię, że jestem w Polsce, w swoim rodzinnym Krakowie. Ech! — machnął zrezygnowany ręką. —

Zmarnowałem życie na obczyźnie. Zapomniałem nawet własnego języka i, co za ironia losu, musimy tu, dwaj Polacy, szwargotać po angielsku. Ty pewnie też już prawie zapomniałeś, co? No, przyznaj się!

— Ależ skądże! — zachnął się oburzony Aleksander. — Ja bym zapomniał? Nigdy! Przecież to język mojej matki...

— Świetnie — przerwał mu chirurg. — To powiedz coś po polsku, jakiś wiersz lub słowa piosenki...

— Wiersz? — Aleksander poskrobał się w zakłopotaniu po głowie. — Ale jaki? No, dobrze, spróbuję — rzekł cicho i ku własnemu zdumieniu zaczął deklamować „Powrót taty”:

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Zo miasto, pod słup, na wzgórek...

Głos łamał mu się nerwowo, kiedy tak brnął przez dawno nie używane strofy, ale jakoś dociągnął do końca i umilkł zawstydzony. Ukradkiem zerknął na Wagnera. Chirurg siedział z zamkniętymi oczami, zasłuchany, jakby nieobecny. Czując na sobie wzrok Aleksandra, cicho wyszeptał:

— Jaka śpiewna ta nasza mowa ojczysta... Przetarł oczy niby przebudzony z głębokiego snu.

— Do diabła! Rozkleiłem się, i to przez ciebie, mój chłopcze. O czym to ja mówiłem? Aha, wiesz, teraz marzę tylko o jednym: żeby

237

wrócić do kraju i umrzeć na ojczystej ziemi. Ale przedtem przejść się pod Barbakanem, usiąść na ławeczce na Plantach, popatrzeć na Wawel i Wisłę, odwiedzić raz jeszcze Tatry... To jedno trzyma mnie przy życiu, inaczej nie byłoby sensu żyć!

— No a żona, dzieci? — zaciekał się Aleksander.

— Mój chłopcze, żona dawno mnie odumarła, a syn i córka żyją swoim własnym życiem, mają dzieci, własne troski. Czasem przy okazji świąt czy urodzin pomyślę o ojcu i dziadku, zresztą co tu ukrywać: uważają mnie za dziwaka. Dlatego — dodał z mocą — nie chciałbym, abyś i ty zmarnował swoje życie, tułając się po obczyźnie. Bo mnie można częściowo usprawiedliwić, wyjechałem do Stanów nie z Polski, ale z cesarstwa austro-węgierskiego. A ty? Rzuciłeś swój kraj w imię czego? Rozumiem, że nie znalazłeś dla siebie pracy, bo mała flota, a ty koniecznie chciałeś pływać, ale przecież...

— Ale przecież ja wrócę do Polski — przerwał mu Aleksander.

— Wrócisz, wrócisz... Tak się zawsze mówi dla spokoju sumienia. Posłuchaj mnie, starego. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo daje się wciągnąć w wir życia. Marzenia zostają wtedy na uboczu, a żyje się życiem rzeczywistym. W twardej walce o byt łatwo rezygnuje się z marzeń, uważając je za nierealne mrzonki. A lata płyną, człowiek się starzeje i z biegiem czasu zaczyna żałować, że tak lekkomyślnie pozbył się marzeń. I wtedy znowu marzenia wracają, ale jest już za późno na ich realizację. Stają się zwykłymi mrzonkami. Schodzimy z tego świata, mając

238

żał sami do siebie, że nie wytrwaliśmy. O charakterze człowieka świadczy jego upór przy realizacji własnych marzeń...

— Doktorze, ma pan do mnie pretensję, że

zostałem w Australii? To tylko parę lat. Zresztą teraz jest wojna, nie mogę wracać. Ponadto jestem żołnierzem, służę przecież w marynarce wojennej...

— Ale tam — zniecierpliwiał się Wagner — parę lat, parę lat... Ja też tak mówiłem. I ile lat jestem poza krajem? Ze czterdzieści lat na tułaczym chlebie. Z tobą będzie tak samo. Masz jakąś dziewczynę w Sydney — nie zwracał uwagi na protesty Aleksandra — co mi tam będziesz mówił, prędzej czy później się z nią ożenisz i wsiąkniesz w te australijskie piaski, zapuścisz takie korzenie, że i tysiąc traktorów cię nie oderwie. A o Polsce pomyślisz od czasu do czasu w dni wolne od pracy, kiedy będziesz się nudził. Czekaj, nigdy nie gadaliśmy o tym, a od dawna chcę cię o to spytać. Właściwie dlaczego ty służysz w marynarce australijskiej, a nie w polskiej? Czy możesz mi to wytłumaczyć?

Aleksander obruszył się: — Gdyby istniała Polska Marynarka Wojenna tu, na obczyźnie, służyłbym w niej, ale ponieważ jej nie ma, służę w australijskiej. Jest mi to zresztą obojętne, w których szeregach walczę. — Przerwał, poczuwszy, że zbyt się zagalopował. — To znaczy chcę walczyć przeciwko Niemcom i ich sojusznikom, a gdyby trzeba było, walczyłbym nawet w pojedynkę, aby wnieść choćby niewielki wkład w wyzwolenie Polski.

— Dobrze, dobrze — Wagner był zniecierpliwiony i zdziwiony. — Ale wróćmy do mego pytania. Więc ty naprawdę nic nie wiesz?

239

— O czym? — Aleksandrowi mocniej zabiło serce,

— No tak. Ta twoja Australia leży na końcu świata, a tajemnica wojskowa obowiązuje...

— Doktorze! Ja naprawdę o niczym nie wiem. Wierz mi! Przecież wiadomo, że nasza marynarka nie istnieje, że Niemcy potopili nam okręty... To było jeszcze przed wybuchem wojny z Japończykami, a od tej pory to już kompletnie nie wiem nic a nic. Wierz mi!

— No, chyba ci w takim razie uwierzę — zdecydował się w końcu Wagner. — Posłuchaj teraz uważnie. W Royal Navy służą polskie okręty pod naszą, polską banderą. Nic o tym nie wiedziałeś? No, to cię rozumiem i współczuję...

— Doktorze! Mów wszystko, co wiesz! — głos jego zabrzmiał niczym wystrzał, pochwycił rękę Wagnera i ścisnął ją mocno w nadgarstku. Chirurg popatrzył na niego swoimi dobrymi oczami, uwolnił rękę z uścisku, rozmasował ją, po czym rzekł:

— No, nie denerwuj się, wszystko ci opowiem. Kiedy byłem w armii Pattona w zeszłym roku, w listopadzie, brałem udział w lądowaniu w Afryce Północnej. Ta morska operacja desantowa miała kryptonim „Torch”. Nie będę ci opowiadał, co tam przeżyłem, bo to długa historia, a muszę iść jeszcze na

obchód, ale powiem ci o polskich okrętach. Rozmawiałem o nich z pewnym angielskim majorem. Otóż lądowanie wspierała artyleria okrętowa, cała kupa okrętów, taka sojusznicza „Wielka Armada”. I między tymi okrętami był jeden polski. Podobno dzielnie się spisywał pod miejscowością... pal diabli, zapomniałem. Zresztą to nieważne, najważniejsze, że był to okręt

240

polski, słyszysz, polski okręt, pod polską banderą! Ten Anglik opowiadał, że jest tych okrętów jeszcze kilkanaście i, z czego byłem dumny, porządnie zalewają Niemcom sadła za skórę. A ty mi tu, chłopcze, powiadasz, że nie ma Polskiej Marynarki Wojennej... Jest! — podniósł się. — No, ale muszę już iść. Dobranoc. Niech ci się przyśnią polskie okręty... — I cicho wyszedł, pozostawiając oszołomionego Aleksandra.

Polskie okręty, biało-czerwona bandera, biją Niemców... A ja, dureń, nic nie zdziałałem, nawet nie wiedziałem... Do diabła! Powinni mnie japy zatłuc za moją głupotę.

Leżąc na łóżku, oczyma wyobraźni oglądał te wynsione okręty. Przypomniało mu się nawet, że gdzieś słyszał o tym, że polski statek przywiózł do Australii transport angielskich dzieci. Ale było to jeszcze przed wybuchem wojny z Japonią, kiedy on uganiał się po Oceanii. Lecz żeby były polskie okręty wojenne i do tego walczyły z Niemcami... No, no! Podniecony rozmyślaniami zasnął dopiero wówczas, gdy świt zaczął różowić wody cieśniny.

Przez dwa dni był milczący i zamyślony, aż Reve zaniepokoiła się, że to może nawrót choroby. Dlatego była zdziwiona, kiedy kazał sobie przynieść kilka arkuszy kratkowanego papieru, pióro i atrament, po czym pisał coś zawzięcie, kreśląc i przepisując od nowa.

Raport trzeba było wysłać drogą służbową, tylko przez kogo? Przez komendanta szpitala? Wtedy doszedłby do właściwych władz pewnie wówczas, gdy wojna będzie już dość odległą przeszłością. Więc co robić? Pocieszał się jednak, bo skoro przysłali go tu, to kiedyś przypomną sobie o nim i przysła kogoś po odbiór.

— Synowie marnotrawni

241

Wtedy to załatwi. Wagnerowi nic o tym, rzecz jasna, nie mówił. Miała to być niespodzianka. Z utęsknieniem oczekiwał więc na owego pościa.

Dwudziestego pierwszego grudnia, po wizycie lekarskiej, kiedy poczuł się już na tyle dobrze, że pozwolono mu wstać, wsunęła się cicho do izolatki Reve. Uśmiechnęła się tajemniczo i położyła palec na swych pełnych, karminowych wargach: — Pssst, Aleks! Jest do ciebie... gość!

Twarz oblała mu purpura, i zrobiło się jakoś strasznie duszno.

— Gość do mnie? — wyszeptał, gorączkowo myśląc, kto by to mógł być. — Lucy? Chyba nie, to nie może być kobieta. Gdyby tak było, wtedy Reve zachowywałaby się zupełnie inaczej. A więc

mężczyzna... Tylko kto?

— Prosić natychmiast! — krzyknął głośno, przyszedłszy do siebie.

Zanim minęła minuta, rozległo się pukanie, potem drzwi otworzyły się szeroko i do izolatki wpadł... lieutenant Durban.

— Witaj, chłopie! — wrzasnął kordialnie od progu. — Widzę, że łapiduchy już cię wyremontowały. Cieszę się bardzo, bo miałbym nieliczne wyrzuty sumienia, gdybyś przejechał się na tamten, podobno zresztą lepszy świat...

— Proszę siadać, lieutenant — Aleksander wskazał mu krzesło — i dużo, dużo opowiadać, bo umrę z ciekawości. Co na jedno by chyba wyszło.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Durban. — To ty mi opowiedz, co z wami zaszło, bo do tej pory, choć minęło już prawie dziesięć tygodni, nic nie wiemy. Dosłownie tabula rasa,

242

jak mawiali u mnie w szkółce misyjnej. Coś niecoś zeznali jeńcy japońscy, ale kto tam wyrozumie ich gadaninę. Jedno jest pewne: tylko ty ocalałeś z grupy Hopkinsa. Masz szczęście, chłopie. Wszyscy dziwiliśmy się, jak to przeżyłeś. Przyleciałem tu samolotem sanitarnym, ale muszę przyznać, że jako marynarz w powietrzu czułem się dość podle. Berwick wysłał mnie na dwa dni. Jak chcesz, żeby ci coś załatwić, to nie krępuj się, wal śmiało — paplał chaotycznie, chyba dlatego, że wiele miał do powiedzenia, a czas biegł nieubłaganie. •— Ale, ale, żebym nie zapomniał: twoja Lucy wybiera się do ciebie, dostała urlop i pewnie zawita na święta. Spłakała się nieboraczka z radości, że żyjesz, potem płakała, że mogłeś zginąć, potem użalała się nad swoim losem. Straszna beksa...

— Tak — westchnął Aleksander. — W Su-va uczyni się jeszcze bardziej dżdżysto, kiedy ona przyjedzie — zadowcipkował.

— Owszem — dokończył Durban. — Sądzę, że podniesie się poziom wody w oceanie. A niech no jeszcze ujrzy tę przystojną czekoladową siostrzyczkę, wtedy tsunami zaleje biedne miasto. Popatrz, zapomniałem powiedzieć ci coś, co cię powinno ucieszyć. Zostałeś awansowany i przedstawiony do odznaczenia medalem „Za Dzielność”. No co, zadowolony? — spytał oficjalnym tonem.

Aleksander zasępił się. Dawniej bardzo by się z tego cieszył, ale obecnie wszystko mu zobojętniało. — Owszem — bąknął — to znaczy tak jest, lecz prawdę mówiąc, nie wiem, za co to...

Jak to za co? — zdziwił się Durban. — Za tego japońskiego podwodniaka! Przecież to

243

twoja trzycalówka zrobiła z niego kaszę, zapomniałeś już?

— Faktycznie zapomniałem — zgodził się Aleksander. — Ale to jeszcze dobrze pamiętam, że nie tylko ja jeden wtedy do niego kropiłem.

— No, nie bądź taki skromny. A wracając do ciebie, widzę, że zmizerniałeś, nieboraku, i chyba posiwiasteś? Nic, nie martw się. Szpakowaci dżentelmeni zawsze w modzie. No, ale nie daj się prosić i zacznijże wreszcie opowiadać, jak to tam z waszą grupą było. — Wyciągnął z przepaścistej teczki dwie puszki piwa, otworzył i wręczając jedną z nich Aleksandrowi, zachęcił: — Pij! Dobrze ci zrobi, a poza tym nie zaschnie ci w gardle. No, nie bój się, nie zaszkodzi...

Piwo miało cierpkawy smak, trochę gorzki, a może tylko tak mu się zdawało po długotrwałym poście, w każdym razie pierwszy łyk przelknął jakoś wymuszenie. Potem zaczął mówić. Początkowo nie bardzo składnie, klecone zdania rwały się, a ich sens pozostawiał wiele do życzenia. Ale mówił, zresztą coraz lepiej, aż w końcu dał się porwać akcji i gadał jak w transie. Durban słuchał w milczeniu z zaciekawieniem, czasem bąkał pod nosem: „Coś podobnego! Niewiarygodne!” Poza tym nie przerywał Aleksandrowi, który wreszcie, wyczerpany wspomnieniami przeżytych okropności i oszołomiony piwem, opadł na poduszkę. W głowie miał jakąś bolesną pustkę.

— Wie pan — rzekł jeszcze po namyśle —' cały czas, kiedy leżałem w malignie, widziałem w nogach łóżka Browna. Siedział wytrwale, jakby czekał na mnie, i uśmiechał się. Aż przyszła Lucy i odpędziła go. I niech mi pan wie-

244

rzy, wtedy właśnie odzyskałem przytomność. To już chyba wszystko, co miałem do powiedzenia. Durban pochwycił go za rękę:

— Zuch jesteś, lubię takich mężczyzn! — To „mężczyzn” mocno zaakcentował. Nie powiedział „marynarzy” czy „ludzi”, ale właśnie „mężczyzn”. Zabrzmiało to w uszach Aleksandra jak najpiękniejsza pochwała. Aż uśmiechnął się zażenowany.

— Wiesz co, Aleks? — Durban przybrał pół-oficjalny ton. — Opisz to wszystko w swoim raporcie, a będziesz dodatkowo wyróżniony za okazane męstwo.

Wzruszył ramionami na takie słowa: — Nie robiłem tego dla nagród, po prostu wykonywałem swój obowiązek, walczyłem do ostatka. A zresztą nie było w tym nic nadzwyczajnego...

— Jak zwykle pomniejszasz swoje zasługi. Z jednej strony to dobrze, z drugiej nie za bardzo... Ten komin skalny, który wskazałeś, pomógł nam nadzwyczajnie, poprawiliśmy swoje położenie, że się tak wyrażę, strategiczne, i przestaliśmy się moczyć...

— Właśnie! Nic mi pan nie powiedział, co się działo potem i w jaki sposób trafiłem tu, do Suva.

— Właściwie nie ma co opowiadać. Daliś-mY japom tęgiego łupnia. W porównaniu z twoimi nasze przygody są mniej barwne. Ten komin, muszę się przyznać, że nigdy nie marzyłem o karierze grotolaza, był mocno pochylony i dzięki temu wcale łatwo dostaliśmy się do pieczary. Ciebie ciągnęliśmy ze sobą. Nie byłeś, oczywiście, ani bardzo lekki, ani też na tyle szczupły, żeby cię trochę nie po-

245

objają o ściany, ale mam nadzieję, że nie będziesz miał do nas o to pretensji?

— Ależ skąd! — zachnął się Aleksander. — Winienem was wyściskać za to, żeście mnie nie cisnęli w diabły...

— Kiedy dotarliśmy do tej groty czy pieczary, musieliśmy wybrać dalszy kierunek marszu, bo odchodziły stamtąd aż trzy korytarze. Wybraliśmy prawy i po kilku minutach, nie uwierzysz, ujrzeliśmy światło dzienne. Zgadnij, gdzie wyszliśmy?

— Nie mam pojęcia — wyznał szczerze Aleksander.

— Ba, myśmy też nie wiedzieli, a to było w miejscu, gdzie między dwoma szczytami znajduje się skalna dolina. Od tej strony wejście do groty osłonięte było gęstwą krzewów i ledwie widoczne. Tam zostawiliśmy cię pod opieką Gordona, a sami poszliśmy po zboczu w kierunku oceanu. I wyobraź sobie, wyszliśmy wprost na Japończyków, którzy obsiedli wzgórze nad plażą. My byliśmy wyżej niż oni a ponadto zobaczyliśmy ich pierwi. Pona dwudziestu chłopów, dokładnie nie liczyłem...

— Chyba dwudziestu dwóch — uściślił Aleksander. — Tylu było przed moją egzekucją..

— Odejmij tego, którego zatłukłem, kied cię chciał dobić...

— No więc było ich dwudziestu jeden, al nic mi pan nie mówił, że winienem mu życie!

— Nie mówiłem? Patrzaj, zapomniałem. Ale to drobnostka, po prostu nawinął mi się pod lufę. Oczywiście ten twój Tanaka leżał ranny. Krzyknąłem do nich z góry, żeby się poddali. Żebyś widział, jak zaczęli grzać, tylko kule gwizdały. Wtedy włączył się Cormack ze swoim lewisem. Wystrzelał przeszło połowę, zanim

246

reszta skapitulowała. To była prawdziwa jatka. Japy jak na patelni, my ukryci wśród skał. Sytuacja się odwróciła, przedtem oni, skryci pod wodą, mieli nas jak na dłoni, a my miotaliśmy się na ślepo po oceanie. Niemilo się wspomina takie chwile. Przyzwyczailiśmy się walczyć honorowo, a taka rzeź to coś nieludzkiego. Co za sytuacja! Mamy jeńców, ale nie możemy ich zabrać, bo dokoła woda. Zresztą nie wiemy nawet, co z nimi zrobić. Kazałem im złożyć broń na kupę i odejść od niej na kilka kroków. Zabitych złożyli też na gromadkę. I tak czekaliśmy na odpływ, oni oczywiście pod naszym okiem. Paradoksalne, nie uważasz? Koło południa usłyszeliśmy w głębi wyspy strzelaninę. Mógł to być Berwick, ale z kim walczył, nie miałem pojęcia. Jeśli z Japończykami, to w każdej chwili mogłem się spodziewać, że zajdą mnie od tyłu. Nasi jeńcy też nasłuchiwali tych strzałów, ale do broni już się nie rwali. Po pewnym czasie strzały umilkły i znów w ciszy mierzyliśmy się spojrzeniami. Co też oni sobie myśleli? Chciałbym to wiedzieć. Kiedy nastąpił odpływ, zdjęliśmy ich. Najpierw pochowali swoich zabitych, potem zabrali rannych i ruszyliśmy w stronę obozowiska. Trzeba ci było widzieć tę karawanę. Istny pochód widm. Ciebie też niesiono. Ledwie trafiliśmy do tego ich obozu. Chyba dranie specjalnie tak nas wodzili po manowcach, ale jakoś pod wieczór doszliśmy. Dziwisz się pewnie, że tak śmiało tam waliliśmy, ale ten oficer w okularach zeznał, że w obozie zostało tylko dwu wartowników. W pościgu za sobą zatrudniłeś całą

oddział. Nie ufałem zbyt okularnikowi, ale nasza szpica potwierdziła jego zeznanie. Byli tam już zresztą

247

nasi, wściekli jak jasny gwint, bo ci dwaj, co zostali, ciężko postrzelili Wilkinsona, szefa kuchni. Nie dociągnął biedaczysko do rana. W odwecie... znaczy się... to tak jakoś nieładnie wyszło... rozwalili tych dwóch. Rozumiesz to chyba? Poza tym w nocy trzech rannych popełniło harakiri. Skąd mieli noże? Przecież dokładnie rewidowaliśmy ich... Berwick chciał z tobą pogadać, ale nie odzyskałeś przytomności, coś tylko bredziłeś w malignie, o „obi” czy o czymś takim, już nie pamiętam. Sądziliśmy, że wykitujesz. Jednak urodziłeś się w czepku: kula przeszła przez ciebie i nie wytworzył się stan zapalny. Jakoś zrobiliśmy ci opatrunek, dali morfinę, co zresztą w tamtych warunkach wyczerpywało nasze możliwości. Reszta zależała od twego organizmu. Na noc wystawiliśmy strażę. Rano znaleźliśmy zabitych, resztę z waszej szalupy. Sprawiliśmy im godny pochówek, uszczuplając zapas amunicji na salwę honorową. Ale tak musiało być. Cieśla zmajstrował krzyż na ich mogiłę. Śpią tam w dwunastkę pod wodzą Hopkinsa, bo Wilkinsona dołączyliśmy do nich, zawsze to lepiej razem. Myśleli pewnie, że jeśli co, to spoczną na dnie oceanu, a tu znaleźli spoczynek na samotnej wysepce. Nietypowe jak na marynarzy, co?

— To dobrze, że ich pogrzebaliście — westchnął z ulgą Aleksander —: bo ten drań Ta-naka nie pozwolił mi tego uczynić, chociaż go prosiłem...

— Widać chcieli ich dokładnie obrabować, bo odebraliśmy jeńcom wiele rzeczy osobistych nieboszczyków. Wyobraź sobie, u jednego z nich znalazłem twój notes z zapiskami. Cholera, zapomniałem ci go przywieźć. Masz ta-

248

lent, mógłbyś książki pisać. Berwick wystawił posterunki na pierwszym szczycie, żeby obserwować ocean, a jeńcy przygotowali olbrzymi stos, który miano rozpalić, gdyby pojawił się jakiś okręt. Nieźle ich przemaglowaliśmy, tych jeńców znaczy się, i wtedy wyjaśniła się tajemnica. To był ten sam podwodniak, który nas storpedował, numer „1-49”. Wyszedł na patrol z Kavieng i w ciągu tygodnia zatopił transportowiec amerykański, a my byliśmy jego drugą ofiarą. Ale drogo się sprzedaliśmy. Rozwaliliśmy im urządzenie sterowe, kadłub wodoszczelny mieli przestrzelony w kilku miejscach i uszkodzone silniki główne. Szli początkowo na nich, a kiedy ostatecznie zdechły, przeszli na elektryczne i gnali aż do rozładowania baterii. W końcu zdryfowało ich wprost na wyspę. Pożary jakoś ugasili, chociaż usmażyło się przy tym kilku. No i rozbili się na rafie, ale dobrnęli z niej na wyspę z resztą broni, żywności i medykamentów. Zostało ich jeszcze trzydziestu kilku. Dowódca okrętu zginął, więc dowodzenie objął jego zastępca Tanaka. Uf, zaschło mi w gardle, poczekaj... — Z teczki wyciągnął dwie świeże puszki, otworzył, wręczył jedną Aleksandrowi, tęgo pociągnął z drugiej, zapalił nowego papierosa i po takim przygotowaniu wrócił do przerwanej relacji:

— A w ogóle to mieliśmy szczęście. Zaraz następnego ranka pojawiła się latająca łódź. I to ze znakami amerykańskimi. Pewnie jakiś patrol. Oczywiście rozpaliliśmy nasz stos. Czy go zauważyli, trudno powiedzieć, ale chyba tak, bo łódź zawróciła, zrobiła dwie rundy nad wyspą i odleciała. Byli tacy, co

widzieli, jak pilot machał skrzydłami, ale ja nie widziałem.

249

Zasnęliśmy z nadzieją w sercach. Nazajutrz koło południa podpłynął okręt. Wyglądało na to, że niszczyciel. Nie byliśmy pewni, czy dawać sygnały, czy nie, bo a nuż to japończyk... W końcu udało mi się przez lornetę odczytać na burcie: „DD 518”. Był to, jak się później okazało, USS „Brownson”. Znow zadymił nasz stos, ale ci przekłęci jankesi, zamiast opuścić szalupy, otworzyli do nas ogień. Całe szczęście, że kury im macać, a nie strzelać. Pociski rwały się daleko, na drugim szczycie. Zrozumiałe, że nie czekaliśmy, aż naniosą poprawkę, tylko co sił w nogach zwiewaliśmy w stronę plaży. Na szczęście wśród zdobyczy japońskich była raketnica z rakietami. Wystrzelaliśmy wszystkie w różnych kombinacjach, nim wreszcie przerwali tę bezmyślną pukanię. Potem ich artylerzysta opowiadał nam, że to nowa taktyka, wypracowana przez sztab: bombarduje się wyspę do oporu, a potem wysadza desant. Do nas strzelali ot tak, na wszelki wypadek, bo nie byli pewni, kim jesteśmy. Z tą wyspą też nie za bardzo wyszło. Na mapach w ogóle jej nie było, a pierwsza z Wysp Banksa miała się znajdować 15 mil na południowy zachód. No, ale w końcu zaokrętowali nas. Barkas okrętowy zrobił kilka kursów. Japów początkowo nie chcieli zabrać, mieli zostać na wyspie w roli robinsonów. Ostatecznie wzięli ich, ale za to zostawili nasze poczciwe szalupy, które szczęśliwie doprowadziły nas do tego raj. Tobie lekarz z niszczyciela udzielił pomocy, ale zaznaczył, że koniecznie trzeba cię operować. Rozwinęliśmy więc trzydzieści węzłów i pognaliśmy do szpitala w Vila na Nowych He-brydach. Rano już tam byliśmy. A że twardo

250

trzymałeś się życia, zdecydowano przetrzymać cię samolotem sanitarnym do porządnego szpitala wojskowego w Suva. I tu, jak widać, postawili cię na nogi.

— A co słyhać z naszymi? — zaciekawiał

się Aleksander.

— Zdziwisz się może, ale przestaliśmy bawić się w łowców głów. Jesteśmy teraz prawdziwymi wojakami. Obsadziliśmy nowy okręt, prawdziwy. Patrołowiec „Coala”. HMAS „Co-ala”. Dobrze, co? Powiadam ci, cacko, robi dwadzieścia sześć węzłów. Dla ciebie mamy już upatrzone stanowisko: podwójna czteroca-lówka, prosto z igły, w pancernej masce. Jak tylko wrócisz ze szpitala, zaraz ją obejmiesz.

— Panie lieutenant — przerwał markotnie Aleksander — dziękuję za wszystko panu i lieutenant-commanderowi Berwickowi, ale ja już chyba... do was... nie wrócę.

— Dlaczego? — zdziwił się Durban. — Boisz się, że uznają cię za niezdolnego do służby na okręcie? Kichamy na papierki tych łapidu-chów, twoje miejsce na „Coali” jest już za-klepane.

— To ładnie z waszej strony — wymamrotał Aleksander, zażenowany tym wszystkim. Gorączkowo rozmyślał, w jaki sposób taktownie wybrnąć z sytuacji i nie zrobić przykrości temu zacnemu człowiekowi. Zapadło kłopotliwe milczenie. Durban przyglądał mu się uważnie.

— Kendel? Ty coś przede mną, bracie, ukrywasz! Mów szczerze. Może chcesz się zadekować gdzieś na tyłach?

— Ja? — wykrzyknął Aleksander. — Lieutenancie, to chyba pomyłka! Nigdy nie byłem dekownikiem i nie chcę nim być. Po prostu

251

zaszło coś, co zburzyło moją egzystencję w waszej marynarce.

— W waszej marynarce? — zdumiał się Durban. — O czym ty mówisz, Kendel? Ze-strachałeś się japońców? A może jakaś kobieta zawróciła ci w głowie? Czyżby ta czekoladowa miss?

Czy Durban użył tych słów z całą świadomością, czy też przypadkowo, wstrząsnęły one Aleksandrem. Zezłoszczony pozbył się już zażenowania i rąbał prosto z mostu:

— Owszem, kobieta, jeśli to można tak nazwać. Ojczyznę porównujemy zawsze z kobietą. Ale nie z kochanką, jak pan, lieutenancie, sądzi. Ojczyznę utożsamiamy z matką. Matkę można mieć tylko jedną, ojczyznę również... A moją ojczyzną jest Polska! Tam, na tej wysepce, uświadomiłem sobie w pełni, czym jest dla mnie ojczyzna. Uniknąłem śmierci tylko dlatego, że wierzę w to mocno, że chciałem walczyć o jej wolność, aby potem na nowo ją odbudować. Australii jestem wdzięczny za to, że mnie przygarnęła, ale nic ponadto. A nawiasem mówiąc nazywam się nie Kendel, lecz Kendelewicz, a na imię mam Aleksander, a nie Aleks...

— No dobrze, dobrze — Durban patrzył na niego oniemiały. — Wiedziałem, że jesteś Polakiem i nie musisz mi tłumaczyć, czym jest ojczyzna. Przyszedłeś do nas na ochotnika, więc o co masz pretensję? Nie pojmuję...

Aleksander ochłonął już trochę. Właściwie czego chce od tego biednego Durbana, przecież to taki sam Australijczyk od święta jak i on. Zawędrował do Sydney z Port Moresby... Ale postanowił wyjaśnić sprawę do końca, postawić kropkę nad „i”.

252

— Mam do was pretensję o ukrywanie przede mną faktu, że u boku Royal Navy walczą pod białą-czerwona banderą polskie okręty —

wypalił.

— Polskie okręty? — zachnął się Durban. —

Nie słyszałem. Od kogo to wiesz? — Sprawiał wrażenie, że mówi prawdę, i to speszyło Aleksandra.

— Bo to jest prawda! — zaperzył się, czerwieniąc na twarzy. — Gdybym wiedział, że tam, w Europie, walczą nasze okręty, ani chwili bym się nie wahał. Wpław przepłynąłbym Indyjski i Atlantyck. A tak musiałem tłuc się po antypodach i polować na japońców, zamiast być tam, gdzie moje miejsce.

— Głuptasie, przecież to wszystko jedno, i tak walczymy o wspólną sprawę — Durban uśmiechnął się wyrozumiale, a Aleksandrowi przypomniało się, że gdzieś już słyszał te słowa.

— Niech pan nie odwraca kota ogonem — zripostował. — Wiedzieliście o tym, że w Anglii walczą polskie okręty, czy nie?

— Ja nic o tym nie wiedziałem, słowo oficcerskie...

— Hm, wierzę panu. Ale ponieważ o tym już teraz wiem, zrobię wszystko, aby służyć na polskim okręcie. Nawet jako zwykły marynarz. Czy pan rozumie, co to dla mnie znaczy służyć na polskim okręcie? Mówią, że każdy okręt to częśćka ziemi ojczystej. Gdybym dostał tego zaszczytu, byłbym chyba najszcześliwszym z ludzi!

Durban uśmiechnął się z sympatią. — Jesteś fajny chłop, Aleks, lecz niepoprawny z ciebie romantyk. Na życie trzeba patrzeć realnie, a gotów jesteś porwać się z motyką na

253

słońce. Ale lubię cię za to. Jeśli chcesz, pomogę ci zrealizować twoje plany. Zgoda? — I wyciągnął doń rękę.

Aleksander uściśnął ją z całej mocy: — Liczę na pana, lieutenantcie. — A potem wyjął z szuflady swój raport, owinięty w żółtkła gazetę. — Proszę, oto mój raport w tej sprawie.

Lieutenant roześmiał się szeroko i schował papier do teczki. — Widzę, że bardzo ci się spieszy, ale i tak będziesz musiał poczekać. Wiesz, jaka powolna jest ta machina, zwana Royal Australian Navy. Sądzę jednak, że przekonam jakoś Berwicka i raport ci popchniemy. Oczywiście z poparciem.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — zająknął się Aleksander, ujrawszy, że w drzwiach stanęła groźnie naburmuszona Reve. Jej argusowe spojrzenie nieomal topiło na żużel puszki po piwie. Udał, że nie dostrzeża w tych przepastnych oczach piramidalnej nagany. A ona z surową miną oznajmiła:

— Proszę kończyć, lieutenantcie. Czas pańskich odwiedzin minął. Chory jest już zmęczony i oszołomiony nie tylko obcowaniem z panem, ale i... wspomnieniami, które, jak widzę, popłynęły szeroką strugą. Złotobrunatną — dokończyła złośliwie.

— Dobrze, siostrzyczko, już sobie pójdę — Durban niezręcznie chował puste blaszanki do teczki, mrugając szelmowsko do Aleksandra. — No, to na razie! Żegnam. Jutro wpadnę do ciebie przed odlotem...

— Mam nadzieję, że bez tej teczki — zauważyła z naciskiem Reve.

— Ma się rozumieć, piękna pani — Durban chciał uległością i pochlebstwem uspić jej czujność. — No, to cześć!

254

Uścisnęli sobie ręce i lieutenant kierował się już do wyjścia, kiedy Aleksander zadał pytanie, które podświadomie dręczyło go przez cały czas tych odwiedzin, a którego dotąd nie śmiał zadać:

— Lieutenancie, a co... się stało z Tanaką? Durban zatrzymał się przy drzwiach i przez

chwilę milczał, a potem rzekł posępnie:

— Nie żyje. To był tępy samuraj, ze wszystkimi wadami tej kasty. Oni nie umieją przegrywać. Kiedy zapędzeni zostaną w sytuację bez wyjścia, uciekają od odpowiedzialności za swoje czyny i wybierają śmierć. Jak skorpiony. Twój Tanaka nie był lepszy od innych. Popętnił harakiri. — I dodał z błyskiem w oczach: — My jesteśmy inni. I dlatego zwyciężymy.

Aleksander znużony opadł na poduszki. Ten rozdział życia miał już poza sobą. Na szczęście.

— Toś miał glik, knabie — Konkiel zdawał się być pełen podziwu dla Aleksandrowego szczęścia. — Ale widno śmierć ci jeszcze nie była pisana, więcś i wyżył — powtórzył z przekonaniem. — Zatracone żółte purtki, mało co a mycki byś nie mógł nosić, bo i na co byś ją nakładał — zachichotał starczym śmiechem.

Zmrok zalegający już pokój sprzyjał niczym ciemność sali kinowej wydobywaniu z głębin pamięci wciąż nowych i nowych obrazów. Szyper zapalił karbidówkę, napełnił kieliszki i skomenderował: — No to skol! Za to, że dane ci było cało wrócić do swoich. Bo to ci rzekę, że fagasować u obcych to żaden

255

gescheft. Patrzaj! Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą... Inny dawno by przepadł z kretelem, a tobie pisane było wrócić, toś i wrócił. Aleksandrowi wydało się, jakby nagle przejrzał. — Guzik prawda — przerwał brutalnie. — O ile wymiganie się śmierci można by uznać za szczęśliwy traf, a może nawet przyjąć, że nie była mi jeszcze pisana, o tyle o swoim powrocie zdecydowałem sam. Słyszycie, szyprze? Sam!

CZĘŚĆ CZWARTA

„SAM DECYDUJĘ O SWOIM LOSIE”

17 — Synowie marnotrawni

1. „Krakowiak” ocalił konwój

Scigacze wykrył radarzysta Szub o pierwszej dwadzieścia siedem po północy. Ten młody marynarzyk, podniecony upajającym polowaniem na u-boota, którego „Krakowiak” prześladował dwie godziny wcześniej, wcale nie odczuwał znużenia, choć już ponad siedem godzin pełnił wachtę. Teraz z niedowierzaniem pomieszanym z bojaźnią, żeby Boże broń nie przegapić, oglądał na ekranie radaru cztery świetlne plamki, które szybko przybliżały się. Nie ulegało wątpliwości — Niemcy! Prędko meldować na pomost!

Aleksander zerwał się, zbudzony przeraźliwym klangorem buczków. Alarm bojowy! Szaleńczy bieg po

trapach między całą gromadą takich jak on zaspanych ludzi, rześkie powietrze nocy i już stanowisko. W sinym świetle lampki bezpieczeństwa widział skupione, zacięte twarze swojej obsługi. Pośpiesznie nałożył słuchawki i spytał:

! — Wszyscy są?

Tak jest, panie bosmanie — odpowiedział służbiście Zalewski.

Odruchowo rzucił w czarną tubkę mikro-

259

fonu: — Działo numer jeden obsadzone w alarmie bojowym.

— Dobra! — rozległo się w słuchawkach.

Z tymi słuchawkami to trochę pic. Ich działo znajduje się tuż obok pomostu bojowego — każdą komendę słyszczyć więc lepiej gołym uchem.

Ciemno. Tylko z prawej jakby wzmagające się brzęczenie pszczoł. Ostro idą...

— No, chłopaki — rzuca — przedmuchaemy sobie lufy.

Mocniej dociągają paski hełmów, poprawiają kaptury. Nareszcie! Świeżo zaokrętowany Bi-zewski drży z przejęcia — wiadomo, pierwsza bitwa. Skrzekot w słuchawkach: — Działo numer jeden, przygotować oświetlające!

— Tak jest! Przygotować oświetlające!

— Kąt kursowy prawo czterdzieści, celownik... oświetlającymi dwoma ładuj!

— Działo numer jeden gotowe do otwarcia ognia! — melduje na pomost

— Pal!

— Jest prawo czterdzieści... Paaal!

Zalewski szarpnął manetki. Oślepiło, a zaraz potem noc rozbłysła światłem. Z prawej pośród grzebieni fal cztery punkty. Są!

— Kąt kursowy: prawo czterdzieści; cel: s-boot pierwszy z lewej; pocisk odłamkowo--burzący; kąt biegu enpla: prawo sto; prędkość: trzydzieści siedem węzłów; odległość: dziesięć tysięcy jardów... — rozlega się sakramentalna formułka oficera kierującego ogniem.

Zwijają się jak w ukropie.

— Poprawka: więcej dziesięć... jeszcze pięć...

— Gotowe! — Aleksander słyszy w słuchawkach głosy kolegów z drugiego i trzeciego stanowiska.

__Pierwsze, drugie, trzecie... salwą!

Buczek.

__ Pal! — wrzeszczy Aleksander, zupełnie

niepotrzebnie, bo przy strzelaniu salwami odpala się z dalocelownika. Pokład trzęsie się pod stopami — salwa całej burty!

— Krótki... Krótki... Krótki! — krzyczy obserwator.

Buczek. Grzmot salwy. Dlaczego nie wydłużają nastawy? Aha, przecież tamci idą na zbliżenie.

— Długi... w celu... krótki...

— Dobra! Pierwsze pięć mniej!

— Jest. Pięć mniej! Buczek. Błysk i grzmot.

— W celu... w celu... w celu...

— Przejść na ogień ciągły!

Istne piekło. Warczą podajniki, podrzucając nieustannie żer dla armat, dudnią grzmoty wystrzałów, błyska z luf niczym w czasie gigantycznej burzy, dzwonią metalicznie o pokład puste łuski. Coraz ich więcej i więcej. Z tyłu, za „Krakowiakiem”, również błyska i dudni. To włączyły się do akcji działa „Aren-dala” i „Riou”. Tęga zawierucha ognia. Nadzwyczajne tempo — osiemnaście na minutę. Nie! Takiej zapory nie przejdą. Ci na transportowcach mogą spać spokojnie. Niemiaszki nie mają co marzyć o skutecznym strzale torpedowym. Pokrzykuje niewyraźnie: — Za Browna... pal!

— Za Hopkinsa... pal!

— Za Lucy... — Ale nie, po tej całej awanturze, jaką mu urządziła przy pożegnaniu, nie warto. Chociaż, niech tam... — Pal!

— Za Kaśkę... pal!

— Za Jurka... pal!

— Za Wagnera... pal!

— Za matkę... pal!

— Za Polskę... pal!

„Arendal", a potem „Riou" strzelają „snow--flaki". Jasno jak w dzień. Zdaje mu się, że jego „stodwójka" gra marsza triumfalnego. Ta muzyka upaja. To nic, że prawie zachrypnął i ogłuchł! Co to? Szkopy zwracają!

— Uwaga załoga! Mówi dowódca: Niemcy uciekają! Pogonimy ich teraz my!

— Do Berlina! Do Berlina! — wrzeszczy któryś z ładowniczych.

— Nie dołyniemy — fizyczna niemożliwość — śmieje się Aleksander.

Istotnie. S-booty zwracają. A to ci heca! Zerwaliśmy im atak. Ale dlaczego tak ciemno? Co to za chmura? Ach! Ci dranie stawiają zasłonę dymną. Myślą, że nam ujdą. Niedoczekanie wasze, hitlersyny. Naprzód! Z lewej burty ryk motorów. To brytyjskie MT-boaty ruszyły w pościg. Dalej! Hajże na... Soplicę! — pokrzykuje wesoło Aleksander.

Komenda w słuchawkach:

— Drugie i trzecie przerwij ogień. Ładować oświetlającymi! Uwaga Kendelewicz! Pierwsze... kąć kursowy: prawo pięć, cel: ostatni w szyku, pocisk... kąć biegu... prędkość... odległość pięć tysięcy... ogień ciągły... Pal!

Wyostrają. O rany! Tylko my przeciw s-bootom! — Chłopaki, nie Marnować! Pokażemy, co umiemy!

— Rozumie się, panie bosman — odpowiada za wszystkich rozgorączkowany Bizewski. — Damy im szkołę... skurwysynom — dodaje ciszej.

W przerwach między salwami słychać

262

dzwonki telegrafu maszynowego. Kadłub

drży — ponad całą naprzód! Dziób rozcina

nadlatujące fale na miliony słonych bryzgów. Ten wodny pył chłodzi twarz. Nie! „Krakowiak" nie da się zostawić w tyle brytyjskim motortorpedobodom. Prędziej! Prędziej! Wpadają w pasmo zasłony dymnej. Ciemno choć oko wykol, do tego ów gryzący opar wciska się w oczy, drażni nosy, dławki krtanie... Ci z odkrytych stanowisk kichają, płaczą i krztuszą się. Nie tylko oni. Wentylatory zasysają sztuczną mgłę, tłoczą do kotłowni i maszynowni. Zziębnięci upałem i wysiłkiem płuca łapczywie chłoną niby świeże, a przecież zatrute powietrze. Gwałtowny kaszel, połączony z niespokojną myślą, że stało się coś niedobrego. Na pomoście bojowym wiedzą o tym i po chwili do przedziałów kotłowo-maszyno-wych płynnie uspokajająca wiadomość, że to nic groźnego. Ci na dole przymykają szachty wentylatorów, zmniejszają im obroty — będzie „cieplej", ale przynajmniej ustanie doptyw tego dymu.

Radarzyści czuwają. To nic, że wkoło noc i ściana mgły — oni na swoim ekranie widzą Niemców.

Wyraźnie nawiewają. W przodzie idą trzy, niemal łeb w łeb, a raczej dziób w dziób, czwarty został nieco w tyle — może to on tak dymi. Po prawej, trochę za rufą, trzy plamki. To swoi. MT-boaty. Oficer

kierowania ogniem postanawia strzelać na radar. Czuje się trochę nieswojo, jako że radar nie wszystkim się jeszcze opatrzył, przecież to nowinka techniczna. Ale niech tam, z techniką trzeba za pan brat. Przetrawia w myśli otrzymane dane, wypracowuje komendę — dla jednej baterii właśnie, dziobowej baterii bos-

263

mana Kendelewicza. — No, raz kozie śmierć—; mruczy porucznik i włącza mikrofon:

— Uważaj, „Kangur” — poucza podwładnego — strzelamy na ślepo. Ale nic się nie bój, na ekranie wszystko widać, więc bez pudła. — I wydaje komendę: — Kąt kursowy prawo dziesięć, cel... pocisk... kąt biegu.... odległość...

— Pal! — powtarza machinalnie Aleksander.

Trzy salwy pod rząd, potem przerwa. Porucznik czeka, aż ci przy ekranie podadzą wynik wstrzeliwania. Czeka i Aleksander ze swoimi.

— Coś długo się guzdrzą — mruczy któryś z ładowniczych.

Nowa komenda. Znów trzy salwy i znów cisza. Ale tym razem nie dłuży się. Raczej ogarnia ich radosne podniecenie. Coś się chyba stało. Widać to na ekranie radaru. Marynarz Szub mruczy zdziwiony: — Chyba się po-kiełbasiło szwabom, kręcą się w kółko jak pomyleńcy... — Faktycznie, czwarty s-boot wyczynia harce po ekranie.

— Pewnie uszkodziliśmy mu ster — sapie z wrażenia starszy zmiany — i nie odpowiada za swoje ruchy...

— Ba! Ale jak go teraz trafić, kiedy nie można przewidzieć jego kursu i prędkości? — biedzi się oficer kierowania ogniem. — Pal go lichu! — postanawia i ładuje jeszcze sześć salw na tej samej nastawie celownika.

Mija dosłownie minuta i już przeszli załogę. Pojaśniało jakby i płuca odetchnęły głęboko świeżą morką. Z rufy odpalili „snow--flaki” — teraz już było normalnie widno. Bystrookim sygnalistom wydało się, że na skraju ciemności dostrzegli swego Niemca.

264

„Krakowiak” pognał za nim jak chart za zającem... Gdzieś z tyłu warczały MT-boaty, szamotały się jeszcze w dymie załogę.

— Żeby nam tylko nie władowali torpedy przez pomyłkę — to dowódca dzieli się swoim niepokojem z obecnymi na pomoście.

— E, chyba nie — dodaje mu otuchy oficer kierowania ogniem. — Jak ich znam, to nie będą strzelać torpedy do schnellboota. A co na to powie nasz Anglik?

- Oh, no! — protestuje brytyjski oficer sygnałowy. — It's impossible!
- Niemożliwe, niemożliwe — denerwuje się „stary”. — Do schnellboota może nie, ale w nas nie pożałują. Pomyślą, że to szkopski zerstbrer. A potem to już mi obojętne, czy Admiralicja wyrazi Swirskiemu swoje głębokie ubolewanie, czy nie. Nas już nie będzie — brzmiał ponuro jak puszczyk. — „Jastrzębia” też tak załatwili.
- To Norwedzy — nieśmiało sprostował szef sygnalistów.
- Razem z Anglikami, szefie, razem z Anglikami. — „Stary” nie znosi sprzeciwu, ale i zbytniego potakiwania również. — Obserwujcie Niemca! Już powinien być...
- Jest, panie komandorze! O tam, prawo jakieś piętnaście, dwadzieścia, ta czarna krecha...
- Aha... rzeczywiście! — dowódca zapomniał już o urojonym niebezpieczeństwie z rufy. — Poruczniku! — zwraca się do oficera wachtowego. — Dajcie do maszyn: dwadzieścia obrotów więcej!
- Jest! Dwadzieścia więcej.
- Otwieram ogień — zwraca się oficer KO

265

ni to do siebie, ni do dowódcy, chcąc uzyskać jego aprobatę.

- Dobra! — kiwa głową „stary”.
- Uwaga „Kangur”! — rozpoczyna litanie „kaoszczak”. — Kąt kursowy... — I wreszcie: — Pa!

Wiatr mieli prosto w twarz i podmuch omal nie zerwał im hełmów.

- Ostro bierze się do roboty ten twój podwładny — mruczy niezadowolony „stary”.

Wtem niespodzianka. Widać przyparli s-boota do muru i jest zdecydowany na wszystko. Z niedowierzaniem patrzą, jak z ciemnego kadłuba niemca tryskają błyszczące koraliki wystrzałów z działek małokalibrowych. Oba „sznury” biegną w ich stronę. Na pomoście mimowolnie wciskają głowy w ramiona.

- A to sukiny! — mówi zdławionym głosem dowódca. — Jeszcze narobią nam bigosu. A ten twój Kendelewicz niech no weźmie się do roboty, bo gotowi rozpieprzyć te jego „czterocalówki” — strofuje oficera KO i jednocześnie podaje komendę na ster, aby jeszcze bardziej wyostrzyć, a przez to zmniejszyć pole rażenia.

- Nie doniesie do nas — powątpiewa szef sygnalistów.

Oślepia ich salwa, potem druga i trzecia. „Jedynka” przeszła na ogień ciągły. Zemoczono wyciągają szyje, aby coś dojrzeć w oddali.

- Jeeest! — wrzeszczą jednocześnie, kiedy kadłub s-boota rozjaśnia się wybuchem i zaraz następnym.
- Dobra! — cieszy się „stary”. — Ładnie bije ten twój „Kangur”! On przyszedł do nas z RAN-u? — rzuca pytanie w przestrzeń.

266

„Tak jest! — odpowiada wachtowy. —

Przestali strzelać! — wrzeszczy.

Istotnie. Koralki świetlne już nie biegną im na spotkanie, za to oni walą jak w kaczy kuper. Nagle w dali błysk eksplozji.

- Ohoho! — dziwuje się „stary”. — Przerwij ogień!

Już cisza. Tylko mruczą wentylatory kotłowe i morze śpiewa swą odwieczną pieśń.

- Podejźmy bliżej — decyduje się dowódca — i ocenimy wyniki strzelania. — Oddycha głęboko, zadowolony. — Tego twego „Kangura” trzeba będzie wyróżnić — dodaje protekcjonalnie.

Szybko zbliżają się do niegroźnej już sylwetki wroga. „Stary” jednak nie należy do lekkomyślnych. A nuż jeszcze mają torpedy w rurach i jakiś „desperata” kropnie w potężną sylwetkę „Krakowiaka”? Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, więc wielkim łukiem zachodzi go od strony rufy. Wszyscy z ciekawością wytrzeszczają oczy, bo urzekł ich niezwykle widok. Ciemny kadłub przelewał się na fosforyzujących ogniami falach. Z głębin jego wnętrza stały się nisko nad wodą ciemne, smoliste kłęby dymu — pewno płonęły zbiorniki olejowe, bo od czasu do czasu wrak rozbłyskiwał od środka światłem wybuchu. „Krakowiak” podchodził do niego od podwietrznej, przez co dym nie zasłaniał pokładu ni nadbudówek. „Riou” wystrzelił swoje „snow-flaki” i w ich świetle obejrzeni względnie dokładnie rozbitego Niemca. Pokład, nieustannie zalewany falą, był pusty — widać załoga opuściła już okręt lub też zginęła, co było bardziej prawdopodobne. Nadbudówka pomostu, zniesiona wybuchem, zwisała w żałosnych

267

strzępach nad świetlikami maszynowni, wyraźnie zarysowany na tle ciemnego nieba krzyż masztu sterczał bezradnie, oskalpowany z fałów, linek antenowych i bandery. Działka trzydziestosiędmilimetrowe były połamane i pogieęte niczym zabawki jakiegoś olbrzyma, a rury torpedowe czerniały pustymi oczodołami otworów wylotowych.

- Zdążyli wystrzelić, sukinsyny — powiedział dowódca.
- Ale co nagle, to po diable, nic nie trafili — wysapał z satysfakcją oficer KO.

Obsada „jedynki” również podziwiała własną pracę. Teraz mogli niemal namacalnie ocenić moc wybuchową „czterocalówek”.

- Panie bosman — podniecał się Bizewski — ale my im to fajno przygrzmocili. To je ganz klar...
- Teraz widzicie — chciał upiec swoje Aleksander — jak przydały nam się treningi. A takie były narzekania, że za bardzo was mordują...
- Jo — zgodził się radośnie Bizewski. — Teraz to się rychtyg przydały.
- Lewo dziesięć s-boot — zameldował bystrooki Borkowski. Jednocześnie „Krakowiak” rozbrzmiał dzwonekami alarmowymi.

Położyli się w gwałtownym zwrocie, przez co nowy niemiec znalazł się z prawej burty, na wysokości śródkręcia.

Będziemy kropić całą burtą — domyślił się Aleksander. — No to czuj duch!

Ale nic z tego. Jemu, właśnie jemu, którego salwy tak skutecznie rozwały pierwszego schnellboota, kazali być statystą w tej grze. Miał strzelać tylko pociskami oświetlającymi, gdy tymczasem „dwójka” i „trójka” rozpo-

268

częły swój popis. Szybko przyszło odegrać się Mikołajczakowi, dowódcy „dwójki”.

— A to „Pyra” poznańska — zżymał się Aleksander, kiedy tamci grzmocili zawzięcie. Przecież przy takim położeniu celu i „jedynka” mogła się dołączyć do owego armatniego duetu. Ale niemiec nie należał do „zielonych” i prędko znudziło mu się paradowanie w charakterze żywej tarczy. Błyskawicznie zawrócił, zakołował, postawił zasłonę dymną i tyle go widzieli. „Dwójka” i „trójka” zamilkły ze wstydu.

— A smoki — ucieszył się Aleksander — myśleliście, że to tak łatwo... Tu trzeba mieć oko i węch kanoniera. — Weselość ta zresztą szybko mu przeszła. Szkop zwiął i mógł znienacka włączyć im ze dwie, jeśli już nie cztery torpedy. Lecz radarzyści czuwali. Znikł im tylko na trzy minuty, ale kiedy go znów pochwycili, już nie puścili. Okazało się, że „Krakowiak” w czasie tej gonitwy wyminął go i miał teraz niemiaszka za rufą, z lewej burty.

— Jezusie nazareński! — jęknął dowódca. — Mało brakowało, a drań przerwałby się przez pierścien eskorty i znalazł sam na sam z naszymi pudłami. Masakra! Gdzież te MT-boaty? Przecież powinny ubezpieczać...

Znów „ponad cała naprzód”, znów „snow--flaki” i pospiesznie wydawane komendy do otwarcia ognia, znów „dwójka” z „trójką” weszły do akcji. Tym razem było to ich ostatnie słowo. Chociaż niemiec kołował tam i sam, stosował błyskawiczne niemal zwroty i uniki, nawet wystrzelał w ich stronę swoje torpedy — nic mu nie pomogło. Najpierw popisał się manewrem „stary”, a potem kanonierzy „Krakowiaka” kropili jak na ćwiczeniach.

269

Prędko uzyskali nakrycie i wreszcie... Aleksander ujrzał wyraźny błysk ognia na ciemnym tle morza i

nieba, potem drugi.

— Trafiony! — ryknął. — Podwójne trafienie!

Ale na tym się skończyło. Tylko pociski szły z gwizdem w ten sektor jak w worek bez dna. Więcej wybuchów nie zaobserwowano.

— Co jest? — denerwowali się radarzyści, bo cel znikł im z ekranu znieścacka i ze szczętem. Próżno kręcili pokrętłami, wymieniali bezpieczniki, stroili...

— Czy wy, durnie, nie szukacie przypadkiem tego, czego nie ma? — zdenerwował się w końcu oficer wachtowy. — Lepiej włączcie asdic, może znajdziecie go na dnie...

— Nie jesteśmy w stu procentach pewni — zwrócił się dowódca do rozradowanego oficera artylerii — ale chyba ten schnellboot należy uznać za prawdopodobnie zatopiony.

— Zuch Mikołajczak — pochwalił go Aleksander przed swoją obsługą. — Ale, jakkolwiek by było, to my jesteśmy górą. Bo im przyjdzie dzielić się z „trójką”.

— Powiedziały już jaskółki, że niedobre są te spółki — zażartował Zalewski.

Rozradowani, ledwie dosłyszeli dzwonki alarmowe.

— Odbój alarmu! — ziewnął Aleksander. — Nasza burta ma jeszcze ponad pół godziny spania. To ci ironia losu...

Przebrani w suchą odzież, rozgrzani walką i gorącą herbatą z rumem, objęli znów wachtę. Niebo wyraźnie poszarzało przedświtem i morze nabrało wyglądu płynnego ołowiu. Wrażenie to potęgowało jeszcze łagodne falowanie wody, które ich, zmęczonych niedaw-

270

nymi przygodami, niemal usypiało. Aby się nie dać Morfeuszowi, cicho gwarzyli, czujnie spoglądając to na pomost, czy aby stamtąd nie opieprzą ich za rozmowy, to znów przed dziób i na obie jego strony, czy z głębi ustępującej nocy nie wynurzy się nowy wróg. Z lewej sunęły ciężkie pudła transportowców, całe i wszystkie. To głównie dzięki nim. Dumę z tego powodu odczuwała cała załoga „Krakowiaka” — biła ona z każdego słowa, które padało na stanowiskach bojowych. Nawet ci z wolnej burty, którzy zapadli w niespokojny i pełen wewnętrznego napięcia sen, śnili o zwycięstwie.

Aleksander przesunął z uszu słuchawki, bez obawy, że czegoś nie dosłysz, bo wydawały zawsze po włączeniu na pomoście donośny trzask, i od niechcienia zaczął podsłuchiwać, o czym to gawędziła obsada jego „jedyńki”. Poznawał ich w ciemności po głosach.

— Szkopy już się nie pokażą, za trzy godziny ujście Skaldy, nie zdążą doskoczyć tu z Ijmuiden... — to Zalewski.

— Nie ma strachu, dobrze złoiliśmy im dupę, na pewno nie będą się chcieli znów tu pchać... — to

Grzonka.

— No jo. Z nimi trzeba ostro. Jak wciury im dać, dopiero nabierają uważania... — to z pewnością Bizewski.

— Jasne — zaśmiał się Zalewski. — Ty wiesz najlepiej, boś im służył...

— Ciszej tam! — Aleksander uciął dyskusję, udaremniając w zarodku awanturę, która wisała w powietrzu, jako że Bizewski był zadziorny, a temat żartu zbyt drażliwy. Lubił tego chłopaka i często brał go w obronę przed niewyparzonymi pyskami niektórych, chyba

271

z tej racji, że jego tragiczne losy żywo przypominały mu własne. Bizewski był bowiem Kaszubem, został wcielony do Kriegsmarine, a na „Krakowiaka” trafił z obozu jenieckiego. Należało go więc podziwiać za to, że nie dał się wynarodowić i w potrzebie poczuł się Polakiem, a tymczasem złośliwcy uważali go za Niemca, co mocno złościło nawet Aleksandra, zwłaszcza że hitlerowcy uważali Bizewskiego za Polaka i tego szykanowali. — Ech, głupcy — westchnął — zupełnie jak ze mną. Rok minął, a niektórzy nadal uważają mnie za australijskiego przybłędę, za „Kangura”... Przewiskiem zresztą się nie przejmował — każdy musi mieć jakieś, mniej lub bardziej chwalebne.

Wschodziło słońce. Woda poróżwiała, a nisko nawisie, postrzępione chmury, podświetlone płomieniem od dołu, nabrały wyglądu wielkich brył węgla, rozżarzonych na gigantycznym palenisku, które z minuty na minutę rozjaśniało się, aby wybuchnąć wreszcie oślepiającym płomieniem. Postacie siedzących wokół działa poczerwieniały. Uśmiechnął się do Bizewskiego.

— Lepiej późno niż wcale — zauważył.

— Co chcecie przez to powiedzieć, panie bosman? — Bizewski zwrócił ku niemu zdziwioną, a jednocześnie zaciekawioną twarz.

Aleksander westchnął. Mówić im o sobie, czy nie?

— Miałem takiego znajomka — zaczął — co też służył u obcych. Był dobrym Polakiem, ale tam, u obcych, po upadku Polski stało mu się już wszystko jedno i sam nawet nie spostrzegł, kiedy zaczął wrastać w obce, choć przyjazne środowisko. Byłby się chyba w tym

272

innym świecie całkiem zatracił, gdyby nie zaszło coś, co przypomniało mu, że jest Polakiem...

— Co to było? — spytał szybko Bizewski.

— To... śmierć, a raczej obawa przed nią.

Lęk, że umrze nie za Polskę. Nie chciał umierać za obcych tak jak wy, dlatego przeżył i zrobił wszystko, aby jeśli przyjdzie umierać mu po raz drugi, miał świadomość, że jego śmierć posłuży ojczyźnie — rzekł

twardo i dodał ciszej: — Bo śmierć śmierci nierówna... — I dokończył w myśli: — W każdym razie teraz walczy pod biało-czerwona banderą, tu na tym okręcie...

Bizewski patrzył na niego z lekka oszołomiony. Nagle w jego szeroko otwartych oczach błysnął ogień zrozumienia.

— Es stimmt... już kapuję — poprawił się i zaraz spytał niespokojnie: — Panie bosman, a czy łeba wróci do Polski?

— Wróci, wróci — omal nie ryknął Aleksander i sam się zdziwił, skąd ma taką pewność. — Staniemy nad Odrą i Bałtykiem, wrócimy Macierzy dziedzictwo Piastów...

— Ale czy na pewno? — Bizewskiego wyraźnie trapiły wątpliwości, które chciał jak najprędzej rozwiać.

— Jakże to! — obruszył się Aleksander. — Nie wierzycie? Przecież nasze wojska wyzwalają już Pomorze. Nie słuchaliście ostatnich komunikatów?

Nasze wojska? — powtórzył cicho Bizewski. — Przecież to Rosjanie...

Zapadła wymowna cisza. Kilka par oczu wpatrywało się czujnie w Aleksandra — co też odpowie? Bosman rozejrział się niespokojnie, czy nie nadchodzi ktoś niepowołany. To

Synowie marnotrawni

273

był twardy orzech do zgryzienia, problem numer jeden, nurtujący ich od przeszło pół roku, stawiający pod znakiem zapytania całą ich dotychczasową walkę zbrojną. Dotąd byli pewni, że bili się o wolną Polskę, nową, silną i bogatą, a teraz znaleźli się jakby poza nawiasem tej walki, nikomu niepotrzebni... Z daleka, ze wschodu, przyszli ci, którzy nieśli umęczonej ojczyźnie wolność. A oni? Bronili tu, na zachodzie, Anglii, jej wód i linii komunikacyjnych, zamiast popłynąć na Bałtyk i wyzwalać polskie porty nie od strony lądu, ale z morza, dając tym świadectwo, że Kriegs-marine nie zmogła małej, lecz silnej duchem Polskiej Marynarki Wojennej... Co teraz będzie? Wyraźnie odczuł rozterkę Bizewskiego. Chłopak marzył o walce z Niemcami, a kiedy marzenia ziściły się, wyszło na jaw, że postawił na fałszywą kartę, bo nie o nim będą mówili w rodzinnym miasteczku jako o wyzwolicielu. Będzie tylko jednym z wielu żołnierzy-tułaczy, od stuleci przelewających krew w interesie innych, z wiarą, że leje się ona za Polskę. Więc co im teraz powiedzieć na pociechę, ku pokrzepieniu serc? Czy to, że jak już przebakują, Anglosasi za nic nie zgodzą się na tę Polskę, która powstaje? Czy też ludzi ich nadzieją, że wszystko dobrze się ułoży? Ale w jaki sposób? A może ci na górze, tam, w rządzie, wreszcie dogadają się i wrócimy do kraju, na okrętach jako bohaterowie i wyzwoliciele, serdecznie witani i przeświadczeni, że krwi nie przelaliśmy daremnie? Sam chciał mocno wierzyć, że tak właśnie będzie — przecież ci w kraju to nasi ojcowie, matki, bracia i siostry, przecież to tacy sami Polacy jak my. Oni nas się nie wy-

274

prą! Nie mogą tego zrobić! Cały czas, walcząc, myślimy przecież o nich, że to za nich przelewamy krew...

Przecież i my tu bijemy Niemców i o tym nie wolno im zapomnieć!

Politycy zawsze frymarczyli ojczyznę, ale my jesteśmy prostymi ludźmi, korzeniami narodu, a może i samym kwiatem? My się bijemy o wolność Polski! To nieważne, że akurat na zachodzie. Ale to jest polski okręt! Zgodnie z odpowiednim punktem regulaminu jest to skrawek Rzeczypospolitej Polskiej, a więc walczymy i brodzimy we krwi na ojczystej ziemi! Tej prawdy nikt nam nie odbierze — nikt! Odetchnął głęboko, uspokojony już, jakby odkrył skrywaną gdzieś głęboko tajemnicę, i przyciszonym głosem powiedział:

— To nieprawda! Obok Rosjan są i Polacy, tacy sami prości żołnierze jak my. Tak samo biją Niemca i cieszą się, że wspólnie walczymy, oni na wschodzie, my na zachodzie. Są szczęśliwsi od nas, bo przyszło im wyzwalać ojczystą ziemię, ale wiedzą też, że pomagamy im, jak możemy, i tego nam nie zapomną. Nigdy! Wiercie mi! Zresztą kto wie, jak potoczą się dalej losy wojny? Może wpłyniemy na Bałtyk i wysadzimy desant na Helu lub w Gdyni? Kto wie, co będzie | za miesiąc? — Urwał i wpatrzył się w nich. Chciał ich zarazić swoim optymizmem, aby z kolei z ich wiary w przyszłość czerpać otuchę dla siebie. Widział, jak stężone w bolesnym grymasie twarze z wolna wypogadzają się. Oni też chcieli wierzyć, że nie będzie źle, że ich trud i ból nie będzie daremny, że dobrze spełniają swój żołnierski obowiązek.

— Taaak — powiedział Zalewski — to już niedługo... Wojna się skończy i wrócimy do

275

kraju. Już niedługo. Wytrzymamy, co, chłopaki?

— Wytrzymamy! — zawtórowali.

— Nie było rozkazu, żeby się łamać — dorzucił zawsze wesoty Borkowski.

— Borkowski! Wyście mieli obserwować i meldować...

— Tak jest, panie bosmanie. Właśnie melduję, że widać już Holandię. O, tam! Prawo dwadzieścia...

— To już ten konwój mamy zaliczony — ucieszył się Zalewski.

Aleksander rozejrzał się wkoło. Dzień się robił piękny, słoneczny. W powietrzu pachniało bliskim lądem, świeżą morką, wiosną i czymś, czego dawno już nie odczuwali — wolnością. Wody Morza Północnego lśniły od słońca, które załamywało się tęczą na pianach śladów torowych, wzniesionych przez pracujące śruby okrętów. Było pusto, cicho, niemal przytulnie, nawet warkot silników MT-boatów przypominał natarczywe brzęczenie trzmieli w rozgrzane upałem letnie popołudnie. Po tym wodnym gościńcu sunęły dostojnie, wypuszczając od czasu do czasu warkocze dymu, ich podopieczne transportowce. Sunęły spokojnie, ufne, że przy takiej osłonie Niemcy nic im nie zrobią. Aleksandra ogarnęło bezmierne zadowolenie z tej wykonanej tak dobrze wojskowej, marynarskiej roboty.

— Zalewski! — powiedział. —i Jak zdamy wachtę, skombinujesz trochę białej farby i dopilnujesz, żeby Frąszczak wymalował na masce sylwetkę s-boota. To myśmy go zatopili.

— Tak jest, panie bosmanie. Mam tu trochę farby, schowanej w parku specjalnie na

276

takie okazje. Jak tak, to ja zaraz sam, co tam hPde sie napraszał Frąszczaka, jeszcze wszystko s chrzani, a tu trzeba z czuciem.

_. No więc działaj. To nasz pewniak, dwójka i trójka mogą się podzielić tym drugim, ale ten to bez gadania zasługa naszej je-

dvunki.

— Musowo! Anglikom i Norwegom mc me zostało, ale trudno, tak już jest na wojnie Przecież to nasz „Krakowiak” ocalił konwój!

2. Wracamy do kraju!

Okehampton — nuda i nostalgia. Ta parszywa miejscowość, położona u podnóża wzgórz dartmoorskich w Kornwalii, dała się już we znaki stacjonującym tu przed inwazją na kontynent jednostkom amerykańskim. Rozciągające się wokół rozległe kamieniste pustkowia, poprzecinane bagnistą Torridge i jej dopływami, jeszcze bardziej podkreślały beznadziejność losu wegetujących tu ludzi. W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku kilkadziesiąt baraków obozowych w spadku po Amerykanach dostało się Polskiej Marynarce Wojennej. Założono tu obóz, który miał pomieścić kadry naszej wciąż rozrastającej się liczebnie floty i dla zadokumentowania naszego przywiązania do tradycji — nazwano go ORP „Bałtyk”.

Sam obóz, położony wyżej niż miasteczko, wisiał nad nim jak miecz Damoklesa — co znajdowało potwierdzenie zwłaszcza w czasie wolnym od zajęć, kiedy wiara kupą udawała

277

się na przepustkę. Wtedy zdawało się, że miasteczko pęka w szwach, rozsadzane przez krewkich potomków Lecha. Pierwszy komendant był zwolennikiem żelaznej dyscypliny. Wprowadzony przez niego „dryl” pozostał i po jego odejściu. Trzeba było wypędzić z rozpalonych głów wywrotowe myśli, jako że zbliżał się koniec wojny i nie wiadomo, jaka czekała ich przyszłość. Wszelkie niespokojne myśli i marzenia o kraju zastąpić miały — czy skutecznie? — gimnastyka poranna, musztra, ćwiczenia taktyczne i prace gospodarcze. Aleksander trafił tu najpaskudniej w świecie. Podczas jednego z kwietniowych, a więc zupełnie wiosennych, zdawałoby się, patroli przemoczyło go dokumentnie, a potem przewiało i pomimo rumu, którego nie skąpił mu zarówno lekarz okrętowy, jak i koledzy, wyładował koniec końców w szpitalu w Deven-port. Organizm, którego odpornością tak się pysznił, zawiódł go na całej linii — ostre zapalenie płuc. Kiedy opuściła go wreszcie gorączka, był już początek maja — na wodach europejskich dudniły ostatnie salwy armatnie, a do portów brytyjskich zaczęły zawijać pierwsze, groźne jeszcze do niedawna u-booty, tym razem w charakterze niegroźnych przyzów albo jeńców — jako pierwsze jaskółki nadchodzącej wiosny zwycięstwa. Maj pachniał już mocno bzami i wolnością, nadszedł wreszcie

oczekiwany przez tyle lat „V-Day”, a Aleksander toczył wciąż zaciekle zmagania z chorobą. Doszły jakieś komplikacje w płucach, nienormalne szmery serca, podwyższone ciśnienie i biedaczysko wpadł w czarną rozpacz, że oto jak „dobrze” pójdzie, to zamiast w wolnym już kraju wyląduje na

278

którymś z cmentarzy żołnierskich w Anglii. Smętnie dumął, czy to czasem nie rezultat przekleństwa Tanaki, rzuconego, być może przez tego pirata w chwili śmierci, ale przyszedł czerwiec, a wraz z nim — i z penicyliną — ustąpiły dolegliwości. Komisja lekarska uznała go za ozdowieńca i nie całkiem dolezonego skierowała na dwa tygodnie urlopu wypoczynkowego. Spędził go w Brighton, gdzie świeże morskie powietrze i maleńki ro-mansik z „pestką”, do czego się zresztą oficjalnie nie przyznawał, ostatecznie przywróciły mu siły. Z utęsknieniem wyczekiwał demobilizacji, toteż kiedy urlop się skończył, rwał do kadr w Kiermarwoju, jak opiewał rozkaz wyjazdu, po nowy przydział. Był zaniepokojony tym, bo sądził, że wróci na „Krakowiaka”, a tu mają widać coś nowego do zaproponowania. Co?

Wyszedł rozczarowany — nie wracał na okręt, lecz skierowano go do obozu ORP „Bałtyk” w Okehampton.

— No, czego się złościacie? — kpił w żywe oczy pomocnik szefa wydziału personalnego. — Przecież nie ma żadnej różnicy. To ORP i to ORP...

Potem, kiedy Aleksander zaczął uświadamiać sobie, że jego koledzy i przyjaciele powrócą do kraju na okrętach, a on niemal jak piechur, mocno się zdenerwował. Zaraz po przybyciu na miejsce skrobął raport do Świrskiego, żądając przydziału na jakikolwiek okręt polski, ale poza odpowiedzią, że wakatów na razie nie ma, nic nie uzyskał. Tymczasem życie obozowe biegło utartym trybem. Gimnastyka poranna, zajęcia szkoleniowe, prace gospodarcze i czas wolny — i tak dzień

279

w dzień to samo, przerywane tylko posiłkami, sprzątaniem sobotnim i niedzielną bezczynnością. Kilkuset chłopów kisiło się w „beczkach śmiechu” jak dorodne ogórki, z jedyną perspektywą — że nikt ich już nie spożyje, raczej zgniją ze szczętem.

Aleksander wcielony został do tzw. Grupy „B”, czyli Oddziału Przejściowego. Zgrupowani byli tam wszelkiego rodzaju ozdowieńcy, markieranci, czasowo niezdolni do służby okrętowej i tacy, z którymi nie wiadomo było, co robić — towarzystwo raczej kute na cztery kopyta i bywałe w świecie. Kiedy otworzyli pyski, było co posłuchać. Toczyli między sobą — jako że czasu mieli sporo, a obowiązek żołnierski wypełnili chwalebnie — zawzięte dysputy, poświęcone naprawie Rzeczypospolitej. Czasem brał w nich udział dowódca kompanii, kapitan Szulc, co było z jego strony nie lada faworem, bo wszyscy dyskutowali na te tematy raczej we własnym gronie — marynarze w swoim, podoficerka w swoim, a oficerowie tworzyli aż kilka grup i tylko wobec najbliższych otwierali swe usta i serca.

Szulc z wielu względów lubił gawędzić z podoficerami — miał wśród nich wdzięcznych słuchaczy, szanujących jego stopień, stanowisko i autorytet, ponadto jako zdecydowany zwolennik powrotu do kraju wśród kolegów oficerów co rusz trafiał na oponentów, którzy z różnych względów starali się

wykazać biednemu kapitanowi, że błędzi. Podoficerowie zaś słuchali go tym chętniej, że spragnieni byli wieści, co dzieje się na „górze”, w Kiermarwoju i w rządzie, a jak wiadomo, oficerowie mieli do tych spraw łatwiejszy dostęp. Ganiął więc Aleksander na te

280

kapitańskie gawędy i z niecierpliwością wyczekiwał na rozkaz powrotu.

Ale choć większość chciała wracać, władze emigracyjne, wrogo odnoszące się do nowej Polski, nie zgadzały się na jakąkolwiek repatriację, spodziewając się rychłych rozdźwięków między sojusznikami, a nawet oczekując wojny między nimi. W tej sytuacji armii lądowej i marynarce wyznaczono rolę jeśli już nie argumentu zbrojnego, który miał przywrócić im władzę w kraju,; to przynajmniej elementu przetargowego w przyszłych rozgrywkach między zwycięzcami. Sprawy te obce były szarej masie żołnierskiej — tam, w kraju, czekali na nich najbliżsi, a że wojna się już zakończyła, nie widziano powodów, aby dłużej tkwić w angielskim błotku. Wielu marzył się powrót na okrętach, na których służyli, w glorii zwycięzców. Pięćsetkilometrowe z górą wybrzeże wymagało obrońców, a oni czuli, że to zajęcie dla nich.

— Ech — marzyli głośno — jakby tak cała nasza flota wróciła, to by dopiero było na co popatrzeć: jeden krążownik, sześć destroyerów, trzy sabmariny, a do tego jeszcze trochę mo-tortorpedobatów...

— Co to jest — gorączkowali się inni — na taki szmat wód, jaki teraz mamy!

— Dostaniemy jeszcze trochę po Niemcach, a może i po Włochach jako odszkodowanie. Ze Szwecji też wrócą... I sami będziemy budować. Byle tylko wrócić!

Pragnienia te bez reszty opanowały „załogę” Okehampton. Aleksander już wkrótce miał możliwość przekonać się, że w tych pragnieniach nie byli odosobnieni. Podobnie myślano także w innych jednostkach i na innych

281

okrętach PMW. W pierwszych dniach sierpnia dostał bowiem list od Zalewskiego z „Krakowiaka”. Pisał on:

Szanowny Panie Bosmanie! Długo Panu nie odpisywaliśmy, bo ciągle jesteśmy w rozjazdach i w porcie stoimy mało co. Za dużo nie mogę o tym pisać, bo choć wojna skończona, to tajemnica wojskowa zobowiązuje, no nie? Ale posłuchaj pan... Najpierw tośmy pilnowali tych ubociaków szkopskich, co to pełno ich teraz w portach angielskich. Bizewski aż puchł z dumy i gadał co chwila: „A co, nie mówiłem, na moje wyszło, cała ta Kriegsmarine jest gównem warta”. Napatrzeliśmy się na tych zbójów, aż rzygać się chciało — takie to dziadostwo wynędzniałe i każdy mówił, że on Hitlera nie lubi. Oczywiście łżą jako psy, ale wiadomo — to szkopy! Jeden taki uboot, co stał koło nas i miał numer 1165, tośmy cały obejrżeli od stępki po czubek peryskopu. Ciasno tam jak w trumnie — gdzie mu do naszej „Elki”. A w lipcu byliśmy nie zgadnie pan gdzie. W Wilhelms-haven! Co to za radość była... W mieście pełno naszych flag, bo zdobyli je „maczki”, polska dywizja pancerna. Bizewski, który tam kiedyś stał, zaraz oprowadził nas po mieście.

Tęgoś-my popili, no i tego, rozumie Bosman, Bizewski zrobił trochę porządku ze szwabami. M. P. chciała nas załatwić, ale my, no, rozumie pan. Nie ma strachu, wszystko dobrze się skończyło. Myśleliśmy, że w tych naszych podróżach trafimy na Bałtyk, ale gdzie tam. Tęskno nam już za krajem, a najwięcej Bizewskiemu, który dostał list od swoich, z tej Łeby, pamięta Bosman? Chcą, żeby wracał, i chłopak

282

rwie się do domu, tym bardziej że dostał „pi-stoleta” i chciałby się pokazać, a tu nic nie słyhać. Pociaszamy się, że już niedługo podniesiemy parą w kotłach i „cała naprzód” do Gdyni. Tam na nas przecież czekają. Ja od swoich z Warszawy listu jeszcze nie dostałem, ale ciągle go oczekują, tak samo jak powrotu Pana Bosmana. Kiedy Pan wreszcie wróci? Wstyd mi pisać, ale zrobili mnie dowódcą stanowiska na pana miejsce, dostałem nawet trzecią belkę. Ale ja nie z takich, co innych chcą wygryźć — wracaj Pan na swoje miejsce, ja go na razie pilnuję, a i tę moją trzecią belkę opijemy. A tak właściwie to co tam na łądzie słyhać, kiedy myślą dogadać się z Warszawą, żebyśmy już wrócili? Po co my tu jeszcze siedzimy? Wojna przecież skończona.

Na tym kończą, przesyłam ukłony od całego stanowiska i od tego nowego, co to przyszedł na miejsce Bizewskiego, który wskoczył na moje, a ja na Pana. Aha, i od bosmana Mikołajczaka, który też chce wracać do tych swoich „pyrów”.

Ściskam prawicą i czekam na odpowiedź

Antek Zalewski bosmanmat

Pisanie to wzburzyło Aleksandra i dlatego, że podobnie jak Zalewski wysłał już trzeci list do matki, na przedwojenny adres, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Napęłniło go to najgorszymi przeczuciami. Musiało tam się stać coś bardzo złego, skoro nie piszą. A może nie chcą pisać? Nosił się z zamiarem wysłania listu do starego Konkiela, ale na śmierć zapomniał adresu. Nic dziwnego, tyle lat... Z dru-

283

giej jednak strony był przeświadczony, że gdyby nagle znalazł się w Gdyni, trafiłby do szyprowego domku bez najmniejszych trudności.

Mijał wrzesień, zbliżał się październik — pierwsze jesienne deszcze dudniły o faliste dachy „beczek śmiechu”, a w obozie wszechwładnie panowała nuda, strach i niepewność jutra. Nawet kapitulacja Japonii nie wywarła spodziewanego wrażenia.

Tymczasem kiedy kraj tętnił burzliwą odbudową, potrzebując gwałtownie rąk do pracy, wielki, półmilionowy potencjał ludzki — przeważnie mężczyźni w sile wieku — tkwił bezużytecznie w obozach wojskowych na terenie Anglii. Niektórych doprowadzało to do szewskiej pasji, gdyż jak na ironię losu nasze okręty wojenne woziły tysiące obcych repatriantów do Oslo, Kopenhagi i Kilonii nawet. Gdyby tak jeszcze machnęły się sto mil dalej, ale już ze swoimi...

Gnuśnieli, a czas nieubłaganie biegł naprzód. Nadeszły pierwsze powojenne i chyba najsmutniejsze

święta, bo na obczyźnie, bez perspektywy na rychły powrót i bez wiadomości od najbliższych. Mimo wszystko Aleksander posłał im życzenia na stary adres, nie zapomniał też o swoich chłopcach z „Krakowiaka”. W Wigilię siedzieli chmurni przy w miarę dostatnio zastawionych stołach. Podczas łamania się opłatkiem jedno życzenie rozległo się wokół: — Obyś następne święta spędzał już w kraju, wśród najbliższych!

Aleksander w myślach przełamał się opłatkiem z matką i rodzeństwem, nawet z Lucy, o której już prawie zapomniał, a kiedy zain-tonowanp kolędy, omal nie rozbeczał się z ża-

284

łości. Dobrze że siedział wśród kumpli, inaczej zupełnie by się załamał. Z wolna jednak whisky i gin zaczęły poprawiać nastrój, niektórzy jęli błyskać „małpim” humorem, większość jednak upijała się „na smutno”. Rozpoczęły się niewesołe, choć na wesoło przekazywane wspominki, nad wszystkimi jednak zawisł koszmar najbliższej przyszłości, który nie pozwalał na pogodę ducha. Aleksander poszedł spać z mocnym postanowieniem powrotu za wszelką cenę. Nie chciał nigdy więcej w przyszłości przeżywać tak beznadziejnych świąt.

Z początkiem nowego roku w prasie brytyjskiej pojawiły się artykuły na temat ostatecznego rozwiązania kwestii żołnierza polskiego. Ich treść sprowadzała się do jednego: jak najprędzej zdemobilizować Polaków i bądź repatriować, bądź dać im szansę na urządzenie się tu, na miejscu. O zorganizowanym powrocie do kraju, z bronią i na okrętach, nie było już mowy, co wywołało powszechne oburzenie. Wzrosło ono jeszcze, kiedy wielu wyższych oficerów, zdecydowanych przeciwników nowego ustroju, zrezygnowało z powrotu, zakupując nawet majątki ziemskie. Taka zdrada interesów ogółu wywołała tym większą gorycz, że wychodziła naprzeciw zamierzeniom brytyjskim.

Aleksander, który idąc za radami Wagnera, wyrzekł się Lucy i jak ognia strzegł się wszelkich zbliżeń, mogących mu utrudnić powrót do kraju, omal nie wściekł się na myśl o tym, że chcą go tu pozostawić. Postanowił wrócić do Gdyni, choćby się paliło i waliło, bodaj po trupach. W nastrojach tych umacniała go postawa innych przyjaciół. Właśnie za takie wywrotowe poglądy zdjęto z okrętu Mikołajczak-

285

ka. Pojawienie się „Pyry” w obozie było dla Aleksandra wielkim zaskoczeniem.

— No, wreszcie razem — stwierdził z satysfakcją Mikołajczak po wylewnym powitaniu ze starym druhem. — Teraz, w kupie, damy bobu tym z Kongresowy i galicyjskim Jasiom. Porzundek musi być! Żebyś ty wiedział, co się wyprawiało na naszej „Elce”. Nikt już nikomu nie wierzył, kręćka można było dostać. Wnerwiło mnie to wszystko, zacząłem pysz-«żyć i Żelazny wymówił mi posadę...

— A co z Zalewskim?

— Waha się szczon... Podobno po powstaniu jego rodzinę wywieźli do Niemiec i teraz odnaleźli się w Westfalii. Na razie chce ich ściągnąć do siebie do Anglii, a potem zobaczy...

— Hm, żeby tylko nie ugrzązł tu na zawsze. A Bizewski?

— Ten Kaszub? To zawzięta sztuka, koniecznie chce wracać i przy okazji zabrać ze sobą „Krakowiaka”. Nawet podpadł trochę, bo ktoś doniósł „staremu”, że namawiał mechaników, żeby rozpalili kotły i sami popłynęli do Gdyni. Dostał za to parę dni twardego. Nastraszyli też chłopaka, że jak wróci, to go zamkną za służbę w Kriegsmarine. Ale on się nie boi...

Gadali o tych sprawach jeszcze dobrych parę dni i doszli do wspólnego wniosku, że nie ma co tu zostawać — jedyna droga wyjścia to droga do Polski. A na pierwszej wspólnej przepustce dali co nieco po gnatach Anglikom za to, że „tacy niehonorni”, jak twierdził „Pyra”, i żeby nie zapomnieli o tym, że „my Polacy skrzywdzić się nie damy”. A krzywdzić próbowali ich wszelkimi sposobami. W drugiej połowie marca zebrano wszystkich marynarzy,

286

O, do jasnej ciasnej przez Marszałkowską — zdenerwował się Aleksander — szykują nam nowe San Domingo czy jak? Ale co ja mam z tym wspólnego?

Zaraz po spotkaniu zaatakował owego komandora:

— Nie rozumiem, dlaczego mi kazano tu przyjść — zaczął gorączkowo wykrzykiwać. — ' Cała moja rodzina w Gdyni, praca też w Gdyni... To chyba jakaś złośliwość?

— Dlaczego zaraz złośliwość? — cierpliwie odpowiadał komandor. — Nie chcemy was krzywdzić, rozumiecie? Więc wracajcie, skąd-deście przybyli. Dość mamy własnych kłopotów.

— Właśnie chcę wrócić do... Polski!

— Czy przyjechaliście tu z kraju?

— Nnie, bo... losy rzuciły mnie do Australii...

— No widzicie. A jak się nazywacie?

W zeszycie odszukał nazwisko Aleksandra. — ' Tak jest, jesteście obywatelem australijskim, nic na to nie poradzą.

i

287

— Ja Australijczykiem? — zdumiał się Aleksander. — Przecież to kłamstwo! Nigdy nie miałem obywatelstwa tego państwa.

— To na jakiej podstawie służyliście w RAN-ie? Co? — triumfował komandor, rad, że przyparł oponenta do muru.

— Na podstawie znajomości. Jeden z moich znajomych załatwił, że przyjęto mnie do RAN-u

warunkowo, a obywatelstwo miałem sobie wyrobić w późniejszym terminie. Oczywiście żadnych starań o to nie wszczynałem, a ów znajomy postarał się, aby ten warunek przypadł gdzieś w archiwach admiralicji. Pozostałem więc nadal obywatelem polskim. Dlatego proszę, aby pan komandor wykreślił mnie z tej listy i gdzie trzeba sprostował...

— Nie wykreślę!

— Ja żądam tego!

— Co wy, będziecie mi tu może rozkazy wydawać?

— Nie... Ja pana proszę o to, bo został pan celowo wprowadzony przez kogoś w błąd, a przez kogo, to pan chyba wie. Napiszę raport do admirała o tym, jakich szwindli dopuszczają się niektórzy — zagroził.

— A, piszcie, piszcie — zrzędził komandor. Ostatecznie z listy nazwiska nie skreślił, ale postawił przy nim „ptaszek” i trzy znaki zapytania.

Wzburzony Aleksander „machnął” na ręce Swirskiego obszerny elaborat, w którym wszystko opisał. Nie wiedział, czy sprawa znajdzie jakieś rozwiązanie, dlatego wykorzystał wiosenną inspekcję obozu przez Unruga i zapisał się na wysłuchanie skarg i zażaleń. Jak się okazało, wyszedł naprzeciw odgórnym życzeniom władz, gdyż admirał przybył między in-

288

nvmi i po to, aby z tymi najzagorzalszymi orędownikami powrotu osobiście porozmawiać.

Rozmowa miała przebieg gwałtowny. Kiedy Aleksander opuszczał gabinet admirała, choć nie miał takiego zamiaru, drzwi jakoś same zatrzasnęły się z hukiem. Otoczyło go zaraz kilkunastu takich jak on interesantów. — I co? I co? — dopytywali się.

— I nic. Nie wycofałem swego raportu — oświadczył z dumą. — I wam radzę stawić się twardo. Inaczej nic z tego.

— Daj grabę, „Kangur” — uradował się „Pyra”. — Ja mu też powiem co trzeba. Już tam nas, poznaniaków, nikt w butel nabijać nie będzie.

Nie wszyscy jednak tak myśleli. Wielu po rozmowie z admirałem wycofało swoje raporty. Zrobili to przeważnie starzy podoficerowie, ufający Unrugowi i przyzwyczajeni do niepodejmowania żadnych decyzji bez zgody przełożonych. Stali się oni teraz bardzo ostrożni w wypowiedziach.

Tymczasem zrobiono „czystkę” wśród marynarzy i podoficerów najbardziej agitujących za powrotem. Czterdziestu sześciu usunięto z szeregów Marwoju i — jak mówili między sobą — ciupasem odesłano do Polski. Szykowały się ponoć i inne represje, dlatego Aleksander z Mikołajczakiem postanowili przy pierwszej sprzyjającej okazji opuścić „stone frigate” Okehampton. Po rozmowie z Unrugiem Aleksander był bowiem święcie przekonany, że okręty nie wrócą i cała wrzawa wokół tego problemu jest tylko zawracaniem głowy i próbą odwleczenia exodusu do ziemi ojczystej. W początkach maja jego

przypuszczenia potwierdziły się całkowicie — zaczęto mó-

18 — Synowie marnotrawni

289

wić o rozwiązaniu Polskiej Marynarki Wojennej. Pierwszym okrętem, przekazanym admiralicji brytyjskiej, miała być „Błyskawica”.

— Jednym słowem generalna kłapa — zasmucił się Mikołajczak. — Nie mamy już się co łudzić. Wracajmy, póki czas, bo nie tylko okręty tu zostaną, ale i my. Na dniach będą chyba zapisywać na powrót...

Istotnie koło dwudziestego przyszła pozytywna odpowiedź na ich raporty, a w trzy dni później kierownik kancelarii wręczał im dokumenty wyjazdowe. Mieli się meldować w Szkocji, w obozie, przejściowym.

U płatnika, gdzie kwitowali odprawę demo-bifizacyjną, którą mimo pogroźek im wyptacono, spotkali Szulca.

— Chcieliśmy się odmeldować, panie kapitanie — zaczął „Pyra”.

— Cześć, cześć — ucieszył się kapitan. — Ja też za kilka dni jadę — powiedział rozpromieniony. — Zobaczymy się w Polsce. Głowa do góry, chłopcy, co będzie, to będzie, ale wrócimy wreszcie do kraju!

W obozie przejściowym Mikołajczak rozpoznał wśród pisarzyków kancelaryjnych jakiegoś dawnego kumpla, który za pięć kartonów playersów wykreślił pierwszych dwu z brzegu i wpisał ich nazwiska na listę najbliższego transportu.

— Jadą sami piechociarze — usprawiedliwiał się — ale co to za różnica dla was, prędzej będziecie w Gdyni...

I tak oto w mglisty majowy poranek opuścili Edynburg. Długo patrzyli w oddalający się ląd, który tak niegościnnie ich pożegnał, i już bez żalu odwrócili się, aby spojrzeć w bezmiar

29Q

Morza Północnego. Każda przebyta mila przybliżała ich do Polski

— Cholera — westchnął z ulgą Mikołajczak — dobrze, że mamy to już za sobą. Lepiej późno niż wcale, nie uważasz?

— Taaak... Żebym wiedział, że tak łatwo

z Polski wyjechać, a tak trudno do niej wrócić, to bym chyba kupił sobie przedtem ze sto metrów łańcucha kotwicznego i przykuł się nim do gdyńskich polerów...

Skończył opowiadać, kiedy już się rozwidniało. Świt rozsrebrzył pokój, przegonił wraz z mrokami nocy wyczarowane zjawy wspomnień, przywrócił wszystko do rzeczywistości. Pierwszy promień słońca zaiskrzył się na pustej butelce i opróżnionych kieliszkach. Podпиты szyper podrzemywał z głową wspartą

na zaciśniętej pięści.

— Patrzaj — zamruczał półprzytomnie — | co komu pisane, to zawsze tak będzie, jak ma być...

— Dobrze, dobrze — Aleksandrowi lekko kręciło się w głowie, kiedy ujmował go pod boki — chodźcie do łóżka, panie szyper, po co odgniatać sobie kości na stole...

— Prawdę gadasz, synku — sapał stary. — A i tobie radzę to samo.

Ale go nie posłuchał. Wolął przejść się brzegiem morza, bo sądził, że tylko ono ukoi jego wzburzenie, a i otrzeźwi trochę — przecież za kilka godzin miał się meldować na pokładzie. Nad falami wisiła lekka mgła, gdzieś z redy niosło się pohukiwanie statkowej syreny. Szedł wolno, wciągając głęboko w płuca świeże poranne powietrze. Z każdym wdechem coraz

291

bardziej jaśniało mu w głowie. Tak, tamto odeszło i trzeba zacząć wszystko od nowa. Chciał budować nową Polskę, więc musi robić to, na czym się dobrze zna — pływać! Ale przedtem warto by odszukać swoich. Tylko jak to zrobić? Za parę dni płynie do Sztokholmu, zaraz potem znów na kilka miesięcy pożegna się z Gdynią. Tyle czasu ich nie widział i jeszcze przez długi czas nie zobaczy. Czy to nie pech? A może by tak przez te kilka dni pokręcić się po kraju? Wpadłby do tego Rzeszowa czy Tarnowa i zobaczył ich wszystkich, wtedy można by spokojnie już popłynąć w świat... Nie, chyba nie zdąży, przecież dwunastego wychodzą na redę, a piętnastego — kurs na Szwecję, zwłaszcza że pociągi chodzą podobno jak trampy — znana jest stacja końcowa, ale kiedy się do niej dobije, tego już nikt nie wie. W dodatku jak w „Powrocie taty” pełno zbójców na drodze. Nic tedy nie poradzi — przyjdzie płynąć w morze. Do licha! To morze jest silniejsze od wszystkiego — od lat wyznacza bieg jego życia. I jakie zachłanne — chce go mieć tylko dla siebie. I zazdrosne — nie odstąpi go choć na parę dni innym — matce, rodzinie, kochance... Wciąż morze i morze. Czyżby był niewolnikiem dewizy: „Navigare necesse est”? Ale przecież czyni to z własnej, nieprzymuszonej woli, z własnego przekonania, że tak być powinno i będzie aż do końca. Jestem jak na rozstajnych drogach — tu morze, tam matka, a pewnie także i kochanka albo... żona. Na przykład ta Konkielowa Trudka... To nic, że taka smarkata i że jej nawet nie widział. Mało to jest małżeństw z rozsądku — grunt, że dziewczucha dobrze ma w głowie i pracy się nie boi. Gdyby to nie była prawda, stary tak by jej

w

292

nie zachwalał. Dobrze, ożenię się — postanowił. — To niezły Pomysł- Powiedzmy, wracam z morza, a ona czeka już na molo, może nawet nie sama, tylko z... taką dwójką jak Jurek i Kaśka? Matka jest mądrą kobietą, na pewno znajdą z Trudką wspólny język i będą go kochały obydwie, bez żadnych zawiści...

Tak rozmyślając, zawędrował na Kamienną Górę i z ciekawością rozejrzał się po porcie. Mgła z wolna opadała i coraz więcej szczegółów można było rozpoznać w basenach. Pobiegł wzrokiem w stronę Dworca Morskiego. Z welonu porannych oparów wyłaniały się sterczące ponad dachem Dworca

wierzchołki smukłych, strzelających w niebo masztów „Daru Pomorza”.

Ogarnęła go fala wzruszenia. — Mój „Dar” — wydusił z siebie zdławionym szeptem. — Mój. Oczami wyobraźni ujrzał znów białą piramidę płócien, jak tnie modre fale mórz i oceanów, a na rufowym flagsztoku ona — najdroższa, biało-czerwona bandera. Nie zgnetli nas Niemcy — pomyślał z radością. — Znów mamy okno na świat, ogromne okno, przez które odetchniemy pełną piersią, zachłyśniemy się świeżą morką i z nowymi siłami ruszymy szlakiem Arciszewskich, Rogozińskich, Zaruskich... Może nawet jak dawniej pod wodzą „Macaję”? Bo morze żywi i bogaci — tę prawdę znali już nasi przodkowie. Teraz, w nowej Polsce, ludowej, prawdę tę trzeba uczynić dewizą naszej gospodarki morskiej. Dużo czeka go jeszcze różnej pracy, ale nie boi się tego — będzie przecież pracował dla swoich! I znów na „Darze”.

Zamyślił się głęboko. Czemu zawdzięczał tak pomyślny dla siebie obrót spraw? Czyżby to

293

było przeznaczenie? A może szczęśliwy przypadek? Do licha! Nie potrafił tego wytłumaczyć. Jak przed laty musiałby wszystko roztrząsać od nowa, szukać argumentów „za” i „przeciw”, babrać się w przypuszczeniach, a nie miał już do tego ani chęci, ani czasu. Lecz jednego był pewien w stu procentach: to, że powrócił do kraju, zawdzięczał tylko sobie!

SPIS TREŚCI

Część pierwsza — Powrót

1. Dotknięcie Ziemi Ojczystej 9
2. Znów „Dar Pomorza”..... 30

Część druga — Serce z bursztynu

1. W rejs dookoła świata..... 55
2. Pojedynek w Osace..... 68

Część trzecia — Ślepy traf

1. Żegnaj, Australio..... 105
2. Łowy na stalowego rekina..... 119
3. Robinsonowie XX wieku..... 148
4. Okruchy sprawiedliwości 174
5. Polowanie na człowieka..... 186
6. Pojedynku ciąg dalszy • 214

7. Daleka jest droga do Polski 229 Część czwarta — „Sam decyduję o swoim losie”
1. „Krakowiak” ocalił konwój 259
2. Wracamy do kraju!..... 277